

DONNA LEON

STRÓJ
NA ŚMIERĆ



KOMISARZ BRUNETTI I TAJEMNICE WENECJI

DONNA LEON

STRÓJ NA ŚMIERĆ

(Przełożyła: Maria Olejniczak-Skarsgard)

NOIR SUR BLANC

1998

Rozdział 1

Pantofel był czerwony jak londyńskie budki telefoniczne czy nowojorskie wozy strażackie, ale nie te skojarzenia nasunęły się człowiekowi, który zauważył go pierwszy. Pomyślał o ferrari testarossa z kalendarza wiszącego w pokoju, gdzie przebierali się rzeźnicy, o tym z nagą blondynką wyciągniętą na masce w takiej pozie, jakby namiętnie kochała się z lewym reflektorem. Pantofel leżał na boku, niemal dotykając szpicem plamy ropy, jednej z wielu, którymi pokryty był teren za budynkiem rzeźni. Mężczyzna zobaczył but i zaraz, oczywiście, nasunęło mu się także skojarzenie z krwią.

Wiele lat temu, na długo zanim Marghera stała się kwitnącym - choć może nie jest to najwłaściwsze określenie - miastem przemysłowym we Włoszech i zanim rafinerie naftowe i zakłady chemiczne wyrosły na rozległych podmokłych terenach po drugiej stronie laguny, nad którą leży Wenecja, perła Adriatyku, wydano pozwolenie na zbudowanie rzeźni. Betonowy budynek, długi i surowy, był ogrodzony wysoką siatką. Być może, ogrodzenie postawiono w dawnych czasach, gdy po piaszczystych drogach pędzono owce i bydło na ubój. A może pierwotnym zamierzeniem było uniemożliwienie zwierzętom ucieczki, gdy wprowadzano je na rampę, poganiano batami i pędzono na spotkanie z przeznaczeniem. Obecnie przywożono je ciężarówkami, zajeżdżającymi tyłem pod rampę, której wysokie boczne ściany uniemożliwiały ucieczkę. Nikt nie miał ochoty zbliżać się do rzeźni i dlatego ogrodzenie było właściwie zbyteczne. Zapewne z tego powodu nie reperowano rozległych dziur w siatce, przez które nocą przedostawały się psy, zwabione odorem wydobywającym się z budynku i tęsknie wyjące za tym, co, jak wiedziały, znajduje się za betonowymi ścianami.

Wokół rzeźni rozciągały się puste pola; fabryki stały z dala od niskiego betonowego budynku, tak jakby przestrzegały tabu równie silnego jak głos krwi. Fabryczne budynki trzymały się w oddaleniu, ale zabójcze wycieki i odpływy, wydobywające się z nich i przesączające się do ziemi, naruszały to tabu i co roku przenikały bliżej rzeźni. Pośród bagiennych traw wydobywały się z czarnego szlamu bąble, a na powierzchni kałuż, które nie znikwały nawet podczas wyjątkowej suszy, lśniła warstwa ropy mieniąca się pawimi barwami. Choć budynek rzeźni otaczała zatruta przyroda, ludzi bardziej przerażało to, co się działo w środku.

But, czerwony pantofel, leżał na boku jakieś sto metrów za rzeźnią, tuż za ogrodzeniem, na lewo od dużej kępy wysokiej trawy morskiej, która rosła bujnie, żywiąc się truciznami bąbli, przenikającymi do jej korzeni. W upalny sierpniowy poniedziałek, o jedenastej trzydzieści, krępy mężczyzna w obryzganym krwią skórzanym fartuchu otworzył zamaszystym ruchem metalowe drzwi z tyłu rzeźni i stanął w prażącym słońcu. Zza jego pleców popłynęły fale gorąca, smrodu i wycia zwierząt. Żar z nieba nie pozwalał odczuć, że na zewnątrz jest chłodniej, ale tu przynajmniej smród wnętrzości był mniej odrażający i nie słyszało się ryku i pisku, tylko szum samochodów na odległej o kilometr szosie, którymi turyści napływali do Wenecji na święto Ferragosto.

Pochylając się, by znaleźć suche miejsce u dołu fartucha, rzeźnik wytarł zakrwawioną dłoń, a potem z kieszeni koszuli wyjął paczkę nazionale. Plastikową zapalniczką zapalił papierosa i głęboko wciągnął dym, delektując się zapachem i ostrym smakiem taniego tytoniu. Gardłowe wycie, dobiegające przez drzwi, kazało mu odejść od budynku w stronę ogrodzenia, gdzie mógł znaleźć trochę cienia pod drobnymi liśćmi zaledwie czterometrowej akacji.

Stojąc w cieniu, odwrócił się tyłem do budynku i patrzył w dal, na las kominów fabrycznych ciągnących się w stronę Mestre. Z niektórych wydobywał się ogień, z innych szary i zielonawy dym. Lekki wiatr, zbyt słaby, by dał się

odczuć na skórze, niósł chmury dymu w jego kierunku. Rzeźnik zaciągnął się i spojrzął w dół, na ziemię pod stopami, jak zawsze bacznie sprawdzając, gdzie postawi nogę na tych polach. Tuż za ogrodzeniem zobaczył leżący na boku but.

But był zrobiony z jakiegoś materiału, nie ze skóry. Z jedwabiu? Ałtasu? Bettino Cola nie znał się na tym, ale wiedział, że żona ma parę takich pantofli, za które zapłaciła ponad sto tysięcy lirów. Żeby zarobić tyle pieniędzy, on musi zabić pięćdziesiąt owiec albo dwadzieścia cielaków, a ona wydaje taką sumę na pantofle, które raz ma na nogach, a potem wrzuca do szafy i nigdy więcej nie ogląda.

Ponieważ piekielny krajobraz nie miał w sobie nic, co mogło przykuć jego uwagę, zaczął uważniej przyglądać się butowi. Zrobił krok w lewo i spojrzął na niego pod innym kątem. Choć but prawie dotykał dużej kałuży ropy, okazało się, że leży na skrawku suchej ziemi. Cola zrobił następny krok w lewo, co spowodowało, że stanął w pełnym słońcu, i zaczął szukać wzrokiem drugiego pantofla. Pod kępą traw zauważył coś podłużnego, co wyglądało na podeszwę.

Upuścił papierosa i wbił go czubkiem buta w miękką ziemię, a następnie przeszedł kilka metrów wzdłuż płotu, nisko się pochylił i przeczołgał przez dużą dziurę w siatce, uważając, by nie zahaczyć o sterczące kawałki zardzewiałego drutu. Wyprostował się i podszedł do pierwszego buta, spodziewając się, że znalazłszy parę, będzie miał z nich jakąś korzyść.

- *Roba di puttana* - wymamrotał pod nosem, widząc obcas, wysoki jak paczka papierosów w jego kieszeni; tylko kurwa może włożyć coś takiego, pomyślał. Pochylił się i podniósł pantofel, uważając, żeby nie dotknąć go od zewnątrz. Jego oczekiwania się spełniły: but nie wpadł do kałuży ropy i był czysty. Cola zrobił kilka kroków w prawo, pochylił się i dwoma palcami chwycił za obcas drugiego buta, chyba wbitego w kępę trawy. Osunął się na kolano, patrząc uważnie, gdzie klęka, i mocno pociągnął za obcas. But przesunął się, ale gdy Bettino Cola uprzytomnił sobie, że ściągnął go z ludzkiej nogi, poderwał się, odskoczył na bok i upuścił znaleziony wpierw but, który

wylądował w czarnej kałuży, choć udało mu się przez całą noc uniknąć takiego losu.

Rozdział 2

Dwadzieścia minut później pojawiła się policja w dwóch niebiesko-białych sedanach ze Squadra Mobile podległej komendzie w Mestre. Plac na tyłach rzeźni wypełnił się już ludźmi, których wywidło na słońce zaciekawienie innego rodzaju mordem. Cola, gdy tylko zobaczył but i pasującą do niego stopę, w oszołomieniu pobiegł do budynku i wpadł do biura brygadzysty, żeby powiedzieć mu, że na polu za płotem znalazł martwą kobietę.

Cola był dobrym pracownikiem i poważnym człowiekiem, więc brygadzista uwierzył mu i natychmiast zadzwonił po policję, nie wychodząc na zewnątrz i nie upewniając się o prawdziwości jego słów. Pozostali pracownicy, którzy widzieli, jak kolega wbiega do budynku, podeszli do niego ciekawi, co się stało. Brygadzista opryskliwym tonem kazał im wrócić do pracy: samochody chłodnie czekały na załadowanie i nikt nie miał czasu na pogawędki o jakiejś dziwce, której poderżnięto gardło.

Oczywiście, nie należało rozumieć tego dosłownie - Cola powiedział tylko tyle, że znalazł but i widział stopę. Ale pola wokół fabryk miały swoją renomę wśród mężczyzn pracujących w tych fabrykach - i wśród kobiet pracujących na tych polach. Jeśli któraś z nich została zakatrupiona, to zapewne była jedną z tych wypacykowanych zdzir, które późnym popołudniem stały przy drodze łączącej tereny przemysłowe z Mestre. Po pracy, w drodze do domu, dlaczego człowiek miałby nie zatrzymać się na chwilę i nie odbyć krótkiej przechadzki w stronę koca rozłożonego przy kępie traw? Numerek był szybki, a one nie chciały od ciebie nic prócz dziesięciu tysięcy lirów i, jak to się zdarzało coraz częściej, były blondynkami z Europy Środkowej, tak biednymi, że nie mogły wymagać od ciebie stosowania żadnych środków - w przeciwieństwie do

włoskich dziewczyn z Via Cappuccina - a poza tym od kiedy dziwka mówi mężczyźnie, co i jak ma robić? Ta prawdopodobnie tak postąpiła, za bardzo na niego naciskała, a on jej dołożył. Przyjdą następne, każdego miesiąca coraz liczniej przekraczają granicę.

Zajechały policyjne samochody i z każdego wysiadł umundurowany funkcjonariusz. Poszli w stronę głównego wejścia, ale brygadzysta wyszedł im naprzeciw, nim dotarli do drzwi. Za jego plecami stanął Cola, pełen poczucia własnej ważności, skoro znalazł się w centrum uwagi, i wciąż trochę struty widokiem tej nogi.

- To pan nas wzywał? - spytał policjant. Miał okrągłą twarz lśniąca od potu i patrzył na brygadzystę zza ciemnych okularów.

- Tak. Na polu za rzeźnią leży martwa kobieta.

- Widział ją pan?

- Nie. - Brygadzysta odsunął się na bok i gestem ręki kazał Coli podejść bliżej. - On ją widział.

Policjant kiwnął głową i na ten znak jego kolega z drugiego samochodu wyjął niebieski notes z kieszeni kurtki, otworzył go, zdjął nasadkę pióra i czekał z ręką uniesioną nad kartką papieru.

- Pana nazwisko? - zapytał pierwszy policjant, kierując zasłonięte okularami oczy na rzeźnika.

- Cola, Bettino.

- Adres?

- Po co wam jego adres? - wtrącił się brygadzysta. - Tam leży martwa kobieta.

Policjant oderwał wzrok od Coli i lekko pochylił głowę, aby spojrzeć zza okularów na brygadzystę.

- Ona nam nie ucieknie - odparł i znowu spojrzał na Colę, powtarzając pytanie: - Adres?

- Castello 3453.

- Jak długo pan tu pracuje?
- Piętnaście lat.
- O której przyjechał pan dziś do pracy?
- O siódmej trzydzieści. Jak zwykle.
- Dlaczego poszedł pan na pole?

Sądząc po sposobie, w jaki pierwszy policjant zadawał pytania, a drugi zapisywał odpowiedzi, Cola odniósł wrażenie, że go o coś podejrzewają.

- Żeby zapalić papierosa - odpowiedział.
- W środku sierpnia wyszedł pan na pełne słońce, żeby zapalić papierosa?
- Ton głosu policjanta świadczył o tym, że uważa Colę za szaleńca. Albo kłamcę.

- Miałem przerwę - odparł Cola z narastającą niechęcią. - Zawsze wychodzę wtedy na dwór. Chcę uwolnić się od zapachu.

Na dźwięk tego słowa policjanci poczuli w powietrzu smród i skierowali głowy w stronę budynku, a ten z notesem w ręku nie mógł powstrzymać bezwiednego skurczu nozdrzy.

- Gdzie ona leży?
- Tuż za płotem, pod kępą traw. Dlatego w pierwszej chwili jej nie zauważyłem.

- Dlaczego pan do niej podszedł?
- Bo zobaczyłem but.
- Że co?
- Zobaczyłem but. Na polu. A potem zobaczyłem drugi. Pomyślałem, że mogą być w dobrym stanie, więc przeszedłem przez dziurę w płocie, żeby je zabrać.

Przyszło mi na myśl, że mogą spodobać się żonie. - Kłamał. Przyszło mu na myśl, że może je sprzeda, ale nie chciał ujawnić tego przed policjantami. Kłamstwo było drobne i całkowicie niewinne, choć pierwsze z wielu, jakie policja miała usłyszeć na temat tego buta i osoby, która go nosiła.

- A potem? - ponaglił Colę pierwszy policjant, gdy nie usłyszał nic więcej.

- Potem przyszedłem z powrotem tutaj.

- Nie, nie - zaprotestował tamten, z irytacją potrząsając głową. - Chodzi mi o to, co się działo wcześniej. Co pan zrobił, gdy zobaczył but i tę kobietę?

Cola pospiesznie opowiedział całą historię, chcąc jak najszybciej zakończyć tę sprawę.

- Podniosłem jeden but, a potem dostrzegłem drugi. Leżał pod kępą traw. Pociągnąłem za niego, ale nie chciał się ruszyć. Sądziłem, że w coś się wbił, więc ponownie pociągnąłem i wtedy się zsunął. - Cola przełknął ślinę raz i drugi. - Miała go na nodze. Dlatego nie chciał się ruszyć.

- Długo pan tam stał?

Tym razem to Cola uważał, że ma przed sobą szaleńca.

- Gdzieżby! Zaraz tu przybiegłem, opowiedziałem wszystko Banditellemu, a on wezwał was.

Brygadzysta kiwnął głową na potwierdzenie prawdziwości tych słów.

- Czy pan przechadzał się koło tego miejsca? - dopytywał się pierwszy policjant.

- Czy się przechadzałem?

- Stał pan tam chwilę? Zapalił papierosa? Coś rzucił na ziemię?

Cola zdecydowanie potrząsnął przecząco głową. Drugi funkcjonariusz przewrócił kartkę w notesie, a pierwszy powiedział:

- Proszę o odpowiedź.

- Nie. Nic z tych rzeczy. Zobaczyłem ją, upuściłem but i poszedłem do budynku.

- Czy pan jej dotknął?

Cola spojrzał na policjanta ze zdumieniem.

- Ona była martwa - odparł. - Jasne, że jej nie dotknąłem.

- Przecież dotknął pan jej stopy - wtrącił drugi policjant, zerkając w

notatki.

- Nie dotknąłem jej stopy - zaprzeczył Cola, nie mając pewności, czy rzeczywiście tak było. - Dotknąłem buta, a on zsunął się ze stopy. - I jeszcze nie mógł powstrzymać się przed zadaniem pytania: - Po co miałbym jej dotykać?

Obaj policjanci pominęli to milczeniem. Pierwszy odwrócił się i kiwnął głową na drugiego, który szybkim ruchem zamknął notes.

- No dobra, niech pan nam pokaże, gdzie ona jest.

Cola stał jakby wrośnięty w ziemię i kręcił na boki głową. Plamy krwi na przodzie fartucha wyschły na słońcu i przyciągnęły chmarę much. Nie patrząc na policjanta, powiedział:

- Leży tam za budynkiem. Trzeba przejść przez dużą dziurę w siatce.

- Chciałbym, żeby pan pokazał nam to miejsce - nalegał policjant.

- Przecież wam powiedziałem, gdzie to jest - odpalił mu Cola podniesionym głosem.

Policjanci wymienili spojrzenia, które miały oznaczać, że niechęć Coli jest wymowna i warta zapamiętania. Zachowali jednak milczenie, odwrócili się i poszli wzdłuż budynku.

Było już południe, słońce waliło w płaskie denka policyjnych czapek. Obaj funkcjonariusze mieli włosy mokre od potu, który spływał im kropelkami po szyjach. Gdy wyszli na tyły rzeźni, zobaczyli dużą dziurę w ogrodzeniu i skierowali się w jej stronę. Zza pleców dobiegły ich ludzkie głosy, przemieszane z nieustającymi rykami i beczaniem konających zwierząt. Policjanci odwrócili się i zobaczyli pięciu lub sześciu mężczyzn, w fartuchach tak samo jak u Coli poplamionych zakrzepłą krwią, którzy stali zbici w grupę przy tylnym wejściu do budynku. Przywykli do tego rodzaju ciekawości, ruszyli dalej. Nisko pochyleni, przeszli przez dziurę w ogrodzeniu, a następnie skręcili w lewo, w stronę dużej kępy ostrej trawy, która rosła za siatką.

Zatrzymali się kilka metrów przed trawami. Wiedząc, czego szukają, szybko dostrzegli wystającą spod niskich łądyg stopę. Tuż przed nią leżały dwa

pantofle.

Wolnym krokiem podeszli do kępy traw, bacznie patrząc, gdzie stąpają, aby nie wdepnąć w paskudne kałuże lub na ślady stóp, które ktoś mógł tu pozostawić. Zatrzymali się tuż przy butach. Pierwszy policjant uklęknął, a potem ręką odsunął wysoką do pasa trawę.

Ciało leżało na wznak, a boki kostek wbiły się w ziemię. Jeden z policjantów schylił się i odgiął trawę, odsłaniając pozbawioną owłosienia łydkę. Zdjął okulary słoneczne i uważnie patrząc w zacienioną przestrzeń, powiódł wzrokiem po nogach, długich i umięśnionych, kościstym kolanie i czerwonej koronkowej bliźnie, która wystawała spod jaskrawoczerwonej sukni, odrzuconej na twarz. Na chwilę zatrzymał wzrok i wykrzyknął: - *Cazzo!* - po czym puścił źdźbła traw, które natychmiast się wyprostowały.

- Co jest? - spytał jego kolega.

- To mężczyzna.

Rozdział 3

Wiadomość o prostytuującym się transwestycie, którego znaleziono w Marghera ze zmasakrowaną głową, mogła wywołać sensację nawet wśród przemęczonych pracowników weneckiej komendy, zwłaszcza podczas długich świąt Ferragosto, gdy malała liczba zbrodni i dopuszczano się łatwych do przewidzenia przestępstw, takich jak kradzieże i włamania. Ale tego dnia musiały nadejść wiadomości o wiele bardziej makabryczne, aby mogła wyprzeć elektryzujące informacje, które rozeszły się z szybkością błyskawicy po korytarzach - w czasie ostatniego weekendu Maria Lucrezia Patta, żona zastępcy komendanta Giuseppe Patta, opuściła męża po dwudziestu siedmiu latach pożycia i przeprowadziła się do Mediolanu, gdzie zamieszkała z - tu opowiadający zawieszał głos, aby przygotować każdego nowego słuchacza na grom z jasnego nieba - Tito Burrascą, animatorem i siłą napędową pornograficznej produkcji filmowej we Włoszech.

Grom rozchodził się echem od rana, od chwili gdy do gmachu komendy weszła sekretarka pracująca w Ufficio Stranieri, której wuj zajmował małe mieszkanie nad mieszkaniem państwa Pattów. Wedle jego relacji, akurat przechodził koło ich drzwi, gdy wzajemna wrogość małżonków weszła w decydującą fazę. Patta wielokrotnie wykrzykiwał nazwisko kochanka żony, grożąc, że każe go aresztować, gdy tylko ten ośmieli się przyjechać do Wenecji. Pani Patta odpaliła mu, że nie tylko zamieszka z Burrascą, ale również zagra w jego następnym filmie. Wuj wrócił schodami na górę i przez pół godziny usiłował otworzyć drzwi do swojego mieszkania, a w tym czasie Pattowie dalej sobie wygrażali i obrzucali się oskarżeniami. Kłótnia ustała dopiero wtedy, gdy na końcu zaułka pojawiła się wodna taksówka i pani Patta opuściła mieszkanie

w towarzystwie taksówkarza, który niósł za nią sześć waliz, odprowadzana przekleństwami Patta dochodzącymi do uszu wuja dzięki akustyce kominowej klatki schodowej.

Ta wiadomość dotarła na komendę w poniedziałek o ósmej rano. Patta pojawił się tam o jedenastej. O wpół do drugiej nadeszła telefoniczna wiadomość o transwestycie, ale o tej porze większość pracowników już wyszła na obiad. Podczas posiłku niektórzy wdali się w dość burzliwe spekulacje na temat przyszłej kariery filmowej pani Patta. Świadectwem popularności zastępcy komendanta był poczyniony przy stoliku zakład o sto tysięcy liro w dla tego, kto pierwszy odważy się zapytać Pattę o zdrowie małżonki.

Guido Brunetti usłyszał o zamordowanym transwestycie od samego Patta, gdy o drugiej trzydzieści został wezwany do jego gabinetu.

- Właśnie otrzymałem telefon z Mestre - oznajmił Patta, pozwoliwszy Brunettiemu usiąść.

- Z Mestre, panie komendancie?

- To takie miasto na końcu Ponte della Liberta - warknął Patta. - Niewątpliwie słyszałeś o nim.

Wziąwszy pod uwagę, czego dowiedział się o Patcie tego ranka, Brunetti postanowił puścić mimo uszu złośliwość i spytał tylko:

- O co chodziło, panie komendancie?

- Dokonano tam morderstwa, którym nie ma kto się zająć.

- Przecież oni zatrudniają więcej pracowników niż my - stwierdził Brunetti, nie do końca pewny, ile Patta wie o funkcjonowaniu policji w obu miastach.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Brunetti - odparł Patta. - Ale spośród ich komisarzy dwóch jest na urlopie. Trzeci w miniony weekend złamał nogę w wypadku samochodowym. Pozostał im tylko jeden, ale ta kobieta - zastępca komendanta przerwał swe wyjaśnienia, żeby prychnąć z oburzeniem - w sobotę odchodzi na urlop macierzyński i nie będzie jej do końca lutego.

- A ci dwaj na urlopie? Nie można ich ściągnąć?

- Jeden jest w Brazylii, drugiego nikt nie jest w stanie odszukać.

Brunetti już miał napomknąć, że każdy komisarz, niezależnie od tego, dokąd udaje się na wakacje, musi zostawić wiadomość, gdzie można go zastać, ale rozmyślił się, widząc minę Patty, i spytał:

- Co wiadomo o tym morderstwie, panie komendancie?

- Ofiarą jest prostytutujący się transwestyta. Ktoś zmasakrował mu głowę i zostawił ciało na polu w Marghera. - Zanim Brunetti zdążył się wtrącić, Patta dodał: - Oszczędź sobie pytań. Sytuacja jest następująca: pole leży na terenie Marghera, ale jest własnością rzeźni, która znajduje się o kilka metrów dalej w Mestre - dlatego sprawa trafiła do komendy w Mestre.

Brunetti nie miał ochoty tracić czasu na szczegółowe rozważania o prawach własności czy granicach miasta i przeszedł do rzeczy.

- Skąd oni wiedzą, że ten człowiek uprawiał prostytutkę?

- Nie wiem, skąd oni to wiedzą. - Głos Patty lekko się podniósł. - Powtarzam ci to, czego się dowiedziałem.

Prostytutujący się transwestyta, w sukni, ze zmiażdżoną głową.

- Kiedy go znaleziono, panie komendancie?

Robienie notatek nie należało do zwyczajów Patty i dlatego nie zadał sobie trudu, aby sporządzić protokół z przeprowadzonej rozmowy. Fakty go nie interesowały - jedna dziwka więcej, jedna mniej, co za różnica - przejmował się zaś tym, że praca należąca do komendy w Mestre ma być wykonana przez jego pracowników. To z kolei oznaczało, że pomyślne rozwiązanie sprawy zostanie zapisane na rachunek Mestre. Potem jednak przypomniał sobie niedawne wydarzenia w swoim życiu osobistym i doszedł do wniosku, że ze względu na charakter tej sprawy może się zgodzić, by komendzie w Mestre przypadła zasługa, a także rozgłos za jej rozwikłanie.

- Dziś rano zadzwonił do mnie tamtejszy komendant z pytaniem, czy moglibyśmy się tym zająć. Co robi teraz wasza trójka?

- Mariani jest na urlopie, a Rossi wciąż zapoznaje się z dokumentami w sprawie Bortolozziego - wyjaśnił Brunetti.

- A ty?

- Zgodnie z ustaleniami w ten weekend miałem iść na urlop.

- Z tym możemy poczekać - stwierdził Patta ze stanowczością, która pozwalała sądzić, iż takie drobiazgi jak zarezerwowane pokoje w hotelu i wykupione bilety samolotowe są niewarte jego uwagi. - Poza tym niewątpliwie sprawa jest banalnie prosta. Odszukasz alfonsa, dostaniesz od niego listę klientów i wśród nich znajdziesz sprawcę.

- A mają alfonsów, panie komendancie?

- Kurwy? Jasne, że mają.

- Męskie kurwy też, panie komendancie? I prostytuujący się transwestyci? Zakładając, oczywiście, że on uprawiał prostytucję.

- Dlaczego według ciebie miałbym orientować się w tych sprawach? - spytał Patta z podejrzliwością i większym niż zazwyczaj poirytowaniem, co spowodowało, że Brunetti przypomniał sobie najświeższą wiadomość tego ranka i szybko zmienił temat.

- Kiedy do pana zadzwonili? - spytał.

- Kilka godzin temu. Dlaczego cię to interesuje?

- Zastanawiam się, czy ciało jest jeszcze na miejscu.

- W ten upał?

- Racja - przytaknął Brunetti. - Dokąd je zawieziono?

- Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że do szpitala. Pewno do Umberto Primo, chyba tam robią sekcje zwłok. Dlaczego pytasz?

- Chciałbym zobaczyć ciało - wyjaśnił Brunetti - i miejsce, gdzie zostało znalezione.

Patta nie należał do ludzi, którzy interesują się drobiazgami, więc dodał tylko:

- Ponieważ jest to sprawa komendy w Mestre, niech cię wożą ich

kierowcy, nie nasi.

- Coś jeszcze, panie komendancie?

- To wszystko. Sprawa jest niewątpliwie bardzo prosta. Wyjaśnisz ją do końca tygodnia i w weekend pojedziesz na urlop. - Swym zwyczajem Patta nie zapytał, dokąd Brunetti zamierza się udać ani jakie rezerwacje będzie zmuszony odwołać. Znowu te drobiazgi.

Po wyjściu Brunetti zauważył, że podczas rozmowy z szefem w małej poczekalni przylegającej do gabinetu Patty nagle pojawiły się meble. Przy ścianie postawiono duże drewniane biurko, a pod oknem mały stolik. Nie zastanawiając się nad tym, zszedł po schodach i udał się do pokoju, gdzie pracowali mundurowi funkcjonariusze. Sierżant Vianello uniósł głowę znad stosu papierów leżących na biurku i uśmiechnął się do Brunettiego.

- Uprzedzę pana pytanie, komisarzu. Tak, to prawda. Chodzi o Tito Burrascę.

Potwierdzenie wiadomości zdumiało Brunettiego tak samo jak przed kilkoma godzinami, gdy usłyszał ją po raz pierwszy. Burrasca był we Włoszech legendą, jeśli tak można powiedzieć. Zaczął kręcić filmy w latach sześćdziesiątych - horrory pełne krwawych i okrutnych scen, tak uderzające swoją sztucznością, że można by podejrzewać ich autora o bezwiedne parodiowanie gatunku. Burrasca, który choć nie znał się na robieniu horrorów, nie był głupcem; odpowiedział na społeczne zapotrzebowanie na tego rodzaju filmy, wprowadzając jeszcze więcej sprzeczności: na przykład aktorzy grający wampirów nosili zegarki, bo zapomnieli je zdjąć, wiadomość o ucieczce Drakuli nadchodziła przez telefon, a w obsadzie byli aktorzy ze szkoły mimów. W krótkim czasie Burrasca stał się postacią kultową; jego filmy przyciągały tłumy ludzi, którzy delectowali się wychwytywaniem sztuczności i kompromitujących wpadek.

W latach siedemdziesiątych zaangażował tych mistrzów sztuki mimicznej do filmów pornograficznych, w których popisali się nie mniejszą biegłością. W

tych produkcjach zaprojektowanie kostiumów nie stanowiło problemu, a wymyślenie akcji, jak się szybko przekonał, również nie było żadnym wyzwaniem dla prawdziwego twórcy - wystarczyło tylko odświeżyć pomysły zastosowane w horrorach i przerobić upiory, wampiry i wilkołaki na gwałcicieli i maniaków seksualnych, a publiczność, tym razem trochę inna i wcale nie zainteresowana wychwytywaniem anachronizmów, zaczęła wypełniać sale kinowe, mniejsze niż poprzednio.

Lata osiemdziesiąte dały Włochom dziesiątki prywatnych stacji telewizyjnych, a Burrasca dał tym stacjom swoje najnowsze filmy, już bardziej stonowane z uwagi na domniemaną wrażliwość odbiorców produkcji telewizyjnej. Potem odkrył kasety wideo. Szybko znalazł się w gronie ludzi, którzy dostarczali Włochom taniej rozrywki urozmaicającej ich codzienne życie - Burrasca stał się obiektem żartów w telewizyjnych programach rozrywkowych i postacią z kreskówek zamieszczanych w gazetach. Po głębszej analizie swej pełnej sukcesów działalności postanowił przenieść się do Monako i przyjąć obywatelstwo księstwa, które prowadziło tak rozsądną politykę podatkową. Zatrzymał dla siebie dwunastopokojowe mieszkanie w Mediolanie - jak wyjaśnił włoskim urzędnikom podatkowym, służyło jedynie do podejmowania gości prowadzących z nim interesy. Ostatnimi czasy ich grono najwyraźniej powiększyła Maria Lucrezia Patta.

- W rzeczy samej chodzi o Tito Burrascę - powtórzył sierżant Vianello, powstrzymując się od uśmiechu nadludzka, jak przypuszczał Brunetti, siłą. - Chyba ma pan szczęście, mogąc spędzić kilka najbliższych dni w Mestre.

Brunettiemu mimo woli wyrwało się pytanie:

- I nikt nie wiedział o tym wcześniej?

- Nikt. Nie padło ani jedno słowo - odparł Vianello.

- Nawet wuj Anity nic nie wiedział? - zdziwił się Brunetti, nie kryjąc, że również wyżsi rangą funkcjonariusze znają źródło tej wiadomości.

Zabrzączał telefon na biurku. Vianello podniósł słuchawkę i nacisnął

guzik.

- Słucham, panie komendancie. - Przez chwilę nic nie mówił, po czym odparł: - Oczywiście, panie komendancie - i odłożył słuchawkę.

Brunetti rzucił mu pytające spojrzenie.

- Chodziło mu o urząd imigracyjny. Chciał się dowiedzieć, jak długo Burrasca może pozostać w kraju, skoro przyjął inne obywatelstwo.

Brunetti pokręcił głową, mówiąc:

- Należy chyba współczuć biedakowi.

Vianello nie mógł albo nie chciał ukryć zdziwienia.

- Współczuć? Jemu? - Z wyraźnym trudem powstrzymał napór słów i znowu zajął się dokumentami.

Brunetti wrócił do swojego pokoju. Stamtąd zadzwonił do Mestre, przedstawił się i poprosił o połączenie z osobą zajmującą się sprawą morderstwa transwestyty. Po paru minutach w słuchawce odezwał się sierżant Gallo, który powiedział, że zlecono mu prowadzenie tej sprawy, dopóki nie przejmie jej ktoś wyższy rangą. Brunetti przedstawił się i wyjaśnił, że właśnie on jest tą osobą, a potem poprosił Galla o wysłanie samochodu, który za pół godziny ma czekać na niego na Piazzale Roma.

Kiedy Brunetti wyszedł z ciemnego korytarza na dwór, promienie słońca uderzyły w niego jak obuchem. Na chwilę oślepiony blaskiem i refleksami na wodzie, sięgnął do górnej kieszeni marynarki i wyjął okulary od słońca. Nim zrobił pięć kroków, poczuł, że jego koszula nasiąka potem, który spływa mu po plecach. Skręcił w prawo, podejmując natychmiastową decyzję, żeby przejść do kościoła San Zaccaria i tam wsiąść do autobusu linii 82, choć przez dużą część drogi musiałby iść w słońcu. Gdyby skierował się w stronę mostu Rialto, droga prowadziłaby w cieniu rzucanym przez wysokie domy, ale byłaby dwa razy dłuższa, a każda dodatkowa minuta spędzona na dworze napawała go przerażeniem.

Przy Riva degli Schiavoni wysiadł, spojrzał w lewo i zobaczył tramwaj

wodny przycumowany do nabrzeża oraz tłum wysiadających z niego ludzi. Stanął przed wyborem typowym dla mieszkańców Wenecji - pobiec i, być może, zdążyć na łódź lub zrezygnować i przez dziesięć minut w duchocie czekać na następną. Puścił się pędem. Gdy biegł po kołyszącym się pomoście, musiał dokonać kolejnego wyboru - zatrzymać się na chwilę, żeby podstemplować bilet w żółtym kasowniku przy wejściu, a wtedy łódź mogłaby odpłynąć, czy też wbiec na łódź i zapłacić pięćset lirów kary za brak ważnego biletu. Przypomniawsobie jednak, że jako policjant na służbie może korzystać z komunikacji na koszt miasta.

Choć przebiegł dość małą odległość, pot spływał mu po twarzy i po piersiach. Wolał więc zostać na pokładzie, gdzie przynajmniej odrobina wiatru, powstałego wskutek majestatycznego ruchu łodzi po Canale Grande, pozwalała mu trochę ochłonać. Rozejrzał się wokoło i zobaczył półnagich turystów, mężczyzn i kobiety w kostiumach kąpielowych, szortach lub podkoszulkach z głęboko wyciętym dekoltem i przez chwilę pozazdrościł im, bo wiedział, że w takim stroju może pojawić się tylko na plaży.

Gdy wyschła mu skóra i przeszła zazdrość, wpadł w typowe dla niego rozdrażnienie na widok tak ubranych turystów. Jeśli mieliby doskonałe sylwetki i doskonałe stroje, może mniej by go irytowali. A tak ich niedbałe ubiory i w wielu przypadkach jeszcze bardziej zaniedbane ciała sprawiały, że z rozmarzeniem pomyślał o skromności obowiązującej w społeczeństwach muzułmańskich. Nie był, jak to mawiała Paola, „niewolnikiem elegancji”, ale uważał, że lepiej prezentować się dobrze niż źle. Gdy odwrócił wzrok od współpasażerów i spojrzał na pałace stojące wzdłuż kanału, jego rozdrażnienie natychmiast się ulotniło. One też były w większości zaniedbane, lecz ich wygląd świadczył o wielowiekowym wyniszczeniu, natomiast wygląd turystów dowodził ich wygodnictwa i skłonności do kupowania tanich ubrań. Miasto się postarzało, ale Brunetti uwielbiał smutek na jego zmieniającym się obliczu.

Choć nie ustalił konkretnego miejsca, gdzie samochód ma czekać, poszedł

w stronę posterunku karabinierów na Piazzale Roma i zobaczył przed nim biało-niebieskiego sedana, jakim jeżdżą funkcjonariusze Squadra Mobile z Mestre, który stał z zapalonym silnikiem. Puknął w szybę przy kierownicy i gdy siedzący w środku młody człowiek opuścił okno, poczuł przez koszulę powiew chłodnego powietrza.

- Pan komisarz? - Gdy Brunetti kiwnął głową, kierowca wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwi. - Przysłał mnie sierżant Gallo.

Brunetti wsiadł, oparł głowę o zagłówek. Na piersiach i na ramionach poczuł zimny pot, ale nie był przekonany, czy jest to dla niego przyjemne, czy dokuczliwe.

- Gdzie chce pan jechać, panie komisarzu? - zapytał młody policjant, wrzucając bieg.

Na wakacje, w sobotę, odparł w duchu Brunetti, zachowując tę informację dla siebie - i dla komendanta Patty.

- Zawieź mnie tam, gdzie go znaleźliście - polecił.

Dojechawszy na koniec grobli, która wiodła z Wenecji na ląd stały, młody policjant skręcił w stronę Marghera. Laguna zniknęła z pola widzenia i wkrótce znaleźli się na prostej drodze, na której ruch tamowały liczne samochody i światła na każdym skrzyżowaniu. Jechali wolno.

- Byłeś tam dziś rano?

Kierowca odwrócił się i zerknął na Brunettiego, ale zaraz ponownie objął wzrokiem drogę przed sobą. Przylegający do karku kołnierzyk jego koszuli wyglądał świeżo i czysto. Być może, policjant spędził cały dzień w tym klimatyzowanym aucie.

- Nie, panie komisarzu. Wysłano tam Buffa i Rubellego.

- W raporcie, który otrzymałem, było napisane, że zamordowany uprawiał prostytutkę. Czy udało się go zidentyfikować?

- Nic o tym nie wiem, panie komisarzu, ale można chyba sądzić, że tym się zajmował.

- Na jakiej podstawie?

- Przecież tam chodzą dziwki, panie komisarzu, przynajmniej te tanie. Za fabryki. Zawsze można zobaczyć z tuzin kobiet, które czekają przy szosie na tych, co chcą odwalić szybki numer w drodze z pracy do domu.

- Mężczyźni też?

- Nie rozumiem, panie komisarzu. A kto chodzi na dziwki?

- Miałem na myśli kurwy męskie. Czy to prawdopodobne, że pojawiają się w miejscach, gdzie tyle ludzi widzi mężczyzn, którzy zatrzymują się tam, żeby skorzystać z ich usług? Chyba niewielu mężczyzn chciałoby ujawniać tego rodzaju upodobania swoim znajomym.

Kierowca zastanowił się nad tym przez chwilę.

- Gdzie zazwyczaj pracują? - zapytał Brunetti.

- Kto? - Młody policjant wolał się upewnić, nie chcąc dać się zwieść kolejnym podchwytliwym pytaniem.

- Męskie kurwy.

- Zwykle widuje się je przy Via Cappuccina, panie komisarzu. Czasem również na dworcu kolejowym, ale latem, gdy przyjeżdża tylu turystów, próbujemy temu przeciwdziałać.

- Czy zamordowany żył tylko z prostytucji?

- Nie wiem, panie komisarzu.

Samochód skręcił w lewo, przeciął wąską drogę, a potem skręcił w prawo i wjechał na szeroką jezdnię z niskimi budynkami po obu stronach. Brunetti spojrzął na zegarek. Dochodziła piąta.

Przydrożne budynki stały w coraz większej odległości od siebie, a między nimi rosła niska trawa i gdzieniegdzie krzaki. Mijali porzucone samochody, ustawione pod dziwnym kątem, z rozbitymi szybami i rozprutymi siedzeniami wyrzuconymi na zewnątrz. Każdy budynek był kiedyś otoczony płotem, który w wielu miejscach oderwany od palików chwiało się na boki.

Przy drodze stało kilka kobiet, dwie schroniły się w cieniu plażowego

parasola, wbitego w ziemię.

- Czy one wiedzą, co tu się dzisiaj wydarzyło? - spytał Brunetti.

- Na pewno wiedzą, panie komisarzu. Takie wiadomości rozchodzą się szybko.

- I mimo to przyszły tutaj? - Brunetti nie mógł ukryć zdziwienia.

- Przecież muszą z czegoś żyć. Poza tym, ponieważ ofiarą był mężczyzna, im nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Tak pewno rozumują. - Kierowca zwolnił i zjechał na pobocze. - To tutaj, panie komisarzu.

Brunetti otworzył drzwi samochodu i wysiadł. Uderzył go upał lepki od wilgoci. Przed sobą miał długi, niski budynek; z jednej strony znajdowały się cztery strome rampy z betonu, które prowadziły do podwójnych metalowych drzwi. Przy rampie stał biało-niebieski policyjny sedan. Budynek nie miał żadnej tabliczki, mówiącej co się w nim mieści, ale było to zbyteczne, zważywszy na bijący stamtąd odór.

- Chyba znaleziono go gdzieś z tyłu - wtrącił kierowca.

Brunetti poszedł za prawe skrzydło budynku, ku otwartym polom. Zobaczył jeszcze jeden rozchwiany płot, akację, która jakimś cudem tam przetrwała, i policjanta na drewnianym krześle śpiącego w cieniu drzewa.

- Scarpa! - zawołał kierowca, zanim Brunetti zdążył się odezwać. - Pan komisarz przyjechał.

Policjant raptownie uniósł głowę, natychmiast się obudził, poderwał z krzesła i zasalutował.

- Dzień dobry, panie komisarzu.

Brunetti dostrzegł mokrą od potu, przyklejoną do ciała koszulę, która nie była już biała, lecz lekko różowa, i wiszącą na oparciu mundurową kurtkę.

- Jak długo tu siedzicie, Scarpa? - spytał, gdy podszedł bliżej.

- Od kiedy wyjechali ludzie z laboratorium, panie komisarzu.

- O której to było?

- Koło trzeciej, panie komisarzu.

- Dlaczego wciąż tu jesteście?

- Sierżant dowodzący kazał mi zostać tu, dopóki nie przyjedzie ekipa, która przesłucha pracowników rzeźni.

- Czemu siedzicie w tym upale?

Policjant nawet nie próbował wykręcić się od odpowiedzi ani elegancko jej sformułować.

- Nie mogłem znieść smrodu, panie komisarzu - wyjaśnił. - Kiedy wyszedłem na zewnątrz i zrobiło mi się niedobrze, wiedziałem, że nie jestem w stanie wejść z powrotem do budynku. Najpierw przez godzinę stałem na powietrzu, a ponieważ tylko tu jest kawałek cienia, przyniosłem sobie krzesło.

Słuchając tych wyjaśnień, Brunetti i kierowca odruchowo ścieśnili się na niewielkim skrawku ocienionego terenu.

- Wiecie, czy przyjechała już ekipa, która ma przesłuchać pracowników?

- Dotarli tu jakąś godzinę temu, panie komisarzu.

- To co tu jeszcze robicie? - zdziwił się Brunetti.

Scarpa obrzucił go lodowatym spojrzeniem i powiedział:

- Spytałem sierżanta, czy mogę wrócić do miasta, ale on chciał, żebym pomógł im przesłuchać robotników. Zgodziłem się pod warunkiem, że ci ludzie będą rozmawiać ze mną na dworze. Sierżantowi to się nie spodobało, ale ja po prostu nie byłem w stanie wejść do środka.

Jakby na potwierdzenie prawdziwości tych słów Brunettiego owiał lekki wietrzyk.

- Więc co tu robicie? Dlaczego nie siedzicie w samochodzie?

- On kazał mi tu czekać, panie komisarzu - odparł policjant, dalej patrząc na Brunettiego zimnym wzrokiem. - Spytałem, czy mogę usiąść w samochodzie, bo tam jest klimatyzacja, ale powiedział, że skoro nie chcę mu pomóc, to mam zostać tutaj. - Uprzedzając kolejne pytanie, dodał: - Następny autobus przyjeżdża dopiero za piętnaście ósma, żeby zabrać ludzi po pracy do miasta.

Po chwili zastanowienia Brunetti spytał:

- Gdzie go znaleziono?

Scarpa odwrócił się i wskazał wysoką trawę za płotem.

- Leżał tam, pod tą kępą, panie komisarzu.

- Kto go znalazł?

- Jeden z pracujących tu robotników. Wyszedł na dwór na papierosa i zobaczył na ziemi but, chyba czerwony. Chciał obejrzeć ten but, więc podszedł bliżej.

- Byliście tu, kiedy przyjechali ludzie z laboratorium?

- Byłem, panie komisarzu. Obeszli cały teren, zrobili zdjęcia i zabrali wszystko, co leżało na ziemi w promieniu chyba ze stu metrów od tej kępy traw.

- Wzięli odciski butów?

- Chyba tak, panie komisarzu, ale nie jestem pewny. Były tam ślady butów robotnika, który go znalazł, ale wydaje mi się, że natrafili na jeszcze inne.

- Przerwał na chwilę, otarł pot z czoła i dodał: - Policjantów, którzy pierwsi oglądali to miejsce.

- Ślady butów waszego sierżanta?

- Tak, panie komisarzu.

Brunetti obrzucił wzrokiem kępę trawy, a następnie policjanta w prze poczonej koszuli.

- Idźcie do naszego samochodu, Scarpa. Jest klimatyzowany - powiedział, po czym zwrócił się do kierowcy: - Ty też usiądź w samochodzie. Poczekaście tam na mnie.

- Dziękuję, panie komisarzu - odparł z wdzięcznością policjant i sięgnął po kurtkę.

- Tym nie zwracaj sobie głowy - dodał Brunetti.

- Dziękuję, panie komisarzu - powtórzył Scarpa i podniósł krzesło. Obaj policjanci poszli z powrotem w kierunku budynku. Scarpa postawił krzesło na betonowej płycie przed tylnymi drzwiami do rzeźni i wraz z kierowcą zniknął za rogiem.

Brunetti podszedł do dziury w ogrodzeniu. Nisko schylony przedostał się na drugą stronę, a następnie podszedł do kępy traw. Dookoła widać było ślady pozostawione przez ekipę z laboratorium: dziury w ziemi po wbitych prętach mierniczych, małe kupki piachu powstające, gdy człowiek obraca się w miejscu, a bliżej kępy wiązkę uciętych i równo ułożonych łodyg - pewno musieli ścinać trawę, żeby dostać się do ciała i wydobyć je bez zadrapań, jakie mogły pozostawić na skórze ostre żdźbła.

Z tyłu doszedł Brunettiego huk zatrzasniwanych drzwi, a potem męski głos.

- Hej, ty, co ty tam robisz? Zjeżdżaj stamtąd!

Brunetti odwrócił i, tak jak przypuszczał, zobaczył mężczyznę w mundurze policjanta, który szybkim krokiem zbliżał się do niego od strony budynku. Nie ruszając się z miejsca, bacznie mu się przyglądał, a wtedy tamten wyciągnął pistolet z kabury i wykrzyknął:

- Podnieś ręce i stań przy ogrodzeniu!

Brunetti odwrócił się i podszedł do siatki, stawiając kroki tak, jakby szedł po kamieniach przez potok, i trzymając wyciągnięte na boki ramiona dla utrzymania równowagi.

- Miałeś podnieść ręce - warknął policjant.

Celował z pistoletu, więc Brunetti nawet nie próbował przekonywać go, że podniósł ręce, choć nie tak wysoko, by znalazły się nad głową, i powiedział tylko:

- Dzień dobry, sierżancie. Nazywam się Brunetti. Jestem komisarzem z komendy w Wenecji. Czy przesłuchuje pan tutejszych pracowników?

Sierżant miał małe oczy bez śladów inteligencji, ale mimo to wyrażały one niepokój człowieka, który znalazł się w potrzasku. Zastanawiał się, co ma zrobić. Zażądać dowodu i wylegitymować komisarza policji? Czy puścić wolno nieznanego, który podaje się za wysokiej rangi funkcjonariusza?

- Przepraszam, panie komisarzu, ale oślepiło mnie słońce i nie poznałem

pana - usprawiedliwiał się, choć promienie słońca padały na jego lewe ramię. Gdyby na tym poprzestał, Brunetti uznałby, choć z niechęcią, to wytłumaczenie za wystarczające, ale usłyszał jeszcze:

- Człowiekowi trudno przyzwyczaić się do takiego słońca, gdy wyjdzie z mroku, jaki panuje tam w środku. Poza tym nie spodziewałem się, że ktoś tu przyjedzie.

Na plakietce przyklejonej na piersi widniało nazwisko: Buffo.

- Przez kilka najbliższych tygodni komenda w Mestre nie będzie miała żadnego komisarza, więc wysłano mnie tutaj, żebym poprowadził śledztwo. - Brunetti pochylił się i przeszedł przez dziurę w płocie. Kiedy znalazł się po drugiej stronie, pistolet Buffa spoczywał już w zamkniętej na zatrask kaburze.

- Czego się dowiedzieliście od pracowników? - spytał, kiedy ruszyli w stronę tylnych drzwi rzeźni.

- Nic ponad to, co powiedziano mi dziś rano przez telefon, panie komisarzu. Jeden z rzeźników, Bettino Cola, znalazł ciało dziś tuż po jedenastej. Wyszedł na dwór zapalić i podszedł do kępy traw, żeby przyjrzeć się butom, które, jak twierdzi, leżały na ziemi.

- A nie leżały? - zapytał Brunetti.

- Leżały. Znaleźliśmy je tam. - Ton Buffa sugerował, że Cola sam je tam położył, żeby odsunąć od siebie podejrzenia. Podobnie jak cywile i przestępcy, Brunetti nie znosił tak zwanych twardych gliniarzy. - Zawiadomiono nas, że na polu znaleziono ciało kobiety, prostytutki. Odebrałem ten telefon, przyjechałem tu i zobaczyłem faceta. - Buffo splunął na ziemię.

- W raporcie, który dostałem, jest napisane, że uprawiał prostytucję - powiedział Brunetti spokojnym tonem. - Czy ustalono jego tożsamość?

- Jeszcze nie. Ludzie z kostnicy mają go obfotografować, choć był niezłe zmasakrowany, a potem plastyk narysuje, jak facet wyglądał przedtem. Będziemy pokazywać ten rysunek i prędzej czy później ktoś go rozpozna. Ci chłoptysie są dobrze znani - wyjaśnił Buffo, uśmiechając się ni to szyderczo, ni

to pogardliwie.

- Jeśli jest tutejszy - dodał - szybko będziemy mieli jego dane.

- A jeśli nie jest tutejszy? - zapytał Brunetti.

- Pewno potrwa to trochę dłużej. Albo nigdy nie poznamy jego nazwiska.

Tak czy inaczej, mała strata.

- Dlaczego tak sądzicie, sierżancie? - spytał Brunetti z łagodnością w głosie, ale do Buffa nie dotarło, co może ten ton oznaczać.

- Na co komu ci zboczeńcy? Są nafaszerowani AIDS i nie przejmują się, że zarażają przyzwoitych ludzi pracy.

Brunetti stanął, odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy.

- W moim rozumieniu, sierżancie Buffo, ci przyzwoici ludzie pracy, którymi tak się przejmujecie, zarażają się AIDS, ponieważ płacą tym „zboczeńcom”, żeby dali się pieprzyć. Nie powinniśmy o tym zapominać. I nie powinniśmy też zapominać, że ten nieżyjący mężczyzna, kimkolwiek był, został zamordowany, a naszym obowiązkiem jest odnaleźć mordercę. Nawet jeśli był przyzwoitym człowiekiem pracy.

Otworzył drzwi i uznał, że w rzeźni cuchnie mniej niż na zewnątrz.

Rozdział 4

Brunetti niewiele więcej dowiedział się od pracujących w budynku robotników. Cola powtórzył swą opowieść, a brygadzysta ją potwierdził. Buffo z ponurą miną poinformował go, że nikt z pracowników rzeźni nie zauważył niczego dziwnego ani tego ranka, ani poprzedniego dnia. prostytutki stanowiły element krajobrazu, wszyscy przestali już interesować się ich poczynaniami. Nikt nie przypominał sobie, żeby na terenie za rzeźnią kiedykolwiek je widywano - przede wszystkim ze względu na unoszący się tam smród. Nawet gdyby któraś pojawiła się w tej okolicy, prawdopodobnie nikt nie zwróciłby na to szczególnej uwagi.

Uzyskawszy te informacje, Brunetti poszedł do samochodu i polecił kierowcy jechać do Mestre. Scarpa, już ubrany w kurtkę mundurową, wysiadł z wozu i razem z sierżantem Buffo wsiadł do drugiego. Gdy oba samochody zmierzały do Mestre, Brunetti mimo upału otworzył do połowy okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza i złagodzić zapach rzeźni, którym nasiąknęło jego ubranie. Jak większość Włochów, pokpiwał sobie z propagatorów wegetarianizmu i wyśmiewał ten zwyczaj jako jeszcze jeden kaprys ludzi sytych, ale dzisiaj wydał mu się całkowicie sensowny.

Po przyjeździe na komendę kierowca zaprowadził go na drugie piętro i przedstawił sierżantowi Gallo, mężczyźnie o trupim wyglądzie i zapadniętych oczach, który sprawiał wrażenie wewnątrz wypalonego wieloletnią pogonią za przestępcami. Gdy Brunetti usiadł przy jego biurku, sierżant stwierdził, że w sprawie morderstwa wie niewiele więcej od Brunettiego, ale lekarz, który przeprowadził sekcję zwłok, ustnie przekazał mu wstępny raport. Śmierć była spowodowana serią ciosów w głowę i w twarz i nastąpiła jakieś dwanaście do

osiemnastu godzin przed znalezieniem ciała. Ze względu na panujący upał trudno precyzyjniej określić godzinę. Kształt ran i znalezione w nich okruchy rdzy pozwalały przypuszczać, że narzędziem zbrodni był metalowy przedmiot, prawdopodobnie kawałek rury, niewątpliwie coś o kształcie cylindrycznym. Wyniki analizy krwi i treści żołądka zostaną nadesłane z laboratorium najwcześniej w środę rano i dlatego jeszcze nie wiadomo, czy w chwili śmierci ofiara znajdowała się pod wpływem narkotyków lub alkoholu. Ponieważ wiele prostytutek w mieście i niemal wszyscy transwestyci notorycznie zażywali narkotyki, takie podejrzenie było uzasadnione, choć na ciele nie znaleziono śladów po zastrzykach dożylnych. Żołądek był pusty, ale stwierdzono, że sześć godzin przed śmiercią mężczyzna ten zjadł posiłek.

- A jego ubranie? - zapytał Brunetti Galia.

- Czerwona suknia z taniego syntetycznego materiału. Czerwone pantofle, prawie nowe, rozmiar czterdzieści jeden. Wydam polecenie, żeby spróbowano ustalić, kto je wyprodukował.

- Czy dostarczono już zdjęcia?

- Będą gotowe dopiero jutro rano, panie komisarzu, ale sądząc po tym, co mówili ludzie, którzy przywieźli ofiarę, nie będzie pan chciał ich oglądać.

- Takie koszmarne?

- Morderca albo ogromnie nienawidził tego człowieka, albo był niespełna rozum, gdy zaatakował. Całkowicie zmiotł mu nos.

- Czy zleci pan plastykowi zrobienie portretu? - zapytał Brunetti.

- Tak, ale z konieczności będzie musiał oprzeć się na przypuszczeniach. Znamy jedynie kształt twarzy, kolor oczu i kolor włosów - odparł Gallo i dodał po chwili:

- Miał bardzo cienkie włosy i dużą łysinę, więc można się domyślać, że nosił perukę, gdy... hm... szedł do pracy.

- Czy znaleziono perukę?

- Nie, panie komisarzu. Wygląda na to, że zamordowano go gdzieś

indziej, a potem przeniesiono tam, gdzie został znaleziony.

- Wskazują na to odciski butów?

- Tak. Technicy znaleźli ślady wiodące do i od kępy trawy.

- Te pierwsze nieco głębsze? - upewnił się Brunetti.

- Zgadza się, panie komisarzu.

- A zatem zanesiono go tam i porzucono pod kępą trawy. Skąd wiodły ślady?

- Skrajem pola rozciągającego się za rzeźnią biegnie wąska, wyłożona płytami droga. Wygląda na to, że przyniesiono go stamtąd.

- Są ślady na drodze?

- Nie, panie komisarzu. Od tygodni nie mieliśmy deszczu, więc nie można stwierdzić, czy zatrzymał się tam jakiś samochód, a nawet ciężarówka. Mamy tylko te odciski butów. Męskich. Rozmiar czterdzieści trzy.

Mój rozmiar, przeleciało przez myśl Brunettiemu.

- Czy macie wykaz transwestytów uprawiających prostytutkę? - zapytał.

- Tylko tych, którzy mieli z nami do czynienia, panie komisarzu.

- Z jakiego powodu?

- Jak zwykle. Narkotyki, bójki. Czasem któryś z nich wdaje się w bójkę z klientem. Zwykle chodzi o pieniądze. Ale jak dotąd żaden nie wpakował się w nic poważnego.

- A te bójki? Są brutalne?

- Nic z tych rzeczy, panie komisarzu. Nigdy tak się nie zdarzyło.

- Ilu ich macie w wykazie?

- W aktach zanotowaliśmy ze trzydziestu, ale to tylko ułamek. Wielu z nich wywodzi się z Pordenone albo przyjeżdża z Padwy. Pewno tam robią niezły interes.

Pordenone było najbliższym z większych miast, znajdujących się w sąsiedztwie amerykańskich i włoskich baz wojskowych - to mogło być przyczyną, pomyślał Brunetti. A Padwa? Czyżby ze względu na uniwersytet?

Jeśli tak, to zaszły duże zmiany od czasów, gdy skończył tam studia na wydziale prawa.

- Wieczorem chciałbym przejrzeć te akta. Czy mógłby pan skopiować je dla mnie?

- Już to zrobiłem. - Gallo wręczył komisarzowi gruby niebieski skoroszyt.

Brunetti uprzytomnił sobie, że nawet tutaj, w Mestre, mniej niż dwadzieścia kilometrów od Wenecji, mogą traktować go jako obcego. Zależało mu na znalezieniu płaszczyzny bliższego kontaktu z Gallem, aby traktowano go jako członka grupy rozpracowującej sprawę, a nie zwierzchnika przybyłego z zewnątrz.

- Pan chyba pochodzi z Wenecji, prawda? - zapytał. Gdy Gallo kiwnął głową, dodał: - Z Castello? - Sierżant znowu przytaknął, tym razem z uśmiechem, tak jakby dobrze wiedział, że choćby wyjechał na koniec świata, nie pozbędzie się swojego akcentu.

- Jak pan znalazł się w Mestre? - zainteresował się Brunetti.

- Wie pan, jak to jest, komisarzu - odparł Gallo. - Straciłem ochotę na szukanie mieszkania w Wenecji. Razem z żoną próbowaliśmy coś znaleźć przez dwa lata, ale to nierealne. Nikt nie chce wynająć mieszkania weneccjaninowi, ponieważ boi się, że lokator nigdy się nie wyprowadzi. A żeby kupić mieszkanie... Kogo stać na zapłacenie pięciu milionów za metr kwadratowy? Wobec tego przenieśliśmy się tutaj.

- Mam wrażenie, że mówi pan o tym z żalem, sierżancie.

Gallo wzruszył ramionami. Taki los czekał wielu weneccjan, których niebotyczne czynsze i ceny zmusiły do wyjazdu z miasta.

- Zawsze ciężko jest opuszczać rodzinne strony, panie komisarzu - zauważył Gallo i Brunetti usłyszał w jego głosie cieplejszy ton.

- Czy ma pan tu kogoś, kto zaznajomił się z nimi - komisarz puknął palcem w skoroszyt - i cieszy się ich zaufaniem?

- Był taki pracownik, nazywał się Benvenuti, ale w zeszłym roku

przeszedł na emeryturę.

- A prócz niego?

- Nie mamy nikogo, panie komisarzu. - Gallo umilkł na chwilę, jakby zastanawiał się, czy może pozwolić sobie na powiedzenie następnego zdania.

- Niestety, wielu młodych funkcjonariuszy traktuje tych ludzi z przymrużeniem oka.

- Dlaczego tak pan uważa, sierżancie?

- Jeśli któryś z tych facetów wniesie skargę, na przykład że pobił go klient - oni nie oskarżają klientów o to, że im nie zapłacili, pan rozumie, takie sprawy nie leżą w naszych kompetencjach - ale gdy chodzi o pobicie, żaden funkcjonariusz nie chce przeprowadzić śledztwa, nawet gdy znamy nazwisko sprawcy. A jeśli już go przesłuchają, zazwyczaj nic z tego nie wynika.

- Miałem tego przedsmak podczas rozmowy z sierżantem Buffo - wtrącił Brunetti.

Słyszając to nazwisko, Gallo zacisnął usta, ale nic nie powiedział.

- A jeśli chodzi o kobiety? - zapytał Brunetti.

- Ma pan na myśli dziwki?

- Tak. Czy mają kontakty z transwestytami?

- Z tego powodu nie mieliśmy jak dotąd żadnych kłopotów, przynajmniej nic o tym nie słyszałem, ale nie wiem, jak bliskie są te kontakty. Nie sądzę, aby rywalizowały z nimi o klientów, jeśli to ma pan na myśli.

Brunetti sam nie wiedział, o co mu chodzi, i zdał sobie sprawę, że jego pytania będą nieprecyzyjne, dopóki nie zapozna się z zawartością niebieskiego skoroszytu albo dopóki tożsamość zmarłego nie zostanie ustalona. Nim to się stanie, nie ma co rozważać motywu zbrodni i nie ma podstaw, by zastanawiać się, jak jej dokonano.

Wstał i spojrzał na zegarek.

- Chciałbym, żeby wasz kierowca przyjechał po mnie jutro rano, o ósmej trzydzieści. Dobrze by było, gdyby do tego czasu plastyk skończył pracę. Jeśli

portret będzie gotowy wcześniej, proszę jeszcze dziś wieczorem wysłać przynajmniej dwóch ludzi na obchód, żeby porozmawiali z transwestytami i sprawdzili, czy któryś z nich zna ofiarę albo słyszał o zniknięciu kogoś z Pordenone lub Padwy. Niech pana ludzie pytają dziwki - to znaczy kobiety - czy transwestyci bywają w miejscu, gdzie znaleziono ofiarę, albo czy słyszały, że któryś z nich dawniej tam bywał. - Zabierając skoroszyt, dodał: - Przeczytam to dziś wieczorem.

Gallo zanotował polecenia Brunettiego, a potem wstał i odprowadził go do drzwi.

- Zobaczymy się jutro rano, panie komisarzu - powiedział na pożegnanie. Poszedł z powrotem do biurka i sięgnął po telefon. - Na dole czeka kierowca. Zawiezie pana na Piazzale Roma.

Gdy policyjny samochód mknął groblą w stronę Wenecji, Brunetti spojrzał w prawo i zobaczył kłęby szarego, białego, zielonego i żółtego dymu, unoszące się nad lasem fabrycznych kominów w Marghera. Jak daleko sięgnął wzrokiem, chmura dymu wisiała nad ogromnym kompleksem przemysłowym, który w promieniach gasnącego słońca przypominał świetlistą wizję nadchodzącego stulecia. Przygnębiony tym widokiem odwrócił głowę i spojrzał w stronę Murano i poza nie, na rysującą się w oddali wieżę bazyliki w Torcello, gdzie - jak utrzymują historycy - ponad tysiąc lat temu, kiedy mieszkańcy wybrzeża uciekli na bagna przed najazdem Hunów, zrodził się pomysł zbudowania Wenecji.

Kierowca gwałtownie skręcił, żeby uniknąć zderzenia z ogromnym samochodem kempingowym z niemiecką rejestracją, który niespodziewanie przeciął mu drogę, zjeżdżając na zatokę parkingową w Tronchetto, i Brunetti powrócił do teraźniejszości. Coraz więcej Hunów, pomyślał, ale teraz nie ma dokąd uciec.

Szedł od Piazzale Roma, krążąc myślami nad tamtym ponurym polem i wciąż widząc rój much kręcących się wokół miejsca pod kępą trawy, gdzie

znaleziono ofiarę. Jutro pójdzie do kostnicy zobaczyć ciało i porozmawia z lekarzem, który zrobił sekcję zwłok - może wtedy coś się wyjaśni.

Dotarł do domu tuż przed ósmą, na tyle wcześnie, by mieć poczucie, że wraca po normalnym dniu pracy. Gdy wszedł do mieszkania, Paola była w kuchni, ale nie doszły go zapachy i dźwięki zazwyczaj kojarzone z przyrządzaniem posiłku. Zaintrygowany, poszedł dalej korytarzem i wsadził głowę do kuchni - Paola stała przy ladzie i kroїła pomidory.

- *Ciao*, Guido - powiedziała, podnosząc głowę i uśmiechając się do niego.

Brunetti rzucił skoroszyt na ladę, podszedł do Paoli i pocałował ją w kark.

- W taki upał? - spytała, ale jednocześnie oparła się o niego plecami.

Delikatnie polizał skórę na jej karku.

- Ubytek soli - stwierdził i znowu ją polizał.

- Wydaje mi się, że w aptece można kupić pigułki zawierające sól. Są bardziej higieniczne - zauważyła, sięgając do zlewu po następny dojrzały pomidor. Pokroїła go w grube plastry i dołożyła do pozostałych, które tworzyły wianuszek na krawędzi dużego glinianego talerza.

Brunetti otworzył lodówkę, wyjął butelkę wody mineralnej i wziął kieliszek z wiszącej szafki. Napęłnił go, wychylił do dna, potem wypił jeszcze jeden i zakręciwszy butelkę, wstawił ją z powrotem do lodówki.

Z dolnej półki wziął butelkę prosecco, oderwał srebrny kapsel i kciukami wolno wyjął korek, delikatnie wypychając go raz w jedną, raz w drugą stronę. Gdy korek wyskoczył z butelki, przechylił ją na bok, aby bąbelkujący płyn się nie wylał.

- Jak to się stało, że gdy ożeniłem się z tobą, ty wiedziałaś, co zrobić, żeby szampan nie wylał się z butelki, a ja tego nie wiedziałem? - spytał, nalewając sobie musujące wino.

- Mario mnie nauczył - odparła, a on natychmiast zorientował się, że spośród chyba dwudziestu znanych im Mariów chodzi o jej kuzyna Maria, winiarza.

- Chcesz się napić? - zapytał.

- Wezmę od ciebie łyk. Nie lubię pić alkoholu w taki upał. Zaraz uderza mi do głowy.

Objął żonę ramieniem i przyłożył kieliszek do jej ust. Upiła mały łyk, po czym powiedziała: - *Basta*.

Brunetti odsunął się i sam posmakował wino.

- Dobrze - mruknął. - Gdzie dzieciaki?

- Chiara siedzi na balkonie i czyta.

Czy Chiara w ogóle robi coś innego? - pomyślał. Tylko rozwiązuje zadania matematyczne i doprasza się o komputer.

- A Raffaele? - Był przekonany, że syn jest z Sarą; mimo to, tak jak miał w zwyczaju, zapytał o niego.

- Jest z Sarą. Zje u niej kolację, a potem idą do kina. - Paola roześmiała się z rozbawieniem na myśl o psim przywiązaniu Raffiego do Sary Paganuzzi, mieszkającej dwa piętra niżej, a także z ulgą, że chłopak znalazł sobie dziewczynę. - Mam nadzieję, że zdoła oderwać się od niej na dwa tygodnie i pojedzie z nami w góry - dodała, choć nie miała wątpliwości, że dwutygodniowy pobyt w górach położonych powyżej Bolzano, z dala od doskwierającego upału w mieście, będzie nawet dla syna silniejszą pokusą niż rozkosze przebywania z ukochaną. Poza tym rodzice Sary zgodzili się, żeby w tym czasie córka spędziła weekend z rodziną Raffiego. Natomiast Paola, która miała już wakacje i przez następne dwa miesiące nie musiała prowadzić zajęć na uniwersytecie, z niecierpliwością czekała, kiedy tam się znajdzie i będzie mogła całymi dniami czytać książki.

Brunetti nic na to nie powiedział i dolał sobie wina.

- Caprese? - spytał, ruchem głowy wskazując stojący przed Paolą talerz z wianuszkami pokrojonych pomidorów.

- Co za superglina! - powiedziała, biorąc następny pomidor. - Widzi wianuszek pomidorów, a między nimi wolne miejsca, na tyle duże, żeby

zmieściły się kawałki mozzarelli, potem zauważyła świeżą bazylię stojącą w szklance, na lewo od swojej urodziwej małżonki, tuż obok talerza z mozzarellą. Wiąże z sobą te fakty i błyskawicznie wyciąga wniosek, że na kolację będzie *insalata caprese*. Nic dziwnego, że wszyscy przestępcy w mieście drżą ze strachu przed nim.

Odwróciła się i uśmiechnęła do niego, chcąc zobaczyć, w jakim jest nastroju, i sprawdzić, czy nie przebrała miary. Widząc, że chyba jednak posunęła się za daleko, wyjęła mu kieliszek z ręki i wypła łyk wina.

- Co się stało? - spytała, oddając mu kieliszek.

- Przydzielono mi sprawę w Mestre - odparł Brunetti i zanim Paola zdążyła się wtrącić, ciągnął: - Dwaj pracujący tam komisarze wyjechali na urlop, trzeci złamał nogę i leży w szpitalu, a czwarty, kobieta, jest na urlopie macierzyńskim.

- Więc Patta oddelegował cię do Mestre?

- Nie ma nikogo innego.

- Posłuchaj, Guido, zawsze jest ktoś inny. Choćby sam Patta. Nic by mu się nie stało, gdyby wreszcie coś zrobił, a nie tylko beczynnie siedział w gabinecie, podpisywał dokumenty i obmacywał sekretarki.

Brunetti z trudem mógł sobie wyobrazić, żeby jakakolwiek kobieta pozwoliła Patcie na obmacywanki, ale zachował tę opinię dla siebie.

- No więc? - ponagliła Paola.

- On ma kłopoty.

- A więc to prawda! - zawołała. - Przez cały dzień umierałam z ciekawości. Chciałam zadzwonić do ciebie i spytać, co ludzie gadają. Chodzi o Tito Burrascę?

Gdy Brunetti przytaknął, odrzuciła w tył głowę i wydała z siebie niestosowny dźwięk, który najlepiej określić jako ryk śmiechu.

- Tito Burrasca - powtórzyła, biorąc następny pomidor. - Tito Burrasca.

- Daj spokój, Paolo, to wcale nie jest takie zabawne.

- Czyżby? Patta jest nadętym, świętoszkowatym, obłudnym draniem i trudno mi wyobrazić sobie człowieka, który bardziej niż on zasługuje na coś takiego.

Brunetti wzruszył ramionami i dolał sobie wina. Jak długo będzie piorunowała na Pattę, pomyślał, tak długo nie przypomni sobie o sprawie w Mestre, choć niewątpliwie jej uwaga została odwrócona tylko na chwilę.

- Nie wierzę własnym uszom! - Paola najwyraźniej kierowała te słowa do ostatniego pomidora, który leżał w zlewie. - Ten człowiek czepia się ciebie od lat, przeszkadza ci we wszystkim, co robisz, a ty bierzesz go w obronę.

- Nie biorę go w obronę, Paolo.

- A ja mam nieodparte wrażenie, że tak jest - obstawała przy swoim, tym razem kierując te słowa do kuli mozzarelli, trzymanej w lewej ręce.

- Chcę tylko powiedzieć, że nikt nie zasługuje na coś takiego. Burrasca to drań.

- A Patta nie?

- Mam zawołać Chiare? - zapytał, widząc, że sałatka jest niemal gotowa.

- Najpierw powiedz mi, jak długo będziesz zajęty w Mestre.

- Nie mam pojęcia.

- Co się tam wydarzyło?

- Popelniono morderstwo. Na polu w Mestre znaleziono transwestytę. Ktoś zmiądzzył mu twarz, zapewne jakąś rurą.

Czy w innych rodzinach też się prowadzi przed kolacją takie pokrzepiające rozmowy jak w tym domu? - przemknęło mu przez myśl.

- Dlaczego zmiądzzył mu twarz? - spytała, skupiając się na kwestii, która dręczyła go całe popołudnie.

- Może z wściekłości?

- Może - zgodziła się krojąc ser i wkładając go między plasterki pomidora. - Ale dlaczego zostawił go na polu?

- Ponieważ chciał porzucić ciało daleko od miejsca morderstwa.

- Więc jesteś pewien, że ten człowiek nie tam został zabity.

- Na to wygląda. Są ślady butów wiodące do kępy traw, gdzie go znaleziono, i drugie, płytsze, wiodące w odwrotną stronę.

- Zamordowany był transwestytą?

- Podobno. Nikt o nim nic nie wie, nawet ile miał lat, ale wszyscy są pewni, że uprawiał prostytutkę.

- Nie wierzysz w to?

- Nie mam powodu, żeby w to nie wierzyć, ale nie mam też powodu, żeby w to wierzyć.

Paola wzięła kilka listków bazylii, opłukała je pod zimną wodą i drobno posiekała. Posypała nimi pomidory i mozzarellę, dodała trochę soli i wszystko polala obficie oliwą.

- Zjemy na tarasie - powiedziała. - Chiara miała nakryć do stołu. Sprawdź, czy to zrobiła.

Wychodząc z kuchni, Brunetti zabrał ze sobą butelkę i kieliszek. Paola położyła nóż w zlewie i spytała:

- To nie skończy się przed weekendem, prawda?

- Mało prawdopodobne. - Potrząsnął głową.

- To co mam zrobić?

- Mamy rezerwację w hotelu. Dzieciaki są gotowe do wyjazdu. Czekają na ten dzień od końca szkoły.

- To co mam zrobić? - powtórzyła.

Tylko raz, z osiem lat temu, zdołał wykręcić się od czegoś, co od niego chciała. Już nie pamiętał, co to było. Ale uszło mu to płazem tylko przez jeden dzień.

- Chciałbym, żebyś wyjechała z dziećmi w góry. Jeśli ta sprawa skończy się szybko, dojadę do was. W każdym razie postaram się przyjechać na następny weekend.

- Wolałabym, żebyś był z nami, Guido. Nie mam ochoty samotnie

spędzać wakacji.

- Będą z tobą dzieci.

Paola nie zechciała użyć racjonalnych argumentów do wyrażenia swego sprzeciwu. Wzięła talerz z sałatką i powiedziała:

- Zobacz, czy Chiara nakryła do stołu.

Rozdział 5

Przed snem Brunetti przeczytał akta i odkrył w nich świat, z którego istnienia zdawał sobie sprawę, choć nie wiedział o nim nic pewnego ani konkretnego. Według posiadanych przez niego informacji w Wenecji nie było transwestytów trudniących się prostytutką. Natomiast mieszkał tu przynajmniej jeden transseksualista, o którego istnieniu Brunetti dowiedział się tylko dlatego, że kiedyś dano mu do podpisania pismo stwierdzające, że Emilio Marcato nie był sądowo karany. Miało to miejsce, zanim Emilia złożyła wniosek o skorygowanie danych w swoim dowodzie tożsamości dotyczących płci, na podstawie zaświadczenia o fizycznych zmianach dokonanych na jej ciele. Brunetti nie wyobrażał sobie, jakie pobudki i namiętności mogą skłonić człowieka do podjęcia tak nieodwołalnej decyzji, ale pamiętał wstrząs i emocje, nad którymi wolał się wówczas nie zastanawiać, jakie wywołała w nim zwykła zmiana jednej litery w oficjalnym dokumencie - zmiana słowa Emilio na Emilia.

Mężczyźni, o których przeczytał w aktach, nie byli przymuszeni do posunięcia się aż tak daleko i postanowili zmienić jedynie swoją powierzchowność: twarz, ubranie, makijaż, sposób chodzenia i gestykulację. Dołączone do niektórych akt fotografie potwierdzały wprawę, z jaką tego dokonali. Brunetti wiedział, że na zdjęciach są uwiecznieni mężczyźni, choć wielu do złudzenia przypominało kobiety. Mieli delikatne w kształcie policzki i drobne rysy twarzy, pozbawione oznak męskości. Nawet w bezlitosnym świetle reflektorów i w policyjnym obiektywie wyglądali na bardzo urodziwych. Na próżno można było doszukiwać się jakiegoś drobiazgu, czegokolwiek, co świadczyłoby, że są to mężczyźni.

Paola, która siedziała obok męża w łóżku i czytała przekazywane przez

niego stronie, przejrzała załączone fotografie, przeczytała raport z aresztowania jednej z osób, przyłapanej na sprzedaży narkotyków, po czym bez słowa oddała mu wszystkie kartki.

- Co o tym myślisz? - spytał Brunetti.

- O czym?

- O tym wszystkim - odparł, unosząc akta. - Nie sądzisz, że ci mężczyźni są dziwni?

Popatrzyła na niego przeciągle i, jak uznał, z ogromnym niesmakiem.

- Dziwniejsi wydają mi się panowie, którzy korzystają z ich usług.

- Dlaczego?

- Przynajmniej ci mężczyźni - wskazała akta - nie oszukują się w tym, co robią. W przeciwieństwie do ich klientów.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Och, Guido, tylko pomyśl. Ci mężczyźni dostają zapłatę za to, że pieprzą kogoś albo ten ktoś pieprzy ich - zależnie od gustów płacącego. Ale zanim zostaną wykorzystani lub otrzymają zapłatę, muszą przebrać się za kobietę. Pomyśl o tym przez chwilę. Pomyśl, jaka w tym jest hipokryzja, jaka potrzeba samooszukiwania. A potem, następnego ranka, taki klient może powiedzieć: „Gesu Bambino, zorientowałem się, że to facet, gdy było już za późno” albo „Cóż, chociaż okazało się, że to facet, to i tak go wydupczyłem”. Dalej są prawdziwymi mężczyznami, macho, i nie muszą stanąć przed faktem, że wolą pieprzyć mężczyzn niż kobiety, ponieważ uznanie tego faktu naraziłoby na szwank ich męskość. - Paola posłała mężowi przeciągle spojrzenie i dorzuciła: - Czasami wydaje mi się, Guido, że tak naprawdę nie chce ci się pomyśleć o wielu sprawach.

W wolnym tłumaczeniu oznaczało to zazwyczaj, że ich myśli biegają różnymi torami. Ale tym razem Paola miała rację - nad tą kwestią dotąd się nie zastanawiał. Kiedy odkrył kobiety, podbiły go całkowicie i nigdy nie mógł zrozumieć, na czym polega seksualny powab innych niż żeńska płci, a w gruncie

rzeczy jednej innej niż żeńska płci. Dorastał w przekonaniu, że wszyscy mężczyźni są w zasadzie tacy jak on, i kiedy zrozumiał, że jest inaczej, był już tak zagorzałym zwolennikiem rozkoszy, jakie dają mu własne preferencje seksualne, że mógł jedynie w intelektualny sposób uznać fakt istnienia innych preferencji.

Przypomniawszy sobie, jak na początku ich znajomości Paola powiedziała, że Włosi ciągle dotykają swoich genitaliów, gładzą je, niemal pieszczą, czego nigdy przedtem nie zauważał. Słyszając to, roześmiał się z niedowierzaniem, a nawet z lekceważeniem, ale następnego dnia zaczął z uwagą obserwować mężczyzn i po tygodniu przekonał się, że miała całkowitą rację. Po dwóch tygodniach patrzył na to z fascynacją, nie mogąc nadziwić się, jak często idący ulicą mężczyźni opuszczają dłoń i poklepują się w taki sposób, jakby chcieli się upewnić, że ich genitalia wciąż są na miejscu. Pewnego razu, gdy szli razem, Paola zatrzymała się i spytała go, o czym myśli. To, że była jedyną osobą na świecie, której bez zażenowania wyjawilby swoje myśli w owej chwili, przekonało go - mimo że po tysiącokroć zdążył się już o tym przekonać - iż z tą kobietą chce się ożenić, musi się z nią ożenić i ożeni.

Odczuwanie miłości i pożądania do kobiety wydawało mu się całkowicie naturalne zarówno wówczas, jak potem i teraz. Ale mężczyźni opisani w aktach, z powodów, które mógł poznać poprzez lekturę, lecz nigdy nie mógł marzyć, że je zrozumie, odwrócili się od kobiet i łaknęli męskich ciał. Robili to w zamian za pieniądze, narkotyki, czasem niewątpliwie również w imię miłości. A jeden z nich... Jakaż to dzika nienawiść spowodowała, że zginął tak gwałtowną śmiercią? Co ją wywołało?

Paola spała spokojnie obok, zwinięta w kłębek, radość jego serca. Odłożył akta na nocny stolik, zgasił lampę, objął żonę ramieniem i pocałował w kark. Znowu poczuł smak soli. Wkrótce zapadł w sen.

Gdy następnego ranka przyjechał do komendy w Mestre, zastał sierżanta

Gallo za biurkiem, z następnym niebieskim skoroszytem w ręce. Poprosiwszy go, by usiadł, Gallo podał mu skoroszyt i wtedy Brunetti po raz pierwszy zobaczył twarz zamordowanego. Na wierzchu leżał wykonany przez plastyka portret, dający przybliżony obraz ofiary, a pod spodem zdjęcia zmiażdżonych szczątków, na podstawie których artysta sporządził rysunek.

Trudno było określić, ile ciosów trafiło w twarz tego człowieka. Tak jak powiedział Gallo poprzedniego wieczoru, nos był niewidoczny, wbity w czaszkę szczególnie mocnym ciosem. Jedna kość policzkowa została całkowicie zmiażdżona, powstało płytkie wgłębienie z boku twarzy. Zdjęcia tyłu głowy świadczyły o podobnej brutalności, choć te ciosy miały raczej zabić, iż zdeformować.

Brunetti zamknął skoroszyt i oddał Gallowi.

- Zrobił pan kopie portretu? - zapytał.

- Tak, panie komisarzu, mnóstwo. Dopiero pół godziny temu otrzymaliśmy ten rysunek i nasi ludzie jeszcze nie wyszli z nim na ulice.

- A odciski palców?

- Zrobiliśmy idealne odciski jego palców i wysłaliśmy do Rzymu oraz do Interpolu w Genewie, ale sam pan wie, jacy oni są.

Brunetti rzeczywiście wiedział: Rzym może dać odpowiedź po kilku tygodniach, Interpol zazwyczaj działa trochę szybciej. Puknął czubkiem palca w skoroszyt i powiedział:

- Temu człowiekowi potwornie zmasakrowano twarz, nie sądzi pan?

Gallo kiwnął głową, ale nic nie powiedział. Jakiś czas temu załatwiał sprawę, choć tylko przez telefon, z zastępcą komendanta Pattą i dlatego zachowywał ostrożność w kontaktach z ludźmi przybyłymi z Wenecji.

- Wygląda to niemal tak, jakby sprawca nie chciał, żeby rozpoznano tę twarz - ciągnął Brunetti.

Gallo obrzucił go szybkim spojrzeniem spod krzaczastych brwi i jeszcze raz kiwnął głową.

- Czy ma pan w Rzymie znajomych, którzy mogliby przyspieszyć bieg tej sprawy? - zapytał Brunetti.

- Dzwoniłem, ale mój znajomy jest na urlopie. A pan może coś zrobić?

- Niestety, człowiek, którego tam znałem, został przeniesiony do Brukseli i pracuje w Interpolu.

- No to będziemy musieli czekać - stwierdził Gallo z wyraźnym niezadowoleniem w głosie.

- Gdzie on jest?

- Ofiara?

- Tak.

- W kostnicy szpitala Umberto Primo. Dlaczego pan pyta?

- Chciałbym go zobaczyć.

Nawet jeśli to życzenie wydało się Gallowi dziwne, nie dał tego po sobie poznać i powiedział tylko:

- Kierowca może tam pana zawieźć.

- To nie jest daleko, prawda?

- Kilka minut stąd. Może trochę więcej przy porannym ruchu.

Brunettiego uderzyła myśl, że ci ludzie chyba nigdy nie chodzą pieszo, ale zaraz przypomniał sobie, że cały okręg Wenecji Euganejskiej dusi się w tropikalnym upale niczym pod całunem. Może rozsądek nakazuje przenosić się klimatyzowanym samochodem z jednego klimatyzowanego budynku do drugiego, ale jemu chyba nigdy nie sprawi to przyjemności. Zszedł na dół i polecił swojemu kierowcy - już przyzwyczał się do swojego kierowcy i swojego samochodu - jechać do szpitala Umberto Primo, głównego spośród licznych szpitali w Mestre.

W kostnicy natknął się na siedzącego przy niskim biurku pracownika, który czytał „Gazzettino”. Pokazał mu legitymację i powiedział, że chce obejrzeć ciało zamordowanego mężczyzny, znalezione poprzedniego dnia na polu.

Pracownik kostnicy, niski, z okazałym brzuchem i pałąkowatymi nogami, złożył gazetę i wstał.

- A, tego. Trzymamy go po drugiej stronie, panie komisarzu. Nikt nie przychodził go oglądać oprócz plastyka, a ten chciał zobaczyć tylko jego włosy i oczy. Wyszły niewyraźnie na zdjęciach, bo lampa błyskowa była za silna. Tylko na niego zerknął: odsunął pokrycie i przyjrzał się oczom. Widok nie był przyjemny, wie pan, ale gdyby go widział przed sekcją, Chryste, z tym makijażem rozmazanym z krwią. Nie można było go doczyścić. Wyglądał jak klaun, słowo daję. Cała twarz, a właściwie to, co z niej zostało, zasmarowana mazidłem do oczu. Kto by pomyślał, że niektóre z tych środków tak trudno się zmywają. Kobiety tracą chyba piekielnie dużo czasu na to, żeby się domyć, nie sądzi pan?

Mówiąc to, pracownik prowadził Brunettiego przez chłodne pomieszczenie i przystawał co jakiś czas, gdy zwracał się do niego bezpośrednio. W końcu zatrzymał się przed jednymi z wielu metalowych drzwi tworzących ściany pomieszczenia, pochylił się i przekręcił metalową klamkę, a następnie wyciągnął płytkę szufladę, w której leżało ciało.

- Tak będzie dobrze, panie komisarzu, czy mam go podciągnąć wyżej? - zapytał. - To żaden kłopot. Zaraz się zrobi.

- Tak jest dobrze - odparł Brunetti.

Pracownik kostnicy, nie proszony, odchylił białe prześcieradło z twarzy zmarłego i uniósł wzrok, chcąc się upewnić, czy ma zsunąć je dalej. Gdy komisarz kiwnął głową, zdjął prześcieradło z ciała i równo złożył je w kostkę.

Mimo że Brunetti widział zdjęcia, nie spodziewał się, że zobaczy tak zmasakrowane ciało. Dla lekarza, który przeprowadził sekcję, ważne było zbadanie człowieka, nie zaś przywrócenie jego poprzedniego wyglądu. Być może, jeśli odnajdzie się rodzina zmarłego, wynajmie kogoś, kto się tym zajmie.

Ponieważ nie odtworzono mężczyźnie nosa, to, co zobaczył Brunetti, było wklęsłą płaszczyzną z czterema płytkami zagłębieniami i przypominało ludzką

twarz zrobioną w glinie przez opóźnione w rozwoju dziecko, które zamiast uwypuklić nos, wgniotło pięścią dołek. Twarz bez nosa straciła ludzki wyraz.

Przyglądał się zmarłemu, chcąc określić jego wiek i warunki fizyczne. Głośno wciągnął powietrze, gdy z przerażeniem uzmysłowił sobie, że zmarły jest do niego podobny: ma taką samą budowę, trochę tłuszczu wokół talii i bliznę z dzieciństwa po operacji wyrostka robaczkowego - jedyną różnicę stanowił brak owłosienia na skórze. Brunetti nisko pochylił się nad klatką piersiową, pośrodku której biegło długie, bezwzględne cięcie dokonane podczas autopsji. W miejscu, gdzie u niego rosły sztywne siwe włosy, zmarły miał niewyraźną szczecinkę.

- Czy lekarz ogolił mu przed sekcją tors?
- Skądże, panie komisarzu. Przecież nie robił operacji serca.
- Ale ten człowiek ma wygoloną klatkę piersiową.
- Nogi też. Niech pan się tylko przyjrzy. Rzeczywiście, były ogolone.
- Czy lekarz wspomniał coś na ten temat?
- W trakcie pracy nic nie mówił, ale może napisał o tym w raporcie.

Wystarczy panu?

Brunetti kiwnął głową i odstąpił o krok. Pracownik rozwinął prześcieradło, uniósł je w górę jak obrus i równo przykrył zwłoki. Wsunął szufladę, zamknął drzwi, po czym spokojnym ruchem przekręcił klamkę.

Gdy szli z powrotem w stronę biurka, powiedział:

- Kimkolwiek był ten człowiek, nie zasłużył sobie na to. Chodzą tu słuchy, że żył z prostytutkami, przebierał się za kobietę. Temu biedakowi udało się nabrać chyba niewiele, bo nie miał pojęcia, jak nakładać makijaż - tak przypuszczam, zważywszy na to, jak wyglądał, gdy go tu przywieziono.

Brunetti sądził przez chwilę, że pracownik kostnicy wyraża się o ofierze z uszczypliwością, ale pojął, że się myli, gdy zwrócił uwagę na ton wypowiedzianych słów.

- To pan ma znaleźć mordercę?

- Tak.

- Mam nadzieję, że się panu uda. Chyba mógłbym zrozumieć, że jeden człowiek chce zabić drugiego, ale żeby w taki sposób... A pan to rozumie, komisarzu?

- Też nie.

- Mam nadzieję, że pan złapie sprawcę. Nikt nie zasługuje na taką śmierć, czy jest kurwą, czy nie.

Rozdział 6

- Widział go pan? - zapytał Gallo, gdy Brunetti wrócił do komendy.

- Tak.

- Mało przyjemny widok, prawda?

- Pan też go widział?

- Zawsze staram się zobaczyć, jak wyglądają - powiedział zwyczajnie Gallo. - Wtedy z większym zapalem łapię zabójcę.

- Co pan sądzi o tej sprawie, sierżancie? - spytał Brunetti, siadając i kładąc na biurku niebieski skoroszyt.

Gallo zastanawiał się nad odpowiedzią przez dobrą minutę.

- Sądzę, że ktoś mógł to zrobić w ataku szału. - Gdy Brunetti potwierdził taką możliwość kiwnięciem głowy, ciągnął: - Albo, jak pan przedtem wspomniał, żeby utrudnić zidentyfikowanie ofiary. - Pewnie na myśl o tym, co zobaczył w kostnicy, zaraz dodał: - Lub żeby to uniemożliwić.

- To raczej nieprawdopodobne w dzisiejszych czasach, nie uważa pan, sierżancie?

- Dlaczego nieprawdopodobne?

- Jeśli człowiek nie jest całkowicie nie znany na danym terenie albo nie mieszka z rodziną lub przyjaciółmi, jego zniknięcie zostanie zauważone po kilku dniach, a zazwyczaj po kilku godzinach. Dzisiaj trudno po prostu zniknąć.

- W takim razie atak szału jest bardziej przekonującym powodem - zgodził się Gallo. - Może powiedział coś klientowi albo zrobił coś takiego, co wyprowadziło go z równowagi. Niewiele wiem o ludziach opisanych w aktach, które wczoraj panu dałem. Nie jestem psychologiem ani kimś w tym rodzaju, więc nie wiem, co nimi powoduje, ale podejrzewam, że mężczyźni, którzy...

hm... im płacą, są dużo mniej zrównoważeni od nich. A zatem atak szalu?

- W takim razie jak wytłumaczyć, że pozostawiono go w części miasta znanej z obecności prostytutek? - spytał Brunetti. - To świadczy raczej o rozumnym i planowym działaniu, a nie o szale.

Gallo szybko odpowiedział na sondujące pytanie nowego komisarza.

- Mogło być tak, że po dokonaniu zabójstwa morderca oprzytomniał. Może zabił go u siebie w domu albo w miejscu, gdzie znano jednego z nich, i dlatego musiał przenieść ciało. A jeśli należy do ludzi, którzy korzystają z usług transwestytów, to zna miejsca, gdzie kręcą się prostytutki. Pozostawienie ciała w takim miejscu wydało mu się sensowne, ponieważ podejrzenia padną wówczas na osoby korzystające z usług prostytutek.

- No tak... - Brunetti zawiesił głos i Gallo czekał, kiedy pojawi się słowo „ale”. - Ale to by oznaczało, że nie ma rozróżnienia między prostytutkami.

- Nie rozumiem, panie komisarzu.

- Że nie ma różnicy między prostytuującymi się mężczyznami i kobietami, a przynajmniej że mają te same rewiry. Z tego, co wczoraj usłyszałem i zobaczyłem, wynika, że teren za rzeźnią jest wykorzystywany przez prostytuujące się kobiety. - Gallo zaczął się nad tym zastanawiać, a Brunetti przycisnął go, dodając: - To jest pana miasto i niewątpliwie wie pan na ten temat więcej ode mnie, człowieka w pewnym sensie tu obcego.

Słyszając ten komplement, Gallo nieznacznie się uśmiechnął.

- Na te pola za fabrykami zwykle przychodzą dziewczęta - odparł. - Ale mamy coraz więcej chłopców, głównie Słowian i Afrykanów z północy kontynentu, którzy, być może, zmuszeni koniecznością, zaczęli szukać nowych rewirów.

- Doszły pana jakieś pogłoski na ten temat?

- Tylko pośrednio, panie komisarzu. Zazwyczaj nie zajmuję się prostytutkami, o ile nie są wmieszane w przestępstwo z użyciem siły.

- Czy zdarza, się to często?

Gallo potrząsnął przecząco głową.

- prostytutka zazwyczaj nie ma odwagi powiedzieć nam o tym, ponieważ boi się, że skończy w więzieniu, nawet jeśli nie ona jest sprawcą przemocy. Wiele z tych kobiet przebywa tu nielegalnie i nie chcą do nas przyjść ze strachu, że wpakują się w kłopoty i będą deportowane. A do tego jest masa mężczyzn, którzy znajdują upodobanie w biciu kobiet. Przypuszczam, że one uczą się ich rozpoznawać albo dowiadują się o nich od innych dziewczyn i starają się takich facetów unikać.

Wydaje mi się, że mężczyźni mają większe możliwości samoobrony. Z akt, które i pan czytał, widać, że wielu z nich jest potężnej budowy. Niektórzy są ładni, nawet piękni, ale mają przy tym męską siłę. Łatwo sobie wyobrazić, że tego rodzaju kłopoty dotyczą ich w mniejszym stopniu. A jeśli już coś takiego im się przydarzy, to mogą się obronić.

- Czy dostał pan raport z sekcji zwłok? - spytał Brunetti.

- Przyszedł, kiedy pan był w szpitalu. - Gallo podał komisarzowi kilka kartek papieru.

Brunetti przeczytał raport szybko, obeznany z fachowym językiem i medyczną terminologią. Na ciele nie było śladów nakłucia, z czego wynikało, że zmarły nie zażywał dożylnie narkotyków. Wzrost, waga, budowa fizyczna zostały opisane z podaniem dokładnych danych. Wspomniano też o makijażu, o którym opowiadał Brunettiemu pracownik kostnicy, ale ograniczono się do stwierdzenia, że na twarzy pozostały wyraźne ślady szminki i ołówka do oczu. Nie znaleziono dowodów na to, że denat uprawiał ostatnio seks, czynnie lub biernie. Badanie dłoni wykazało, że trudnił się pracą umysłową - paznokcie były krótko obcięte, a skóra na wewnętrznej stronie dłoni delikatna. Rozmieszczenie ran na ciele potwierdziło hipotezę, że po dokonaniu morderstwa przeniesiono zwłoki w miejsce, gdzie zostały znalezione. Wysoka temperatura powietrza uniemożliwiła stwierdzenie, ile czasu upłynęło od popełnienia zbrodni do znalezienia ciała; co najwyżej można przypuszczać, że minęło od dwunastu do

dwudziestu godzin.

Brunetti uniósł wzrok na Galia.

- Czytał pan ten raport?

- Czytałem, panie komisarzu.

- I co pan o tym sądzi?

- Wciąż musimy rozstrzygnąć, czy zbrodnię popełniono w ataku szału, czy z rozmysłem.

- Ale najpierw musimy zidentyfikować ofiarę - dodał Brunetti. - Ilu ludzi ma uczestniczyć w śledztwie?

- Oddelegowano Scarpę.

- Tego, który siedział tam wczoraj na słońcu?

- Tak, panie komisarzu - odparł ze spokojem Gallo, co pozwoliło Brunettiemu sądzić, że wiadomość o tym zdarzeniu dotarła do uszu sierżanta i spotkała się z dezaprobatą. - Jest jedynym funkcjonariuszem, który ma zajmować się tą sprawą. Śmierć prostytutki nie ma rangi priorytetowej, zwłaszcza w lecie, kiedy brakuje nam ludzi.

- I nie przydzielono nikogo więcej?

- Mnie zlecono prowadzenie tego śledztwa tymczasowo, ponieważ byłem tu, gdy nadeszła wiadomość o popełnieniu morderstwa. Dlatego wysłałem na miejsce Squadra Mobile. Zastępca komendanta w Mestre zaproponował, żeby sprawę przejął sierżant Buffo, który odebrał telefon z rzeźni.

- Rozumiem - odparł Brunetti. - Czy jest inne rozwiązanie?

- Pyta pan, czy ktoś mógłby zastąpić sierżanta Buffo?

- Tak.

- Mógłbym wysunąć taką propozycję, skoro to ja byłem pierwszą osobą, z którą pan się skontaktował, a ponadto wiele czasu poświęciliśmy na szczegółowe omówienie tej sprawy... - W tym miejscu Gallo przerwał, tak jakby chciał ten czas jeszcze bardziej wydłużyć, i po chwili dodał: - Gdybym dalej uczestniczył w śledztwie, może przyspieszy to jego bieg.

- Który z zastępców komendanta podejmuje takie decyzje?

- Nasci.

- Czy ona byłaby skłonna... To znaczy, czy zaaprobuje taką propozycję?

- Jeśli z tym wnioskiem wystąpi komisarz, niewątpliwie się zgodzi. Tym bardziej że przysłano nam pana do pomocy.

- Świetnie - ucieszył się Brunetti. - Niech pan poprosi kogoś o napisanie takiego wniosku, a ja podpiszę to przed obiadem. - Gallo kiwnął głową, zanotował kilka słów na kartce, spojrział na Brunettiego i jeszcze raz kiwnął głową. - I niech pana ludzie zajmą się ubraniami i butami zmarłego. - Gallo po raz kolejny kiwnął głową i znowu zapisał parę słów.

Brunetti otworzył niebieski skoroszyt z aktami, które czytał poprzedniego wieczoru, i wskazał palcem wykaz nazwisk i adresów, przyczepiony do wewnętrznej strony okładki.

- Wydaje mi się, że powinniśmy zacząć wypytywać tych ludzi, czy znają zmarłego, czy go rozpoznają albo czy wiedzą o kimś, kto może go znać. Lekarz, który zrobił sekcję, twierdzi, że denat miał czterdzieści kilka lat. Mężczyźni opisani w aktach są młodsi, niektórzy dopiero po trzydziestce, tak więc jeśli zmarły był tutejszy, to wyróżniał się na tle pozostałych wiekiem i mógł być znany.

- Jak pan chce to zorganizować, panie komisarzu?

- Podzielmy ten wykaz na trzy części. Każdy z nas - pan, ja i Scarpa - otrzyma swoją część i będzie kontaktował się z wymienionymi na liście osobami, pokaże im portret zrobiony przez plastyka i spyta, czy coś wiedzą o ofierze.

- To nie są ludzie, którzy chętnie rozmawiają z policją, panie komisarzu - zauważył Gallo.

- W takim razie weźmiemy jedno ze zdjęć pokazujących, jak wyglądał, gdy go znaleziono na polu. Jeśli uda się nam przekonać tych panów, że może się im przydarzyć to samo, chętniej będą z nami rozmawiać.

- Zawołam tu Scarpę - powiedział Gallo i sięgnął po słuchawkę telefonu.

Rozdział 7

Postanowili, że rozpoczną rozmowy jak najszybciej, choć jeszcze nie minęło południe - a dla większości wymienionych na liście mężczyzn był to zapewne środek nocy. Brunetti poprosił, by Gallo i Scarpa, dobrze znający Mestre, ułożyli adresy w geograficznym porządku, co oszczędzi wszystkim ciągłego przenoszenia się z jednego końca miasta na drugi.

Kiedy uporządkowano adresy, Brunetti wziął przydzieloną mu listę nazwisk i zszedł na dół do swojego kierowcy. Pomysł, żeby zajeżdżać pod domy tych właśnie ludzi biało-niebieskim samochodem policyjnym prowadzonym przez umundurowanego funkcjonariusza, a potem chcieć ich przesłuchiwać, nie wydał mu się zbyt dobry, ale gdy tylko poczuł poranny upał panujący w Mestre, doszedł do wniosku, że chcąc przeżyć, musi zrezygnować z zachowania środków ostrożności.

Oblepiło go parne powietrze i zapiekło w oczy. Przygniatało miasto niczym gruba, brudna płachta, nie poruszone nawet najlżejszym podmuchem wiatru. Przed gmachem komendy przemykały węzowatym ruchem samochody, a kierowcy donośnym trąbieniem wyrażali swoje niezadowolenie na widok zmieniających się świateł i przechodzących przez ulicę ludzi. Po ich przejeździe nad jezdnią unosiły się wirujące kłęby kurzu i pudełka po papierosach. Oddychając smrodliwym powietrzem, Brunetti poczuł, jakby ktoś zaszedł go od tyłu i mocno objął ramionami przez pierś. Jak człowiek może żyć w takich warunkach? - pomyślał.

Uratował się ucieczką do chłodnego pudła policyjnego samochodu, z którego wyszedł po piętnastu minutach, dojechawszy pod ośmiopiętrowy blok mieszkalny na zachodnim skraju miasta. Uniósł głowę i zobaczył sznury z

praniem, rozciągnięte między tym budynkiem i drugim, który stał po przeciwnej stronie ulicy. Poczul się podniesiony na duchu, kiedy owiał go lekki wiatr, kołyszący różnokolorowymi prześcieradłami, ręcznikami i bielizną osobistą nad jego głową.

Zaraz za drzwiami wejściowymi zobaczył portiera w przypominającym klatkę pomieszczeniu, który rozkładał na biurku papiery i koperty, sortując dostarczoną przed chwilą pocztę dla mieszkańców budynku. Był w podeszłym wieku, miał rzadką brodę i chwiejące się na czubku nosa okulary do czytania w srebrnej oprawie. Uniósł wzrok znad okularów i powitał wchodzącego. Wilgoć w powietrzu uwydatniała kwaśny odór w portierni, a stojący na podłodze i skierowany na nogi starca wentylator powodował jedynie roznoszenie się tego zapachu.

Brunetti spytał, gdzie mieszka Giovanni Feltrinelli. Na dźwięk tego nazwiska portier odsunął do tyłu krzesło i wstał.

- Uprzedzałem go, żeby was tu nie sprowadzał. Jeśli chce wykonywać swój fach, niech to robi w waszych samochodach albo na polach, tak jak inne zwierzęta, ale nie tutaj, bo wezwę policję. - Sięgnął po słuchawkę telefonu wiszącego z tyłu na ścianie i ognistym spojrzeniem obrzucił Brunettiego od stóp do głów, nie kryjąc odrazy.

- Ja jestem z policji - powiedział ze spokojem Brunetti. Wyjął z portfela legitymację i pokazał ją z pewnej odległości. Starzec wyrwał mu dokument z ręki, dając do zrozumienia, że i on wie, gdzie fałszuje się takie papiery, po czym poprawił okulary.

- Wygląda na autentyczną - przyznał w końcu i oddał ją Brunettiemu. Wyjął z kieszeni brudną chusteczkę do nosa, zdjął okulary i starannie wytarł najpierw jedno szkło, a potem drugie, w taki sposób, jakby to było najważniejsze zajęcie jego życia. Włożył okulary na nos, dokładnie osadził za uszami, schował chusteczkę do kieszeni i innym już tonem zapytał: - Co on teraz zbroił?

- Nic nie zbroił. Chcemy przesłuchać go w sprawie pewnego człowieka.

- Któregoś z jego pedalskich znajomych? - burknął starzec.

Brunetti puścił mimo uszu to pytanie i odparł:

- Chcielibyśmy porozmawiać z panem Feltrinellim. Przypuszczamy, że może udzielić nam pewnych informacji.

- Z panem Feltrinellim? Panem? - powtórzył portier w taki sposób, że uprzejmy zwrot Brunettiego stał się obraźliwy. - Chciał pan chyba porozmawiać z Ninem Pięknisiem, Ninem Obciążaczem.

Brunetti ciężko westchnął. Dlaczego ludzie nie potrafią dokonywać bardziej zróżnicowanego, bardziej selektywnego - może nawet bardziej inteligentnego wyboru tych, których chcą nienawidzić? Dlaczego obiektem ich nienawiści nie są chrześcijańscy demokraci? Albo socjaliści? Dlaczego nie odnoszą się z nienawiścią do ludzi, którzy nienawidzą homoseksualistów?

- Jaki jest numer mieszkania pana Feltrinellogo?

Stary portier wycofał się za biurko, usiadł i znowu zabrał się za segregowanie poczty.

- Piąte piętro. Na drzwiach jest tabliczka z nazwiskiem - powiedział.

Brunetti odwrócił się i odszedł bez słowa. Gdy był przy drzwiach portierni, wydawało mu się, że usłyszał słowo „pan” wymamrotane przez portiera, choć mogło to być tylko gniewne burknięcie. Podeszedł do windy znajdującej się po drugiej stronie wyłożonego marmurową posadzką korytarza i nacisnął guzik. Po kilku minutach wciąż stał tam i czekał. Nie chciał iść z powrotem do portiera i pytać go, czy winda działa. Skręcił więc na lewo, otworzył drzwi klatki schodowej i wszedł na piąte piętro. Gdy znalazł się na górze, musiał rozluźnić krawat i pociągnąć za nogawki spodni, które przykleiły się do ud. Chusteczką do nosa wytarł twarz z potu.

Na drzwiach zobaczył tabliczkę z napisem „Giovanni Feltrinelli - architekt”.

Spojrzał na zegarek - była jedenasta trzydzieści pięć. Nacisnął dzwonek.

Natychmiast usłyszał szybkie kroki. Drzwi otworzył młody człowiek, trochę podobny do mężczyzny z policyjnego zdjęcia, które Brunetti oglądał poprzedniego wieczoru: krótkie jasne włosy, delikatnie jak u kobiety zarysowana szczęka i duże ciemne oczy.

- *Si?* - Obrzucił Brunettiego pytającym spojrzeniem i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Pan Giovanni Feltrinelli? - zapytał Brunetti, pokazując legitymację.

Młody człowiek ledwo rzucił na nią okiem, ale w jednej chwili zorientował się, co jest na niej napisane, i przestał się uśmiechać.

- Tak. Czego pan chce? - W jego głosie czuło się taki sam chłód, jaki bił z jego twarzy.

- Chciałbym z panem porozmawiać. Czy mogę wejść?

- Policja nie musi prosić o pozwolenie - rzekł Feltrinelli z rezygnacją i otworzył szerzej drzwi, stając z boku, żeby przepuścić Brunettiego.

- *Permesso* - powiedział Brunetti i wszedł do środka.

Określenie z tabliczki na drzwiach wejściowych chyba było prawdziwe - mieszkanie miało symetryczny rozkład wewnątrz, zaprojektowanych precyzyjnie i umiejętnie. Ściany salonu, do którego wszedł Brunetti, były jednolicie białe. Na jasnym parkiecie ułożonym w jodełkę leżało kilka kilimów, a na ścianach wisiały dwa tkane, prawdopodobnie perskie, jak ocenił Brunetti. Naprzeciw drzwi stała niska, długa kanapa obita chyba jedwabiem w beżowym odcieniu, przed nią długi stolik ze szklanym blatem, a na jego krańcu duża ceramiczna patera. Na jednej ścianie wisiały półki na książki, na drugiej architektoniczne szkice i fotografie kompleksów budowlanych, niskich, rozległych, otoczonych połączeniami surowej natury. W odległym rogu stał wysoki stół kreślarski, a na uniesionym w stronę pokoju blacie leżały ogromne arkusze kalki i nachylona pod dziwnym kątem popielniczka, w której tlił się papieros.

Doskonała kompozycja pokoju powodowała, że wzrok patrzącego padał na centralny punkt, na prostą ceramiczną paterę. Brunetti miał silne poczucie, że

takie właśnie było zamierzenie projektanta, ale nie mógł zrozumieć, w jaki sposób zostało zrealizowane.

- Chciałbym prosić - zaczął - aby w miarę swoich możliwości pomógł pan nam w śledztwie, które prowadzimy.

Feltrinelli nie odezwał się słowem.

- Chciałbym, żeby pan obejrzał portret pewnego mężczyzny i powiedział, czy go zna lub rozpoznaje.

Feltrinelli podszedł do stołu kreślarskiego i wziął leżącego w popielnicze papierosa. Zaciągnął się głęboko, a następnie zgasił papierosa nerwowym ruchem.

- Nie podaję nazwisk - oświadczył.

- Słucham? - Brunetti udał, że nie pojmuje intencji tych słów.

- Nie podaję nazwisk moich klientów. Nawet jeśli zarzuci mnie pan zdjęciami, i tak nie przyznam, czy kogoś rozpoznałem, i nie podam żadnych nazwisk.

- Nie chodzi mi o pana klientów, panie Feltrinelli - sprostował Brunetti. - Nie interesuje mnie, kim pan jest. Mamy podstawy sądzić, że pan może coś wiedzieć o tym człowieku, i chcielibyśmy, żeby pan spojrzął na ten portret i powiedział, czy ta osoba jest panu znajoma.

Feltrinelli przeszedł od stołu kreślarskiego do etażerki stojącej przy małym oknie w ścianie na lewo i wtedy Brunetti uprzytomnił sobie, jakie było zamierzenie projektanta tego pomieszczenia - zależało mu na odwróceniu uwagi od tego okienka i ponurego muru z cegły, znajdującego się dwa metry za nim.

- A jeśli tego nie zrobię? - zapytał Feltrinelli.

- Jeśli go pan nie rozpozna?

- Nie. Jeśli nie obejrzę tego portretu.

W pokoju nie było klimatyzacji ani wentylatora. Unosił się tu silny zapach tanich papierosów, którym - jak wydawało się Brunettiemu - nasiąkało jego wilgotne ubranie i włosy.

- Panie Feltrinelli, proszę pana o spełnienie obywatelskiego obowiązku i udzielenie policji pomocy w śledztwie w sprawie morderstwa. Zależy nam na ustaleniu tożsamości tego człowieka, gdyż dopiero wtedy będziemy w stanie rozpocząć dochodzenie.

- Czy to jego znalezione wczoraj na polu?

- Tak.

- I przypuszcza pan, że on może być jednym z nas? - Feltrinelli nie musiał precyzować, kogo ma na myśli mówiąc „my”.

- Tak.

- Dlaczego?

- Ta wiadomość nie jest panu niezbędna.

- Ale przypuszcza pan, że był transwestytą.

- Tak.

- I kurwą?

- Być może - odrzekł Brunetti.

Feltrinelli odwrócił się od okienka, przeszedł przez pokój w stronę Brunettiego i wyciągnął rękę.

- Niech pan pokaże mi ten portret.

Brunetti wyjął ze skoroszytu kserograficzną odbitkę portretu wykonanego przez plastyka. Zauważył przy tym, że papierowa okładka zabarwiła jego spoconą dłoń na niebiesko. Podał kartkę Feltrinellemu, który przez chwilę bacznie przyglądał się rysunkowi, potem jedną ręką zasłonił narysowane nad czołem włosy i znowu przyjrzał się twarzy.

- Nie, nigdy nie widziałem tego człowieka - powiedział, oddając kartkę.

Brunetti dał wiarę jego słowom. Włożył rysunek do skoroszytu.

- Czy zna pan kogoś, kto może pomóc nam w zidentyfikowaniu tego mężczyzny?

- Zapewne zamierzacie wypytać wszystkich z nas, którzy figurują w kartotece policyjnej - stwierdził Feltrinelli bardziej pojednawczym tonem.

- Tak. Nie mamy możliwości skontaktowania się z innymi ludźmi.

- To znaczy z tymi, którzy jeszcze nie byli aresztowani - uściślił Feltrinelli i spytał po chwili: - Czy ma pan więcej kopii tego rysunku?

Brunetti wyjął odbitkę ze skoroszytu i podał ją Feltrinellemu razem ze swoją wizytówką.

- Będzie pan musiał zadzwonić do komendy w Mestre i poprosić o połączenie ze mną. Albo z sierżantem Gallo.

- Jak go zabito?

- Przeczyta pan o tym w dzisiejszych gazetach.

- Nie czytuję gazet.

- Został pobity na śmierć.

- Tam na polu?

- Tego nie mogę panu ujawnić.

Feltrinelli położył rysunek na stole kreślarskim i zapalił papierosa.

- No dobrze - powiedział, odwracając się do Brunettiego. - Skoro mam ten rysunek, pokażę go paru osobom. Gdy się czegoś dowiem, zawiadomię pana.

- Czy pan jest architektem?

- Tak. Mam dyplom, ale nie pracuję w zawodzie, to znaczy, jestem bez pracy.

Wskazując leżące na stole arkusze kalki, Brunetti powiedział:

- Ale pracuje pan nad jakimś projektem.

- Tylko dla własnej rozrywki, panie komisarzu. Straciłem pracę.

- Przykro mi.

Feltrinelli wsadził ręce do kieszeni i spojrzał Brunettiemu prosto w oczy.

- Pracowałem w Egipcie, na zlecenie rządu, i zajmowałem się projektowaniem komunalnych budynków mieszkalnych, dopóki nie wydano zarządzenia, że wszyscy cudzoziemcy muszą co roku poddawać się badaniom na AIDS. Moje zeszłoroczne wyniki badań były niepomysłne, więc wyrzucono mnie z pracy i odesłano do domu.

Brunetti nic nie odpowiedział, więc Feltrinelli ciągnął:

- Po powrocie tutaj próbowałem znaleźć jakieś zajęcie, ale, jak pan zapewne wie, architekci mnożą się jak grzyby po deszczu. Dlatego postanowiłem... - tu przerwał szukając słowa - ...zmienić zawód.

- Mówi pan o uprawianiu prostytucji?

- Zgadza się.

- Nie obawia się pan ryzyka?

- Ryzyka? - powtórzył Feltrinelli, zdobywając się prawie na taki sam uśmiech, jaki posłał Brunettiemu, gdy otworzył mu drzwi. - Chodzi panu o AIDS?

- Tak.

- Ryzyko nie dotyczy mnie. - Odwrócił się plecami. Podeszedł do stołu kreślarskiego, wziął tłącego się w popielniczce papierosa i pochylił się nad szkicem. - Sam znajdzie pan drogę do wyjścia, komisarzu.

Rozdział 8

Brunetti wyszedł na słońce, na hałaśliwą ulicę, i skierował się do baru znajdującego się na prawo od bloku. Poprosił o szklankę wody mineralnej, a potem o jeszcze jedną. Gdy się napił, zmoczył chusteczkę do nosa resztą wody i bezskutecznie spróbował zetrzeć niebieską plamę z dłoni.

Czy człowiek popełnia przestępstwo, jeśli, chorując na AIDS lub będąc nosicielem wirusa HIV, prostytuuje się i uprawia seks? - zaczął się zastanawiać. A jeśli nie stosuje przy tym środków zabezpieczających? Policja już tak dawno przestała uznawać prostytutkę za przestępstwo, że Brunettiemu trudno było dać twierdzącą odpowiedź na to pytanie. Z kolei nosiciel wirusa HIV, który świadomie uprawia seks bez stosowania środków zabezpieczających, niewątpliwie dopuszcza się występku, choć prawo może nie nadać za życiem i jeszcze nie ujęło tego problemu w paragrafy. Brunetti uzmysłowił sobie, że dokonując takich rozróżnień, wkracza na grząski moralnie grunt. Zamówił trzecią szklankę wody i wyjął swoją listę, żeby zobaczyć, kto zajmuje na niej drugie miejsce.

Francesco Crespo mieszkał zaledwie cztery bloki dalej, ale był to już inny świat. Budynek wyglądał jak klocek, wysoki, z gładkimi ścianami i przeszklonym frontonem. Dziesięć lat temu, gdy go wzniesiono, był zapewne wyznacznikiem tendencji rozwoju w urbanistyce. Włochy są jednak krajem, gdzie nowe idee we wzornictwie przestają być uznawane za przejaw nowoczesności, gdy tylko projekt zostanie zrealizowany, są szybko porzucane w ciągłym poszukiwaniu następnego, prowokującego proporca nowoczesności - niczym w przedsionku Piekła Dantego, gdzie przeklęte duchy na wieczność krążą w powietrzu, poszukując proporca, którego nie potrafią ani nazwać, ani

rozpoznać.

W ciągu dziesięciu lat, które minęły od zbudowania budynku, zmieniła się moda i teraz przypominał postawione na sztorc pudełko spaghetti. W szybach odbijały się promienie słońca i wypielegnowany skrawek ziemi oddzielającej dom od ulicy, ale nikt już by się nie zachwycił tym domem wzniesionym z taką prózną śmiałością pośród innych, niższych i skromniejszych.

Brunetti wiedział, które mieszkanie należy do Crespa. Klimatyzowana winda szybko zawiozła go na siódme piętro. Wszedł na wyłożony marmurem, również klimatyzowany korytarz. Skręcił w prawo i nacisnął dzwonek mieszkania D.

Usłyszał dochodzące z wewnątrz dźwięki, ale nikt nie podszedł do drzwi. Jeszcze raz zadzwonił. Odgłosy ucichły, ale wciąż nikt nie podszedł do drzwi. Nacisnął dzwonek po raz trzeci i przytrzymał guzik. Z mieszkania dało się słyszeć natarczywe brzęczenie i po chwili rozległo się wołanie:

- *Basta! Vengo.*

Przestał naciskać na dzwonek i za chwilę drzwi otwarto silnym szarpnięciem. Stał w nich wysoki, mocno zbudowany mężczyzna w płóciennych spodniach i golfie, który mógł być z kaszmiru. Brunetti zobaczył ciemne oczy o gniewnym wyrazie i wielokrotnie złamany nos, spuścił wzrok i spojrzał na wysoki kołnierz swetra. Mamy połowę sierpnia, pomyślał, ludzie mdleją na ulicy z gorąca, a ten człowiek nosi kaszmirowy golf.

- Pan Crespo? - spytał, patrząc mu prosto w oczy.

- Z kim mam do czynienia? - padło szorstkie pytanie, w którym dało się wyczuć nie skrywany gniew, a nawet groźbę.

- Komisarz Guido Brunetti - odpowiedział, wyjmując legitymację.

Mężczyzna w golfie, podobnie jak Feltrinelli, w mgnieniu oka rozpoznał legitymację policyjną. Zrobił szybki ruch w stronę Brunettiego, tak jakby swą odrażającą posturą chciał wypchnąć go na korytarz. Widząc, że Brunetti nie rusza się z miejsca, cofnął się o krok.

- Pana Crespo nie ma.

Z drugiego pokoju doszedł ich głośny stuk. Pewnie jakiś ciężki przedmiot spadł na podłogę.

Teraz Brunetti zrobił krok w przód, zmuszając mężczyznę w swetrze do odsunięcia się od drzwi. Nie zatrzymując się, wszedł do pokoju i stanął przy skórzanym fotelu podobnym do tronu, obok stolika z ogromnym bukietem mieczyków w kryształowym wazonie. Usiadł i założył nogę na nogę.

- Wobec tego poczekam - rzekł z uśmiechem. - O ile nie ma pan nic przeciwko temu, panie...?

Mężczyzna w golfie zatrzasnął drzwi wejściowe.

- Zawołam go - powiedział.

Wszedł do następnego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Przez ścianę Brunetti usłyszał jego bas, głęboki i rozgniewany. Zaraz doszedł go drugi głos - tenor. Po chwili rozróżnił trzeci głos, też tenorowy, ale o cały ton wyższy od poprzedniego. Przyciszona rozmowa trwała kilka minut, co pozwoliło Brunettiemu rozejrzeć się po pokoju. Mieszkanie było nowe i niewątpliwie urządzone za duże pieniądze, ale nie chciałby mieć niczego, co tu zobaczył, nawet perłowszarej skórzanej kanapy czy mahoniowego stolika.

Drzwi do drugiego pokoju otworzyły się i wyszedł z niego potężny mężczyzna w golfie, a za nim drugi, młodszy o dziesięć lat, dużo drobniejszej budowy.

- To on - powiedział ten pierwszy, wskazując Brunettiego.

Młodszy miał na sobie luźne jasnoniebieskie spodnie i białą jedwabną koszulę rozpiętą pod szyją. Brunetti wstał na jego widok.

- Pan Francesco Crespo?

Młody mężczyzna zatrzymał się przed komisarzem, ale instynkt lub zawodowa rutyna kazała mu zdobyć się na jakiś gest wobec człowieka w wieku Brunettiego i o jego prezencji. Zrobił mały krok w przód, miękkim ruchem uniósł rękę z rozłożonymi palcami i przyłożył ją do dolnej części szyi.

- Tak, to ja - odparł. - Czego pan sobie życzy?

To jego głos, wyższy spośród dwóch tenorowych, usłyszał Brunetti przez ścianę, ale teraz Crespo usiłował nadać mu głębszy ton, aby brzmiał bardziej interesująco lub bardziej zalotnie.

Crespo był niższy od komisarza i ważył z dziesięć kilogramów mniej. Za sprawą przypadku lub w wyniku rozmyślnego działania jego oczy miały taką samą jasnoszarą barwę jak obicie kanapy, a w zestawieniu z mocno ogorzałą twarzą zyskiwały ciemniejszy ton. Kobiętę o takich rysach uznano by co najwyżej za ładną zgodnie z klasycznymi kryteriami urody, ale męska kanciastość linii twarzy czyniła Crespa pięknym.

Brunetti odsunął się od niego o krok, na co mężczyzna w swetrze zareagował parsknięciem, i sięgnął po położony na stoliku skoroszyt.

- Proszę spojrzeć na ten portret, panie Crespo, i powiedzieć, czy poznaje pan tego człowieka.

- Chętnie przyjrzę się wszystkiemu, co pan zechce mi pokazać - odparł Crespo, kładąc nacisk na słowo „pan”, a jednocześnie gładził się pieszczotliwie po szyi.

Brunetti otworzył skoroszyt i podał mu wykonany przez plastyka rysunek twarzy zmarłego. Crespo szybko przebiegł go wzrokiem.

- Nie mam pojęcia, kto to jest - rzekł z uśmiechem, po czym chciał oddać kartkę, ale Brunetti jej nie przyjął.

- Proszę dokładnie przyjrzeć się temu rysunkowi.

- Słyszysz pan, on go nie zna - wtrącił się stojący pod ścianą mężczyzna w swetrze.

Brunetti nie zwrócił na to uwagi.

- Ten człowiek został pobity na śmierć - wyjaśnił. - Chcemy ustalić jego tożsamość i dlatego bylibyśmy wdzięczni, gdyby pan przyjrzał się temu rysunkowi jeszcze raz.

Crespo zamknął na chwilę oczy i musnął niesforny loczek za lewym

uchem.

- Skoro pan nalega... - Pochylił głowę nad rysunkiem i dopiero teraz zatrzymał na nim wzrok. Brunetti nie był w stanie dostrzec wyrazu jego oczu, ale zauważył, że Crespo raptownie przesunął ręką po szyi, tym razem nie w zalotnym geście.

Po chwili przeniósł wzrok na Brunettiego i powiedział ze słodkim uśmiechem:

- Nigdy go nie widziałem, panie policjancie.

- Wystarczy panu? - spytał mężczyzna w swetrze i zrobił krok w stronę drzwi.

Brunetti wziął rysunek od Crespa i włożył do skoroszytu.

- Ten rysunek oparty jest jedynie na domysłach plastyka co do wyglądu zmarłego. Może zechciałby pan spojrzeć na fotografię tego człowieka - powiedział, siląc się na uwodzicielski uśmiech, na co Crespo zatrzepotał ręką w powietrzu i znowu przyłożył ją do płytkiego zagłębienia obojczyka.

- Oczywiście, panie policjancie. Co tylko pan sobie życzy - odparł.

Brunetti sięgnął z uśmiechem po ostatnie z kilku zdjęć znajdujących się w skoroszycie. Wyjął je i przez chwilę bacznie oglądał. Równie dobre jak każde inne, pomyślał.

- Niewykluczone, że mordercą jest człowiek, który płacił za jego usługi - rzekł, podając fotografię. - A to oznacza, że może on zagrazać innym ludziom pokroju ofiary.

Biorąc zdjęcie do ręki, Crespo musnął palcami dłoń Brunettiego. Uniósł fotografię tak, by zawisała między nimi w powietrzu, posłał komisarzowi przeciągłe spojrzenie i wreszcie popatrzył na zdjęcie. Przyłożył dłoń do ust, z trudem łapiąc oddech.

- Nie, nie - wymamrotał. Spojrzał na Brunettiego z przerażeniem. Gwałtownie wyciągnął przed siebie rękę ze zdjęciem, przycisnął je do piersi komisarza i odskoczył od niego jak od siedliska zarazy. Fotografia upadła na

podłogę.

- Nie mogą mi tego zrobić. Mnie to się nie przytrafi - wykrztusił. Przy każdym słowie jego głos robił się coraz wyższy, aż przybrał histeryczny ton. Crespo zaczął krzyczeć: - Nie, to mi się nie przytrafi! Nic złego mi się nie przytrafi! - Piskliwym głosem rzucał wyzwanie światu, w którym przyszło mu żyć. - Nie mnie! Nie mnie! - wołał, krok po kroku odsuwając się od Brunettiego, aż uderzył w stół, ustawiony na środku pokoju. Wpadł w panikę, gdy uprzytomnił sobie, że nie może dalej uciec od zdjęcia i człowieka, który mu je pokazał, i walnął w blat ręką. Wazon, taki sam jak ten, przy którym stał Brunetti, zleciał na podłogę.

W tym momencie otworzyły się drzwi drugiego pokoju i szybkim krokiem wszedł jeszcze jeden mężczyzna.

- Co się stało? - zapytał. - Co tu się dzieje?

Skierował wzrok na Brunettiego i obaj panowie natychmiast się rozpoznali. Giancarlo Santomauro był jednym z najbardziej znanych prawników w Wenecji, często udzielającym bezpłatnej porady prawnej prymasowi, a także prezesem i duszą Lega della Moralita, świeckiego stowarzyszenia chrześcijan, propagującego „zachowanie i utrwalanie wiary, cnoty i wartości ogniska domowego”.

Brunetti skinął mu jedynie głową. Gdyby przypadkiem dwaj pozostali nie wiedzieli, kim jest klient Crespa, będzie lepiej, jeśli tożsamość prawnika pozostanie nieujawniona.

- Co pan tu robi?! - zawołał rozzłoszczony Santomauro, po czym zwrócił się do mężczyzny w swetrze stojącego teraz nad Crespem, który na kanapie zanosił się płaczem. - Każ mu się zamknąć! - krzyknął.

Brunetti patrzył, jak mężczyzna w swetrze pochyla się nad Crespem, mówi coś, a potem chwyta go za ramiona i szarpie tak mocno, że głowa leżącego bezwładnie opada w przód i w tył. Crespo przestał płakać, ale nie odjął rąk od twarzy.

- Co pan robi w tym mieszkaniu, komisarzu? - złościł się Santomauro. - Jestem adwokatem pana Crespo i nie pozwolę, aby policja się nad nim znęcała.

Mężczyzna w swetrze usiadł przy Crespie, objął go troskliwie i uspokajał.

- Zadałem panu pytanie, komisarzu - powiedział Santomauro.

- Przyszedłem tu, żeby poprosić pana Crespo o pomoc w ustaleniu tożsamości człowieka, który padł ofiarą zbrodni. Pokazałem mu zdjęcie tego człowieka, co spowodowało gwałtowną reakcję. Sam pan widzi. Bardzo gwałtowną, zważywszy, że - jak twierdzi - nie znał zmarłego. Nie uważa pan?

Po tych słowach mężczyzna w golfie spojrzął na Brunettiego, ale z odpowiedzią pospieszył Santomauro.

- Skoro pan Crespo twierdzi, że nie rozpoznaje tego człowieka, musi pan zadowolić się tą odpowiedzią i wyjść - oświadczył.

- Oczywiście - zgodził się Brunetti, włożył skoroszyt pod pachę i zrobił kilka kroków w stronę wyjścia. Odwracając głowę w kierunku Santomaura, rzucił swobodnym, towarzyskim tonem: - Zapomniał pan zawiązać sznurowadła, panie mecenasie.

Santomauro zerknął w dół i natychmiast zorientował się, że buty są starannie zawiązane. Nic nie powiedział, choć spojrzenie, którym ugodził Brunettiego, było ostre jak nóż.

Brunetti zatrzymał się przy kanapie i spojrzął na Crespa.

- Nazywam się Brunetti - rzekł. - Jeśli coś się panu przypomni, proszę zadzwonić na policję.

Santomauro już miał coś wtrącić, ale się powstrzymał. Brunetti, nie odprowadzony do drzwi, wyszedł z mieszkania.

Rozdział 9

Dzień był mało owocny zarówno dla Brunettiego, jak i dla pozostałych dwóch policjantów. Późnym popołudniem zebrali się w komendzie. Gallowi trzech mężczyzn z jego listy oświadczyli, iż nie znają zamordowanego, i prawdopodobnie mówili prawdę. Dwaj byli poza domem, a jednemu twarz z portretu wydała się znajoma, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ją widział. Relacja Scarpy była podobna - wszyscy, z którymi rozmawiał, stwierdzili z całą pewnością, że nigdy nie widzieli zmarłego.

Policjanci uzgodnili, że następnego dnia będą kontynuować tę procedurę, do ostatniego nazwiska na liście. Brunetti poprosił Galla o przygotowanie drugiej listy, z nazwiskami kobiet, które prostytuują się na polach za fabrykami i na Via Cappuccina. Choć nadzieję miał nikłą, nie wykluczał możliwości, że kobiety dostrzegły pojawienie się konkurencji i rozpoznają zamordowanego.

Gdy wracał do domu, wchodząc po schodach puścił wodze fantazji i zaczął sobie wyobrażać, co zobaczy po otwarciu drzwi. Elfy w czarodziejski sposób weszły tam za dnia i założyły klimatyzację w całym mieszkaniu. Dobre duszki zamontowały prysznic, widziany jedynie w reklamach kurortów i w amerykańskich operach mydlanych - dwadzieścia sitek, z których będą tryskały na jego ciało cieniutkie jak igła strugi perfumowanej wody. A po kąpieli, owinięty w gruby, gigantyczny ręcznik, zobaczy barek, być może taki, jakie znajdują się na skraju basenów, i barman w białej marynarce poda mu dużego, chłodnego drinka z pływającym na powierzchni hibiskusem. Zaspokoiwszy potrzeby fizyczne, oddał się fantastycznonaukowej wizji - wyczarował dwójkę sumiennych, posłusznych dzieci i oddaną żonę, która już na progu mówi mu, że sprawa morderstwa została wyjaśniona i nic nie stoi na przeszkodzie, by

następnego ranka cała rodzina wyjechała na wakacje.

Rzeczywistość, jak to zazwyczaj bywa, okazała się inna. Wszyscy członkowie rodziny schronili się na tarasie, gdzie dało się odczuć pierwsze oznaki wieczornego chłodu.

- Ciao, Papa! - Chiara spojrzała na ojca znad książki i nadstawiła policzek do pocałunku, po czym znowu zagłębiła się w lekturze. Raffaele uniósł wzrok znad aktualnego wydania miesięcznika „Gente Uomo”, bąknął coś na powitanie, po czym oddał się rozmyślaniom nad koniecznością posiadania nowej bielizny. Paola, widząc, w jakim stanie mąż wrócił do domu, wstała, wzięła go w ramiona i pocałowała w usta.

- Weź prysznic, Guido, a ja zrobię ci drinka.

Gdzieś na lewo od nich zabrzmiał dźwięk dzwonu, Raffi przewrócił stronę pisma, a Brunetti rozluźnił węzeł krawata.

- Włóż do szklanki hibiskusa - powiedział i poszedł się umyć.

Po dwudziestu minutach, ubrany w luźne bawełniane spodnie i płócienną koszulę, siedział już na tarasie, opierając gołe stopy o balustradę, i opowiadał Paoli, jak minął mu dzień. Dzieci zniknęły, bez wątplenia żeby posłusznie i sumiennie wypełnić swe obowiązki,

- Santomauro? - zdziwiła się Paola. - Giancarlo Santomauro?

- We własnej osobie.

- Urocze - powiedziała ze szczerym rozbawieniem. - Ogromnie żałuję, że obiecałam z nikim nie rozmawiać o tym, co mi opowiadasz. Wspaniała historia!

- I rzeczywiście z nikim o tym nie rozmawiasz? - upewnił się, dobrze wiedząc, że nie powinien pytać.

Paola już miała się odciąć, ale zrezygnowała, położyła mu rękę na kolanie.

- Tak, Guido, z nikim nie dzielę się tymi wiadomościami. I nie będę się dzielić.

- Przepraszam za to pytanie - powiedział Brunetti i wypił łyk campari z

wodą sodową.

- Znasz jego żonę? - Paola zmieniła temat rozmowy.

- Chyba byłem jej kiedyś przedstawiony, na jakimś koncercie parę lat temu. Ale teraz bym jej nie poznał. Co to za kobieta?

Paola wypięła łyk swojego drinka i postawiła szklankę na balustradzie, czego wielokrotnie zakazywała swoim dzieciom.

- No cóż... - szukała wystarczająco uszczypliwych słów. - Gdybym była panem... przepraszam, mecenasem Santomauro i mogła wybierać między moją wysoką, chudą i nieskazitelnie ubraną żoną z fryzurą Margaret Thatcher, nie wspominając o usposobieniu, i młodym chłopcem dowolnego wzrostu, z dowolną fryzurą i usposobieniem, moje oczy niewątpliwie uśmiechnęłyby się do chłopca.

- Skąd ją znasz? - zapytał Brunetti, jak zwykle pomijając retoryczną formę i koncentrując się na treści.

- Jest klientką Biby - odparła. Biba, przyjaciółka Paoli, zajmowała się sprzedażą wyrobów jubilerskich.

- Przychodzi do sklepu, gdzie kilka razy się widziałyśmy. Ponadto wraz z mężem była na przyjęciu u moich rodziców, którego nie zaszczyciłeś swoją obecnością.

Wiedząc, że tym docinkiem Paola zrewanżowała się za pytanie o jej dyskrecję, Brunetti pominął uszczypliwość milczeniem i spytał:

- Jak się zachowują w towarzystwie?

- Ona prowadzi konwersację, a on nie udziela się i rzuca groźne spojrzenia, tak jakby w promieniu dziesięciu kilometrów nie było rzeczy wartej uwagi ani nikogo, kto spełnia jego wysokie wymagania. Zawsze uważałam, że są parą świętoszkowatych, zadufanych bigotów. Wystarczy przez pięć minut jej posłuchać. Człowiek ma wrażenie, że spotkał którąś z nabożnych i nieprzyjaznych postaci drugoplanowych z powieści Dickensa. Ponieważ to ona prowadziła konwersację, nie miałam pewności co do niego i musiałam kierować

się intuicją. Cieszę się, że mnie nie zawiodła.

- Paolo - powiedział Brunetti ostrzegawczym tonem - nie mam żadnych podstaw, by sądzić, że Santomauro przyszedł tam w innym celu niż po to, by udzielić Crespowi porady prawnej.

- I w tym celu musiał zdjąć buty? - prychnęła Paola z niedowierzaniem. - Guido, w jakich ty żyjesz czasach? Mecenas Santomauro znalazł się tam w jednym jedynym celu, który nie ma nic wspólnego z jego pracą zawodową. Można też przypuszczać, że zamierzał złożyć panu Crespo interesującą propozycję finansową.

W ciągu dwudziestu kilku lat małżeństwa Brunetti przekonał się, że Paola ma skłonność „posuwać się za daleko”. Ale nawet po tylu latach nie był pewien, czy jest to wada, czy zaletą, choć niewątpliwie stanowiło trwałą cechę jej charakteru. Za każdym razem gdy zamierzała „posunąć się za daleko”, jej oczy nabierały nawet jakiegoś dzikiego spojrzenia. Zauważywszy ten znak, Brunetti wiedział, że coś się szykuje, ale nie miał pojęcia, jaką przybierze formę.

- Jak myślisz, czy taką samą propozycję finansową złożył prymasowi?

W ciągu długich lat małżeństwa Brunetti przekonał się również, że jedynym sposobem poradzenia sobie z tą skłonnością Paoli jest całkowite ignorowanie jej uwag.

- Jeszcze raz powtarzam - ciągnął. - Z faktu, że Santomauro przebywał w tym mieszkaniu, nic nie wynika.

- Miejmy nadzieję, że masz rację. W przeciwnym wypadku nie zaznam spokoju za każdym razem, gdy będę widziała, jak wychodzi z Pałacu Prymasowskiego albo z bazyliki.

Brunetti zgromił ją spojrzeniem.

- Niech będzie, Guido. Poszedł tam w interesach, jako prawnik. - Umilkła na chwilę, po czym dodała zupełnie innym tonem, tak jakby chciała pokazać mężowi, że od tej chwili zamierza zachowywać się i traktować go poważnie. - Ale Crespo, twoim zdaniem, rozpoznał mężczyznę na rysunku.

- Wydaje mi się, że w pierwszej chwili rozpoznał go, ale potem, gdy uniósł wzrok i spojrzał na mnie, miał czas ochłonąć.

- Z tego nie wynika, kim był mężczyzna na rysunku. Może męską kurwą, a może klientem. Czy przyszło ci na myśl, że może być klientem, który lubi przebierać się za kobietę, kiedy... hm... odwiedza tych panów?

Brunetti dobrze wiedział, że we współczesnym społeczeństwie na rynku usług seksualnych panuje zasada, że im mężczyzna jest starszy, tym większe prawdopodobieństwo, że jest kupującym, a nie sprzedającym.

- Wobec tego - przyznał - nie powinniśmy koncentrować się na środowisku męskich kurew, ale szukać wśród ludzi, którzy korzystają z ich usług.

Paola wzięła swoją szklankę, zakołysała nią kilka razy, wypila resztę drinka i stwierdziła:

- Lista tych ludzi będzie z pewnością dłuższa i, zważywszy na to, co mi powiedziałeś o adwokacie prymasa, dużo bardziej interesująca.

- Czy to twoja kolejna teoria spiskowa, Paolo? Postulujesz, że miasto pełne jest z pozoru szczęśliwych małżonków, którzy tylko czekają, żeby cichaczem wymknąć się z domu i zaszyć się w krzakach z jakimś transwestytą?

- Guido, na miłość boską, o czym wy rozmawiacie podczas waszych męskich spotkań? O piłce nożnej? Polityce? Czy nigdy nie plotkujecie?

- O czym? O chłopcach na Via Cappuccina?

Brunetti odstawił szklankę trochę zbyt gwałtownie, po czym podrapał się w kostkę, gdzie właśnie ugryzł go komar, jeden z pierwszych, które pojawiają się wieczorną porą.

- Mówisz tak, bo wśród twoich znajomych nie ma gejów - powiedziała Paola ze spokojem.

- Wśród naszych znajomych jest wielu gejów - sprzeciwił się Brunetti i uświadomił sobie, że tylko w dyskusji z Paolą może z konieczności zdobyć się na takie stwierdzenie i mieć poczucie, że przynosi mu to zaszczyt.

- Oczywiście, ale ty tak naprawdę z nimi nie rozmawiasz.

- A co, mam wymieniać z nimi przepisy kulinarne i wyjawiać tajemnice mojej urody?

Paola już miała to skomentować, ale się powstrzymała i obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem. W końcu stwierdziła opanowanym głosem:

- Zastanawiam się, czy to, co powiedziałaś, jest obraźliwe czy raczej głupie.

Brunetti drapał się w kostkę i rozmyślał nad tym, co każde z nich właśnie powiedziało.

- To było chyba głupie, ale także całkiem obraźliwe - przyznał. Paola spojrzała na niego podejrzliwie. - Przepraszam - dodał, na co ona się uśmiechnęła. - No dobrze. Co powinienem wiedzieć na ten temat? - spytał, znowu drapiąc się w kostkę.

- Chcę ci uzmysłwić, że zdaniem niektórych gejów, którzy są moimi znajomymi, w tym mieście jest wielu mężczyzn gotowych mieć z nimi stosunki seksualne - ojców rodziny, ludzi żonatych, lekarzy, prawników czy księży. Przypuszczam, że jest w tym dużo przesady, nie mówiąc o próżności, ale także sporo prawdy. - Brunetti sądził, że tyle miała mu do powiedzenia, lecz Paola ciągnęła: - Ponieważ jesteś policjantem, pewno o tym słyszałeś, ale mam wrażenie, że większość mężczyzn woli nic o tym nie wiedzieć, a jeśli takie wiadomości dochodzą ich uszu, nie dawać im wiary.

Paola chyba nie zaliczyła mnie do tego grona, pomyślał Brunetti, ale nie był tego całkowicie pewny.

- Kto jest głównym źródłem tych informacji? - spytał.

- Ettore i Basilio - odparła, wymieniając dwóch pracowników swojej uczelni. - To samo twierdzą też koledzy Raffiego.

- Co?

- Dwaj koledzy Raffiego z gimnazjum. Guido, nie rób takiej zdziwionej miny. Oni mają po siedemnaście lat.

- Mają siedemnaście lat i co?
- I są gejami, Guido. Gejami.
- To jego bliscy koledzy? - spytał bezmyślnie Brunetti.

Paola raptownie wstała z krzesła, mówiąc:

- Nastawię wodę na spaghetti. Sądzę, że lepiej kontynuować tę rozmowę po kolacji. Będziesz miał czas, żeby zastanowić się nad tym, co powiedziałaś, i przemyśleć ogólniejsze zasady, na których się opierasz.

Wzięła puste szklanki, po czym weszła do mieszkania, pozostawiając go sam na sam z jego ogólniejszymi zasadami.

Kolacja przebiegła w spokojniejszej atmosferze, niż mógł być przypuszczać, biorąc pod uwagę nagłe wyjście żony do kuchni. Paola zrobiła sos ze świeżego tuńczyka, pomidorów i papryki - danie, które z pewnością po raz pierwszy pojawiło się na ich stole - i ugotowała jego ulubiony, gruby makaron Martelli. Do tego podała sałatkę i na koniec pecorino, przywiezione z Sardynii przez rodziców dziewczyny Raffiego, oraz świeże brzoskwinie. Jak w fantastycznej wizji dzieci zaproponowały, że pozmywają naczynia, co bez wątplenia było wstępem do zaplanowanego ataku na jego portfel przed wyjazdem na wakacje w góry.

Brunetti wycofał się na taras, wzięwszy ze sobą mały kieliszek schłodzonej wódki. Wokół niego latały ostrymi zakosami nietoperze. Brunetti lubił nietoperze - pożerały komary. Po kilku minutach Paola usiadła obok. Gdy wyciągnął do niej rękę z kieliszkiem, upiła mały łyk.

- To z tej butelki w zamrażalniku? - spytała.

Kiwnął głową.

- Skąd ją masz?
- Chyba można ją potraktować jako łapówkę.
- Od kogo?

- Od Donzellego. Poprosił mnie, żebym ułożył harmonogram urlopów tak, aby on mógł pojechać do Rosji - byłej Rosji - na wakacje. Przywiózł mi stamtąd

butelkę wódki.

- To wciąż jest Rosja.

- Słucham?

- Myślisz o byłym Związku Radzieckim, ale to wciąż jest ta sama stara Rosja.

- Ach tak. Bardzo dziękuję za informację.

Paola przyjęła podziękowanie kiwnięciem głową.

- Gzy one jedzą coś jeszcze? - spytał Brunetti.

- Kto? - Paola po raz pierwszy była zbita z tropu.

- Nietoperze.

- Nie wiem. Spytaj Chiarę. Zazwyczaj zna odpowiedź na takie pytania.

- Zastanawiałem się nad tym, co powiedziałem przed kolacją - rzekł Brunetti, sącząc wódkę z kieliszka. Spodziewał się, że otrzyma ciętą odpowiedź, ale usłyszał tylko:

- No i...?

- Chyba masz rację.

- W czym?

- Zamordowany mógł być klientem, a nie męską kurwą. Widziałem jego ciało. To mało prawdopodobne, aby ktoś chciał płacić za obcowanie z mężczyzną mającym takie ciało.

- Jak on wyglądał?

- To zabrzmiało dziwnie - powiedział Brunetti, wypijając łyk wódki - ale gdy go zobaczyłem, miałem wrażenie, że jest podobny do mnie. Mniej więcej tego samego wzrostu, podobnej budowy, chyba w tym samym wieku. - Czułem się bardzo nieswojo, patrząc jak tam leży, martwy.

- Tak, rozumiem - odparła Paola i umilkła.

- Czy ci chłopcy są bliskimi znajomymi Rafflego?

- Jeden z nich, tak. Pomaga mu odrabiać prace domowe z włoskiego.

- To dobrze.

- Że pomaga mu odrabiać prace domowe z włoskiego?

- Dobrze, że są przyjaciółmi.

Paola wybuchnęła głośnym śmiechem i pokręciła głową.

- Nigdy cię nie zrozumie, Guido. Nigdy. - Położyła dłoń na jego karku, pochyliła się i wyjęła mu z ręki kieliszek. Wypiła jeszcze jeden łyk wódki i oddała mu kieliszek, mówiąc: - Kiedy dopijesz, pozwolisz mi zapłacić za obcowanie z twoim ciałem?

Rozdział 10

Kolejne dwa dni mało różniły się od poprzednich, jedynie upał się wzrósł. Czterej mężczyźni z listy Brunettiego wciąż byli poza domem, a ich sąsiedzi nie wiedzieli, gdzie przebywają ani kiedy wrócą. Dwaj z listy nie znali zamordowanego. Gallo i Scarpa również mieli niewiele szczęścia; choć jednemu z mężczyzn na liście Galia twarz z portretu wydała się znajoma, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ją widział.

Trzej policjanci zjedli razem obiad w małej restauracji koło gmachu komendy i zaczęli się zastanawiać, co wiadomo i czego nie wiadomo w sprawie morderstwa.

- Ten człowiek nie umiał golić nóg - powiedział Gallo, gdy wyczerpali już wszystkie kwestie.

Brunetti nie był pewien, czy sierżant zażartował sobie, czy chwytą się najmniejszej szansy.

- Na jakiej podstawie tak pan twierdzi? - spytał, dopijając wino i rozglądając się za kelnerem, żeby poprosić o rachunek.

- Widziałem jego ciało. Miał mnóstwo drobnych zacięć na nogach, tak jakby ogolił je bez wprawy.

- A my zrobiliśmy to z wprawą? - zauważył Brunetti i dodał dla jasności:
- My, mężczyźni.

Scarpa uśmiechnął się, przykładając kieliszek do ust.

- Na pewno odciąłbym sobie rzepekę. Nie mam pojęcia, jak kobiety to robią - powiedział i pokręcił głową z uznaniem dla ich cudownych umiejętności.

Rozmowę przerwał kelner, który podszedł z rachunkiem. Sierżant Gallo szybciej niż Brunetti wyjął portfel i położył na rachunku kilka banknotów.

Uprzedzając protesty, wyjaśnił:

- Jak już mówiłem, jest pan gościem miasta.

Brunetti zadał sobie w duchu pytanie, jak Patta przyjąłby ten gest - oczywiście uznałby, że Brunetti nie zasługuje na takie względy.

- Sprawdziliśmy wszystkie osoby wymienione na liście - powiedział. - Wydaje mi się, że teraz powinniśmy spotkać się z tymi, którzy na niej nie figurują.

- Mam zaaresztować kilku z nich, panie komisarzu? - zapytał Gallo.

Brunetti potrząsnął przecząco głową, przekonany, że tym sposobem nie zachęci się ich do współpracy.

- Nie, najlepiej pójść do nich i porozmawiać - stwierdził.

- Przecież nie znamy ani nazwisk, ani adresów większości z nich - wtrącił Scarpa.

- W takim razie będę musiał odwiedzić ich w miejscu pracy - odparł Brunetti.

Via Cappuccina jest szeroką, wysadzaną drzewami ulicą, która ma swój początek w miejscu oddalonym o kilka bloków od dworca kolejowego w Mestre i biegnie do centrum handlowego. Są przy niej okazałe sklepy i małe sklepiki, biura i domy mieszkalne. Za dnia wygląda jak zwykła ulica w całkowicie zwyczajnym włoskim miasteczku. Pod drzewami i w małych parkach, które znajdują się przy niej, bawią się dzieci. Zazwyczaj towarzyszą im matki, które pilnują, żeby nie wyskoczyły na ruchliwą jezdnię, a także przestrzegają je i chronią przed pewnymi ludźmi, którzy ściągają na Via Cappuccina. Sklepy zamyka się o dwunastej trzydzieści i przez kilka godzin na ulicy panuje spokój. Ruch słabnie, handel zamiera, ludzie idą do domu, żeby coś zjeść i odpocząć. Po południu nie ma już tylu dzieci, ale ruch wzmagą się i po otwarciu sklepów i biur ulica znowu tętni życiem.

Między siódmą trzydzieści a ósmą wieczorem zamyka się sklepy, biura i

stragany; handlowcy i właściciele firm spuszczaają metalowe żaluzje, zamykają je na solidne zamki i wracają do domów na kolację, zostawiając ulicę tym, którzy będą przechadzać się tu po ich odejściu.

W porze wieczornej na Via Cappuccina wciąż panuje duży ruch, ale nikomu się już nie spieszy. Samochody przejeżdżają powoli, choć parkowanie przestało nastroczać trudności - kierowcy nie szukają przecież miejsca do zaparkowania. Włochy stały się zamożnym krajem i większość samochodów jest wyposażona w klimatyzację. Z tego powodu auta poruszają się jeszcze wolniej - przejeżdżający muszą bowiem opuścić szybę, zanim podadzą albo usłyszą cenę, i cała procedura zabiera więcej czasu.

Niektóre samochody są nowe i eleganckie: BMW, mercedesy, czasem ferrari, choć te ostatnie są na Via Cappuccina osobliwością. Zazwyczaj przejeżdżają tędy stateczne i zadbane sedany, samochody mieszczące całą rodzinę, którymi rano zawozi się dzieci do szkoły, w niedzielę jedzie do kościoła, a potem na obiad u dziadków. Zwykle prowadzą je mężczyźni, którzy najlepiej czują się w garniturze i krawacie i mają korzystną sytuację materialną, będącą wynikiem rozkwitu gospodarczego, jaki przeżywają Włochy w ostatnich dziesięcioleciach.

Coraz częściej zdarza się, iż lekarze, którzy odbierają dzieci urodzone w prywatnych klinikach i szpitalach we Włoszech, dostępnych dla ludzi zamożnych, informują młode matki, że zarówno one, jak ich dzieci są zarażone wirusem HIV. Większość kobiet, wiernych przysiędze małżeńskiej, przyjmuje tę wiadomość z osłupieniem i podejrzewa, że powodem zarażenia jest jakieś potworne uchybienie w sztuce lekarskiej. Powodów prawdopodobnie należy szukać na Via Cappuccina, gdzie panowie prowadzący solidne samochody nawiązują kontakty z kobietami czy mężczyznami zapełniającymi chodniki.

Tego wieczoru Brunetti przyjechał pociągiem do Mestre i po kilkuminutowej wędrówce z dworca skręcił w Via Cappuccina. Była jedenasta trzydzieści. Wcześniej poszedł do domu na kolację, przespał się godzinę, a

potem włożył takie ubranie, w którym jego zdaniem nie wyglądał na policjanta. Scarpa przygotował mu pomniejszone odbitki portretu i zdjęć zmarłego. Kilka z nich Brunetti włożył do wewnętrznej kieszeni niebieskiej płóciennej marynarki i wziął ze sobą do Mestre.

Z tyłu i z prawej strony dochodził go słaby szum samochodów kierujących się ku *tangenziale* autostrady. Powietrze, którym oddychał, było tak ciężkie i gęste, nie poruszane najlżejszym powiewem wiatru, że miał wrażenie, jakby spaliny z całego Mestre skupiały się nad tą częścią miasta. Minął jedną ulicę, potem drugą i trzecią, i dopiero po pewnym czasie zaczął zwracać uwagę na przejeżdżające samochody. Sunęły powoli, z zamkniętymi oknami, a kierowcy mieli zwrócone w stronę krawężnika głowy i obserwowali innego rodzaju ruch, ten na chodniku.

Brunetti był tu jednym z wielu pieszych, ale należał do nielicznych, którzy mieli na sobie koszulę i krawat, i chyba jako jedyny nie stał w miejscu.

- *Ciao, bello.*

- *Cosa vuoi, amore?*

- *Ti faccio tutto che vuoi, caro.*

Propozycje padały niemal od każdej osoby, którą mijał, i gwarantowały wiele uciechy, radości i rozkoszy. Roztaczano przed nim wizje niewyobrażalnych przyjemności i spełnienia najbardziej wybujałych marzeń. Brunetti zatrzymał się pod zapaloną latarnią i natychmiast podeszła do niego wysoka blondynka ubrana w białą minispódniczkę i niewiele więcej.

- Pięćdziesiąt tysięcy - powiedziała z szerokim uśmiechem, który miał być dodatkową zachętą.

- Szukam mężczyzny - odparł Brunetti.

Bez słowa odwróciła się i podeszła do krawężnika. Pochyliła się w stronę przejeżdżającego audi i wykrzyknęła tę samą cenę. Samochód nie zatrzymał się. Widząc, że Brunetti dalej stoi w tym samym miejscu, odwróciła się do niego, mówiąc:

- Czterdzieści.

- Szukam mężczyzny.

- Będą cię drożej kosztować, *bello*, a i tak nie dadzą nic ponad to, co ja mogę ci dać. - Znowu uśmiechnęła się szeroko.

- Chcę pokazać im zdjęcie - powiedział Brunetti.

- *Gesu Bambino*, oby nie jeden z tych - mruknęła pod nosem i dodała głośno: - Oni zażądają dodatkowej zapłaty, a ja robię wszystko w jednej cenie.

- Chcę pokazać im zdjęcie mężczyzny i spytać, czy go znają.

- Policja? - spytała.

Kiwnął głową.

- Powinnam się domyślić - odparła. - Chłopcy są tam, po drugiej stronie Piazzale Leonardo da Vinci.

- Dziękuję - rzekł Brunetti i ruszył dalej.

Przy następnym skrzyżowaniu odwrócił się i zobaczył, że dziewczyna siada na miejscu dla pasażera w granatowym volvo. Po kilku minutach znalazł się na dużym placu. Przeszedł na drugą stronę, bez trudu wymijając wlekące się samochody, i dostrzegł kilka osób opartych o niski mur. Gdy podszedł bliżej, usłyszał wiele tenorowych głosów i te same propozycje, obietnice tych samych przyjemności. Tyle rozkoszy w zasięgu ręki, pomyślał.

Zbliżył się do tej grupy i zobaczył to samo co w drodze od stacji: usta uwydatnione czerwoną szminką i wykrzywione w uśmiechu, który miał być zachęcający, strzechy tlenionych włosów, piersi wyglądające równie autentycznie jak te, które dopiero co widział, obnażone uda.

Dwaj mężczyźni odłączyli się od grupy i podeszli do niego, ciągnąc do blasku pieniędzy jak ćmy do światła.

- Co tylko zechcesz, skarbie. Żadnych gumek. Sam konkret.

- Za rogiem stoi mój samochód, *caro*. Ty zamawiasz, ja realizuję.

- Paolina, spytaj go, czy nie weźmie was obu! - z grupy stojącej pod niskim murem zawołał ktoś i zaraz odezwał się bezpośrednio do Brunettiego: -

We dwójkę są fantastyczni, *amore*. Zrobią taką kanapkę, że nigdy nie zapomnisz jej smaku. - To wystarczyło, by wywołać salwę śmiechu, który zabrzmiał nisko i nie miał w sobie nic kobiecego.

Brunetti zwrócił się do mężczyzny nazwanego Paolina.

- Chciałbym, żeby pan spojrział na ten portret i powiedział mi, czy poznaje narysowanego mężczyznę.

Paolina odwrócił się w stronę pozostałych.

- To gliniarz, dziewczynki! Chce, żebym obejrzała jakieś rysunki.

Przekrzykując się wołali:

- Powiedz mu, że konkret jest lepszy od świńskich rysunków!

- Gliniarze i tak się na tym nie wyznają!

- Glina? Zażądaj podwójnej stawki!

Brunetti odczekał, aż wyczerpią się komentarze, i powtórzył:

- Zechce pan spojrzeć na ten rysunek?

- A co z tego będę miała? - zainteresował się Paolina. Jego koledzy wybuchnęli śmiechem, widząc, jak twardo negocjuje z policjantem.

- To portret mężczyzny, którego znaleźliśmy w poniedziałek na polu za rzeźnią. - Zanim Paolina zdążył udać, że nic o tym nie wie, Brunetti dodał: - Jestem pewien, że panowie słyszeli, co go spotkało. Chcemy ustalić jego tożsamość i wykryć sprawcę. Chyba panowie zdają sobie sprawę z powagi sytuacji.

Brunetti zauważył, że Paolina i jego kolega są podobnie ubrani, w obcisłe bluzki i krótkie spódniczki, odsłaniające gładkie, umięśnione nogi. Obaj mieli pantofle na wysokich obcasach, ze spiczastymi czubkami. Żaden z nich nie miałby szans, żeby uciec przed napastnikiem.

- No dobrze, zobaczmy ten rysunek. - Kolega Paoliny, który miał na głowie żółtą jak żonkil perukę sięgającą do ramion, wyciągnął rękę. Choć stopy mógł zasłonić damskimi pantoflami, w żaden sposób nie mógł ukryć szerokich, grubych dłoni.

Brunetti podał mu portret, mówiąc:

- Bardzo panu dziękuję.

Mężczyzna obrzucił go pytającym spojrzeniem, tak jakby komisarz zaczął nagle mówić językami. Obaj panowie pochylili się nad rysunkiem i zaczęli wymieniać uwagi w dialekcie, który przypominał Brunettiemu sardyński.

- Nie znam tego człowieka - rzekł blondyn, oddając rysunek. - Czy to jedyny jego portret, jaki pan ma?

- Tak. Mógłby pan pokazać go swoim kolegom i spytać, czy znają tę twarz? - Kiwnął głową na grupkę mężczyzn pod murem, którzy od czasu do czasu rzucali jakieś uwagi w stronę przejeżdżających samochodów, ale nie przestawali obserwować dwóch kolegów i komisarza.

- Jasne. Czemu nie? - zgodził się blondyn. Paolina udał się za nim; pewnie czuł się niezbyt dobrze sam na sam z policjantem.

Zbliżyli się do grupki mężczyzn, którzy ruszyli w ich stronę. Ten, który trzymał rysunek, potknął się i zdołał zachować równowagę tylko dlatego, że chwycił Paolinę za ramię, po czym zaklął ze złością. Otoczyło ich grono kolorowo ubranych mężczyzn, a Brunetti obserwował, jak podają sobie rysunek z rąk do rąk. Jeden z nich, chudy chłopiec w rudej peruce, oddał kartkę, ale szybko chwycił ją z powrotem i ponownie się przyjrzał. Przyciągnął ku sobie drugiego, wskazał portret i coś powiedział, na co tamten potrząsnął głową. Znowu pokazał palcem rysunek, ale kolega nie chciał się z nim zgodzić i rudy z irytacją machnął ręką. Rysunek krążył jeszcze jakiś czas i w końcu znajomy Paoliny razem z rudym wrócił do Brunettiego.

- *Buona sera* - powitał Brunetti rudego, wyciągnął rękę i przedstawił się.

Obaj mężczyźni jakby wrosli wysokimi obcasami w ziemię. Znajomy Paoliny rzucił okiem na swoją spódniczkę i nerwowo otarł rękę o jej przód. Rudy na chwilę przyłożył dłoń do ust, ale zaraz wyciągnął ją do komisarza.

- Roberto Canale. Miło pana poznać.

Brunetti poczuł mocny uścisk ciepłej dłoni. Podał rękę drugiemu, który

nerwowo zerkał na grupkę mężczyzn za plecami.

- Paolo Mazza - przedstawił się blondyn.

- Czy pan zna tego człowieka na rysunku, panie Canale? - spytał Brunetti rudego.

Canale odwrócił w bok głowę i Mazza upomniał go:

- On do ciebie mówi, Roberta. Już zapomniałeś, jak się nazywałeś?

- Nie zapomniałem - rzekł zirytowany Canale do Mazzy i zwrócił się do Brunettiego: - Znam tego człowieka, ale nie wiem, kim jest. Nie potrafię nawet powiedzieć, skąd pamiętam tę twarz. On po prostu kogoś mi przypomina.

Zdając sobie sprawę, jak niezadowolająco to zabrzmiało, ciągnął:

- Pan wie, jak to jest, kiedy widzi się sprzedawcę ze sklepu z serami gdzieś na ulicy, a on nie ma na sobie fartucha. Wydaje się nam znajomy, ale nie wiemy, skąd go znamy, nie potrafimy sobie przypomnieć. Mam takie samo odczucie, kiedy patrzę na tę twarz na rysunku. Wiem, że go znam, gdzieś widziałem - tak jak z tym sprzedawcą ze sklepu z serami - ale nie potrafię powiedzieć gdzie.

- A może tutaj? - spytał Brunetti. - Może bywał na Via Cappuccina? Czy nie tu spodziewałby się pan go zobaczyć?

- Nie, nie. Skądże. To właśnie jest takie dziwne. Okoliczności, w których go widziałem, nie mają nic wspólnego z tym, co się tutaj dzieje. - Canale machnął ręką w powietrzu. - Mam takie samo wrażenie, jakbym zobaczył tu kogoś z moich nauczycieli albo lekarza. On nie powinien tu się znaleźć. To tylko odczucie, ale bardzo silne. Czy pan rozumie, co mam na myśli?

- Oczywiście, rozumiem doskonale. Kiedyś ukłonił mi się na ulicy w Rzymie jakiś człowiek. Twarz miał znajomą, ale nie wiedziałem, skąd go znam - powiedział Brunetti z uśmiechem i odważył się dokończyć historyjkę: - Zaareztowałem go dwa lata wcześniej, ale było to w Neapolu.

Na szczęście obaj panowie się roześmiali.

- Czy mogę zatrzymać ten rysunek? - spytał Canale. - Może coś sobie

przypomnę, jeśli od czasu do czasu spojrzę na tę twarz. Pan rozumie, przez zaskoczenie.

- Naturalnie - zgodził się Brunetti. - Dziękuję panu za pomoc.

Tym razem Mazza wziął się na odwagę i zapytał:

- Bardzo źle wyglądał, gdy go znaleźliście? - Wyciągnął przed siebie ręce i kurczowo je zacisnął.

Brunetti kiwnął głową.

- Nie wystarczy im, że nas dupczą? - wtrącił Canale. - Dlaczego chcą nas jeszcze zabijać?

Pytanie było skierowane do sił wyższych niż te, dla których Brunetti pracował, ale mimo to odpowiedział:

- Nie mam pojęcia.

Rozdział 11

Następnego dnia, w piątek, Brunetti uznał, że dobrze będzie pojawić się w weneckiej komendzie i sprawdzić, czy nie ma dla niego poczty i czy nie zebrała się jakaś papierkowa robota. Poza tym, jak wyznał Paoli przy porannej kawie, chciał dowiedzieć się, czy są jakieś świeże wiadomości na temat *Il Caso Patta*.

- Ani w „Gente”, ani w „Oggi” nic nie pisali - poinformowała go, wymieniając dwa najbardziej znane pisma zajmujące się plotkami z życia towarzyskiego.

- Pani Patta chyba nie zasłużyła sobie na ich uwagę.

- Oby twoje słowa nie doszły jej uszu - przestrzegł ją Brunetti ze śmiechem.

- Jeśli dopisze mi szczęście, pani Patta w ogóle nie dowie się, jak brzmi mój głos. - Milszym już tonem spytała: - Jak myślisz, co zrobi Patta?

Brunetti dopił kawę, odstawił filiżankę i dopiero wtedy odparł:

- Nie sądzę, aby mógł zrobić cokolwiek innego niż czekać, aż Burrasca będzie miał jej dość albo ona będzie miała dość Burraski i postanowi wrócić.

- Co to za człowiek ten Burrasca? - Paola uważała za zbyteczne spytać, czy Burrasca figuruje w kartotece policyjnej. We Włoszech każdy, gdy tylko dorobi się znacznych pieniędzy, figuruje w kartotece policyjnej.

- Jak słyszałem, jest draniem. Obraca się w mediolańskim światku kokainistów, właścicieli szybkich samochodów i dziewczyn, które mają małe mózdzki.

- Teraz poniekąd ma taką - wtrąciła Paola.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Miałam na myśli panią Pattę. Dziewczyną to ona nie jest, ale na pewno

ma mały mózdzek.

- Tak dobrze ją znasz? - Brunetti nigdy nie był pewien, kogo Paola zna ani co wie.

- Nie znam jej. Wnioskuje tylko z tego, że wyszła za męża za Pate i pozostała z nim w związku małżeńskim. Wyobrażam sobie, jak trudno wytrzymać z takim pompatycznym osłem.

- Ale ty ze mną wytrzymujesz - powiedział Brunetti z uśmiechem, dopraszając się o komplement.

Obrzuciła go niezmaconym spojrzeniem.

- Ty nie jesteś pompatyczny - stwierdziła. - Czasem jesteś trudny, niekiedy nawet bardzo, ale nie jesteś pompatyczny. - Nie doczekał się komplementu.

Wstał od stołu z poczuciem, że pora udać się do pracy.

W biurze przejrzał gazety i z niezadowoleniem stwierdził, że nie ma w nich wzmianki o mężczyźnie, którego znaleziono martwego w Mestre. W trakcie czytania gazet usłyszał pukanie do drzwi.

- *Avanti!* - zawołał, sądząc, że Vianello przynosi mu jakieś wiadomości z Mestre.

Do pokoju nie wszedł sierżant, lecz ciemnowłosa kobieta z plikiem akt. Uśmiechnęła się do niego od drzwi i podeszła do biurka. Spojrzała na trzymane w ręce dokumenty i zaczęła je kartkować.

- Komisarz Brunetti? - zapytała.

- Tak, to ja.

Wyciągnęła z akt kilka kartek i położyła je przed nim.

- Pracownicy z dołu są zdania, że będzie pan chciał to przeczytać, panie komisarzu.

- Dziękuję pani. - Brunetti przysunął do siebie kartki.

Dalej stała przed biurkiem, wyraźnie czekając, aż komisarz zapyta, kim ona jest, albo nie mając śmiałości się przedstawić. Brunetti uniósł wzrok,

zobaczył duże piwne oczy i pełną, atrakcyjną twarz, z której biła jaskrawa czerwień szminki.

- A kim pani jest? - spytał z uśmiechem.

- Nazywam się Elettra Zorzi. Zaczęłam tu pracować w zeszłym tygodniu jako sekretarka zastępcy komendanta Patty.

A więc dlatego w poczekalni przylegającej do gabinetu szefa pojawiło się nowe biurko, pomyślał Brunetti. Patta od miesiący narzekał, że ma za dużo papierkowej roboty i musi ją wykonywać sam. W końcu jak kret przekopał cały budżet i znalazł fundusze na zatrudnienie sekretarki.

- Cieszę się, że mogę panią poznać - powiedział Brunetti. Jej nazwisko, Zorzi, było mu skądś znane.

- Przypuszczam, że będę pracować także dla pana, panie komisarzu - odparła z uśmiechem.

- Będzie mi bardzo miło - rzekł, choć o ile dobrze znał Pateę, nie sądził, aby do tego doszło. Spojrzał w dół na papiery.

Usłyszał, jak odchodzi od biurka. Odprowadził ją wzrokiem. Spódnica ani długa, ani krótka i bardzo zgrabne nogi, zauważył. Będąc przy drzwiach, odwróciła się i uchwyciwszy jego spojrzenie, odpowiedziała na nie uśmiechem. Znowu spuścił głowę i spojrzał w papiery. Kto mógł nadać dziecku imię Elettra? - pomyślał. I to kiedy? Ze dwadzieścia pięć lat temu? A co do nazwiska, znał wielu Zorzich, ale żaden z nich nie nazwałby córki Elettra. Gdy zamknęła za sobą drzwi, zajął się czytaniem gazet, ale nie znalazł w nich nic interesującego - przestępcy wyjechali z Wenecji na wakacje.

Zszedł na dół, kierując się do gabinetu Patty, ale gdy znalazł się na progu poczekalni, stanął jak osłupiały. Od lat w tym pokoju znajdował się jedynie wyszczerbiony porcelanowy stojak na parasole i biurko usłane starymi czasopismami, które zazwyczaj widuje się w poczekalni u dentysty. Teraz pisma zniknęły i na niskim metalowym stoliku z lewej strony biurka stał komputer z podłączoną do niego drukarką. Pod oknem, zamiast stojaka na parasole, Brunetti

zobaczył mały drewniany stolik, a na nim szklany wazon z ogromnym bukietem pomarańczowych i żółtych mieczyków.

Nie wierzył własnym oczom. Albo Patta zgodził się udzielić wywiadu dla „Przeglądu Architektonicznego”, albo nowa sekretarka doszła do przekonania, że zbytek, jakim w przekonaniu Patty ma otaczać się osoba na jego stanowisku, powinien choć trochę rozszerzyć się na pomieszczenia pracowników niższej kategorii. Jakby przywołana jego myślami, sekretarka weszła do pokoju.

- Bardzo tu ładnie - powiedział z uśmiechem i zatoczył szeroki łuk ręką.

Sekretarka położyła na biurku stos skoroszytów, a potem odwróciła się do Brunettiego.

- Cieszę się, że podoba się panu, komisarzu. Przedtem nie dało się tu pracować. A te czasopisma... - Lekko się wzdrygnęła.

- Kwiaty są cudowne. Czy mają uświetnić pani przybycie do nas?

- O nie - odparła z galanterią. - Złożyłam bezterminowe zamówienie u Fantina, żeby w każdy poniedziałek i czwartek przysyłali tu świeże kwiaty.

Kwiaciarnia Fantina jest najdroższa w mieście, pomyślał Brunetti. Świeże kwiaty dwa razy w tygodniu. To znaczy sto razy w roku?

Sekretarka zakłóciła tok tych wyliczeń, dodając:

- Ponieważ do moich obowiązków należy także bilansowanie wydatków zastępcy komendanta, pomyślałam, że zaszereguję dostawę kwiatów jako wydatki nieodchowne.

- Czy Fantin będzie również dostarczał kwiaty do gabinetu zastępcy komendanta?

- Skądże, na Boga - odparła ze zdziwieniem, które wydawało się szczere.

- Zastępcę komendanta na pewno stać na kupowanie kwiatów. Wydawanie pieniędzy podatników na taki cel byłoby niewłaściwe. - Obeszła biurko i uderzyła w klawisz komputera. - Czy mogę coś dla pana zrobić? - spytała, uważając, że kwestia kwiatów jest zamknięta, i pochyliła się nad klawiaturą.

- Może innym razem - odparł.

Zapukał do drzwi Patty i usłyszał przyzwalający okrzyk. Choć Patta siedział w tym samym miejscu co zawsze, za biurkiem, niewiele więcej wyglądało tu tak jak poprzednio. Błat biurka, zwykle oczyszczony ze wszystkiego, co może kojarzyć się z pracą, był przykryty skoroszytami i raportami. Nawet pognieciona gazeta została odłożona na bok i nie było to - jak zauważył Brunetti - „L'Osservatore Romano”, które Patta zwykł czytać, lecz niemal rynsztokowa „La Nuova”, której wysoki nakład był wynikiem siły dwóch przekonań: że pewni ludzie mogą zdobyć się na czyny podłe i hańbiące i że inni będą chcieli o tym czytać. Nawet klimatyzacja, zainstalowana w tym pokoju jako jednym z nielicznych, przestała działać.

- Siadaj, Brunetti - rzekł Patta rozkazującym tonem.

Unikając wzroku Brunettiego, tak jakby tą drogą mogła dosięgnąć go zaraza, objął spojrzeniem leżące na biurku papiery i zaczął zbierać je na kupkę, po czym położył na innych papierach, których rogi wystawały na wszystkie strony, odsunął stos na bok i siedział w milczeniu, bezwiednie przyciskając go ręką.

- Co się dzieje w Mestre? - spytał w końcu.

- Jeszcze nie ustaliliśmy tożsamości ofiary, panie komendancie. Pokazaliśmy jego portret wielu transwestytom, ale żaden go nie zna. - Patta milczał. - Dwaj twierdzili, że kogoś im przypomina, ale nie potrafili podać nazwiska. Nie wiem, jak to rozumieć. Jeden chyba go rozpoznał, ale nie chciał tego przyznać. Będę musiał jeszcze raz z nim porozmawiać, choć to może być kłopotliwe.

- Z powodu Santomaura? - spytał Patta i po raz pierwszy, po latach wspólnej pracy, udało mu się zaskoczyć Brunettiego.

- Skąd pan się dowiedział o Santomaurze? - wymknęło się Brunettiemu, ale dla złagodzenia ostrości swego pytania zaraz dodał obowiązkowe „panie komendancie”.

- Trzy razy dzwonił do mnie - wyjaśnił Patta i ciszej, lecz niewątpliwie

tak, by jego słowa doszły do uszu komisarza, mruknął: - Co za drań.

Zdziwiony rzadką u Patta, choć zapewne zamierzoną niedyskrecją, Brunetti natychmiast zdwoił czujność i, jak pająk tkający pajęczynę, zaczął w zakamarkach pamięci szukać nici, które mogły łączyć obu panów. Santomauro był znanym prawnikiem, miał klientów spośród przedsiębiorców i polityków z całego okręgu Wenecji Euganejskiej. Już tylko z tego powodu Patta płaszczyłby się przed nim. Po chwili Brunetti natrafił jednak na ślad: Kościół Święty, Matka Nasza, i Lega della Moralita kierowana przez Santomauro - stowarzyszenie, którego członkiniom, tworzącym oddzielną sekcję, patronowała i przewodziła ni mniej, ni więcej, tylko Maria Lucrezia Patta, aktualnie nieobecna w Wenecji. Jakież to kazania na temat świętości związku małżeńskiego i wynikających z niego zobowiązań wygłaszał Santomauro w rozmowach telefonicznych z zastępcą komendanta?

- Ma pan rację, panie komendancie, Santomauro jest adwokatem Crespa - odparł Brunetti, postanowiwszy ujawnić połowę posiadanej wiedzy. W duchu zaś skomentował to następująco: jeśli Patta zamierza dać wiarę temu, że komisarza policji nie dziwi fakt, iż prawnik z taką pozycją jak Giancarlo Santomauro jest adwokatem prostytuującego się transwestyty, to należy mu na to pozwolić. - Co on panu powiedział, panie komendancie?

- Mówił, że nękałeś i straszyleś jego klienta i że okazałeś - cytuję jego słowa - „nadmierną brutalność”, usiłując zmusić go do udzielenia informacji.

Patta przejechał ręką po szczęce i Brunetti uzmysłowił sobie, że zastępca komendanta wygląda tak, jakby tego ranka się nie ogolił.

- Oczywiście, powiedziałem mu, że nie zamierzam wysłuchiwać tego rodzaju zarzutów, jakie właśnie wysunął pod adresem komisarza policji - ciągnął Patta - i że wolno mu, jeśli chce, złożyć formalną skargę.

Zazwyczaj, usłyszawszy tego rodzaju zarzut z ust tak ważnego człowieka jak Santomauro, Patta obiecałby, że zastosuje wobec winnego funkcjonariusza karę dyscyplinarną, a może nawet go zdegraduje lub przeniesie na trzy lata do

Palermo. Co więcej, złożyłby taką obietnicę, nie prosząc o szczegółowy opis zajścia. Patta kontynuował swą opowieść, dalej występując w roli obrońcy zasady równości ludzi wobec prawa.

- Nie będę tolerował sytuacji, kiedy to cywile ingerują w sprawy związane z działalnością organów państwowych.

Brunetti nie miał wątpliwości, że to stwierdzenie w wolnym przekładzie oznacza, iż Patta kieruje się własnym interesem w stosunkach z Santomaurem i będzie skłonny przyczynić się do tego, by mecenas stracił twarz.

- Czy pana zdaniem, panie komendancie, mam jeszcze raz przesłuchać Crespa?

Nawet jeśli chwilowa złość na Santomaura przybrała ogromne rozmiary, nie należało oczekiwać, że Patta przełamie swoje wieloletnie nawyki i pozwoli funkcjonariuszowi na działanie sprzeczne z wolą człowieka dobrze ustosunkowanego w sferach politycznych.

- Zrób to, co uważasz za konieczne, Brunetti.

- Coś jeszcze, panie komendancie?

Patta milczał, więc komisarz uniósł się z krzesła.

- Jeszcze jedna sprawa - rzekł Patta, zanim Brunetti zdążył odwrócić się do wyjścia.

- Słucham, panie komendancie.

- Masz znajomych w branży wydawniczej, prawda?

Dobry Boże, westchnął w duchu Brunetti, on chyba nie zamierza prosić mnie o przysługę? Spojrzał w okno za przelożonym i niezdecydowanie skinął głową.

- Może zechciałbyś się z nimi porozumieć - ciągnął Patta. Brunetti odchrząknął, spojrzał na czubki swoich butów. - Znalazłem się w dość kłopotliwym położeniu i wolałbym nie mieć więcej nieprzyjemności. - Na tym skończył.

- Zrobię, co będę mógł, panie komendancie - odparł niemrawo Brunetti.

Jego „znajomi w branży wydawniczej” ograniczali się do dwóch dziennikarzy piszących na temat finansów i jednego, który zajmuje się sprawami politycznymi.

- Świetnie. - Patta umilkł na chwilę. - Poprosiłem nową sekretarkę, żeby dowiedziała się czegoś o jego zobowiązaniach podatkowych. - Nie musiał precyzować, czyje zobowiązania ma na myśli. - Wszystko, czego się dowie, ma przekazać tobie.

Ta wiadomość tak zaskoczyła Brunettiego, że zdołał jedynie kiwnąć głową.

Patta pochylił się nad papierami, co Brunetti uznał za znak do opuszczenia gabinetu. W sekretariacie nie zastał pani Elettry, więc zostawił jej kartkę następującej treści: „Czy mogłaby pani sprawdzić, co pani komputer wie na temat machinacji mecenasa Giancarla Santomauro?”

Gdy szedł na górę do swojego biura, zdał sobie sprawę, że upał rozprzestrzenia się, nie powstrzymywany przez grube mury i marmurowe podłogi, wypełnia każdy róg i każdą szczelinę budynku, niesie ze sobą ciężką wilgoć, która powoduje, że kartki papieru zawijają się na rogach i przywierają ludziom do rąk. Okna w jego pokoju były otwarte, ale gdy stanął przy nich, poczuł jedynie kolejną falę żaru i wilgoci, wlewających się do środka, i smród zepsucia - jak to przy odpływie - który dotarł aż tu, na rozległy obszar otwartych wód przed San Marco. Brunetti czuł, jak nogawki spodni i schowana za pasek koszula nasiąkają potem, i pomyślał o górach powyżej Bolzano. Tam w sierpniowe noce sypia się pod grubymi puchowymi kołdrami...

Podszedł do biurka i zadzwonił do dyspozytorni z prośbą, aby przysłano do niego Vianella. Kilka minut później sierżant pojawił się w pokoju. O tej porze roku zazwyczaj był opalony na brązowo jak *bresaola* - polędwica wołowa wysuszona na słońcu, przysmak Chiary - ale tego lata jego twarz nie pozbyła się zimowej bladości. Jak większość Włochów w jego wieku i z jego rodowodem, Vianello zawsze uważał, że statystyczne prawdopodobieństwo jego nie dotyczy.

To inni umierają z powodu palenia papierosów, to inni mają za wysoki poziom cholesterolu, gdyż jedzą zbyt tłusto, i tylko ci inni z tego powodu umierają na atak serca. Od lat w każdy poniedziałek czytał porady zdrowotne w „Corriere della Sera”, choć był przekonany, że opisywane okropności dotyczą innych ludzi i są wynikiem ich niewłaściwego postępowania.

Tej wiosny lekarze wycięli mu pięć przedrakowych czerniaków, które pojawiły się na jego plecach i ramionach, i zabronili się opalać. Niczym Saul podczas wędrówki do Damaszku, Vianello zaznał przemiany duchowej i niczym Paweł chciał szerzyć swoje poglądy. Vianello nie uwzględnił jednak jednej z podstawowych cech charakteru Włochów - poczucia, że na wszystkim się znają. Ludzie, z którymi rozmawiał, lepiej orientowali się w sprawach tak dla niego istotnych - więcej wiedzieli o warstwie ozonowej i o wpływie freonu na atmosferę ziemską. Co więcej, wszyscy starali się przekonać akurat jego, że gadanie o niebezpiecznym działaniu promieni słonecznych jest po prostu kolejnym przykładem *bidonata*, jeszcze jednym oszustwem i nabieraniem naiwnych, choć nikt nie potrafił powiedzieć, czemu to oszustwo ma służyć.

Gdy Vianello, dalej pełen Pawłowego żaru, próbował udowodnić swe racje, pokazując blizny na plecach, rozmówcy argumentowali, że jego indywidualny przypadek niczego nie dowodzi, że statystyki zawsze są zafałszowane, a poza tym coś takiego im się nie przytrafi. I wtedy Vianello uprzytomnił sobie, co stanowi szczególną cechę włoskiej mentalności - przekonanie, że prawdą jest tylko to, czego można doświadczyć osobiście, i że wszelkie racje, które przeczą osobistemu przekonaniu, należy odrzucić. To sprawiło, że Vianello, w przeciwieństwie do Pawła, wycofał się ze swojej misji i zadowolił kupieniem tubki silnie działającego ochronnego mlecza, którym smarował twarz niezależnie od pory roku.

- Słucham, panie komisarzu - powiedział, wchodząc do pokoju. Zostawił na dole kurtkę i krawat; miał na sobie białą koszulę z krótkimi rękawami i granatowe spodnie od munduru. Zaczął się odchudzać, od kiedy w zeszłym roku

urodziło mu się trzecie dziecko, i chciał pozbyć się jeszcze paru kilogramów. Twierdził, że mężczyzna przed pięćdziesiątką, który jest ojcem maleńkiego dziecka, musi postępować rozważnie i dbać o siebie.

Przy takim upale i takiej wilgotności powietrza Brunetti, mając świeżo w pamięci puchowe kołdry w górskim hotelu, nie zamierzał zastanawiać się nad problemami zdrowotnymi własnymi ani Vianella.

- Siadaj, Vianello - powiedział, po czym obszedł biurko i usiadł przy nim.
- Co wiesz o Lega della Moralita?

Vianello przymrużył oczy i obrzucił Brunettiego pytającym spojrzeniem. Nie otrzymawszy dodatkowych informacji, przez dłuższy moment rozważał odpowiedź.

- Niewiele. Spotykają się chyba w którymś z kościołów. Może Santi Apostoli... choć nie, tam gromadzą się *catecumeni*, ci z gitarami i mnóstwem dzieci. Członkowie Lega spotykają się w prywatnych mieszkaniach, niekiedy w salach parafialnych. Jak słyszałem, nie angażują się w politykę. Nie wiem, czym się zajmują, ale nazwa tego stowarzyszenia pozwala przypuszczać, że pewno siedzą i gadają o tym, jacy to dobrzy z nich ludzie i jacy źli są wszyscy pozostali. - Mówił lekceważącym tonem świadczącym o wzgardzie, z jaką traktuje tego rodzaju głupotę.

- Czy masz znajomych wśród członków?

- Ja? Na szczęście nie. - Uśmiechnął się, ale zaraz dostrzegł wyraz twarzy Brunettiego. - Pan pyta poważnie, komisarzu? Muszę się chwilę zastanowić.

Zajął mu to wspomnianą chwilę, kiedy to siedział z rękami zaciśniętymi na kolanie i oczami wzniesionymi do sufitu.

- Chyba zetknąłem się z taką osobą. Jest urzędniczką w banku. Nadia zna ją lepiej ode mnie. To znaczy, częściej się z nią spotyka, ponieważ to ona zajmuje się rozliczeniami z bankiem. Ale pamiętam, że któregoś dnia powiedziała, iż dziwi się, że taka sympatyczna kobieta ma z nimi coś wspólnego.

- Jak myślisz, dlaczego tak powiedziała? - zainteresował się Brunetti.

- Słucham?

- Czyżby uważała, że nie są dobrymi ludźmi?

- Niech pan tylko zastanowi się nad tą nazwą, panie komisarzu. Lega della Moralita. To brzmi tak, jakby tylko oni mieli patent na moralność. Moim zdaniem, są na pewno zgrają *basibanchi*.

Tym najczystszy weneckim słowem wyrażającym szyderczy stosunek do ludzi, którzy klękają w kościele pochyleni tak nisko, że całują ławkę kościelną, Vianello dał przykład ducha lokalnej mowy i własnego rozsądku.

- Może wiesz, od kiedy jest członkiem i w jaki sposób nim została?

- Nie, panie komisarzu, ale mogę poprosić Nadię, żeby się dowiedziała.

Dlaczego pan pyta?

Brunetti szybko opowiedział Vianellowi o spotkaniu z Santomaurem w mieszkaniu Crespa i o wynikłych z tego telefonach do Patty.

- Interesujące, nie sądzi pan, komisarzu?

- Znasz go?

- Santomaura? - upewnił się Vianello, choć trudno było przypuszczać, że Crespo należy do grona jego znajomych.

Brunetti kiwnął głową.

- Kiedyś był adwokatem mojego kuzyna - rzekł sierżant. - Dawno temu, zanim stał się sławny i zaczął pobierać wysokie honoraria.

- Co mówił o nim twój kuzyn?

- Niewiele. Tyle że to dobry prawnik, ale zawsze gotów naciągać prawo, by postawić na swoim.

Typ człowieka często spotykany we Włoszech, pomyślał Brunetti, gdzie często wydaje się przepisy prawne, ale rzadko są one jasno sformułowane.

- Coś jeszcze?

Vianello pokręcił głową.

- Już nie pamiętam. To było lata temu - powiedział i dodał, zanim

Brunetti zdążył o to poprosić:

- Zadzwoń do kuzyna i spytam. Może zna innych klientów Santomaura.

Brunetti podziękował mu i zwrócił się z następną prośbą:

- Chciałbym również dowiedzieć się czegoś więcej o Lega. Gdzie się spotykają, ilu mają członków i jacy ludzie należą do stowarzyszenia, czym się zajmują.

- Urwał, uprzytomniwszy sobie ze zdziwieniem, iż organizacja, która jest na tyle dobrze znana, że krążą o niej dowcipy, działa tak, by niewiele było o niej wiadomo. Jego własne doświadczenie, o ile można uznać je za miarodajne, potwierdzało, że ludzie wiedzieli o jej istnieniu, ale nikt nie miał jasnego wyobrażenia, czym się zajmuje.

Vianello zdążył już wyjąć notes i zapisać pytania Brunettiego.

- Czy chce pan, żebym zebrał informacje również o pani Santomauro?

- Tak, wszystko może się przydać.

- O ile wiem, pochodzi z Werony, z rodziny bankierów - powiedział Vianello i spojrzał pytająco na Brunettiego. - Coś jeszcze, panie komisarzu?

- Tak. Ten transwestyta z Mestre, Francesco Crespo. Chciałbym, żebyś wypytał naszych ludzi, czy go znają i czy to nazwisko coś im mówi.

- Co o nim wiadomo z kartoteki w Mestre?

- Tyle tylko, że był dwa razy aresztowany za próbę sprzedania narkotyków. Chłopcy z obyczajówki mają go na liście. Ale mieszka teraz w bardzo ładnym mieszkaniu przy Viale Ronconi, co może świadczyć, że wznosił się ponad Via Cappuccina i miejscowe parki. Sprawdź też, czy Gallo znalazł producenta sukni i pantofli zamordowanego.

- Zobaczę, co da się zrobić - powiedział Vianello, robiąc notatki. - Coś jeszcze, panie komisarzu?

- Tak. Przeglądaj raporty o osobach zaginionych. Może natrafisz na zgłoszenie o zaginięciu mężczyzny w wieku czterdziestu kilku lat, którego rysopis będzie zgadzał się z rysopisem zamordowanego. Dane masz w aktach. A

może nowa sekretarka znajdzie coś na ten temat w swoim komputerze.

- Z jakiego regionu, panie komisarzu? - spytał Vianello, trzymając w powietrzu pióro.

Widząc, że wzmianka o sekretarce nie wzbudziła jego zaciekawienia, Brunetti doszedł do wniosku, że wiadomości o zatrudnieniu jej już się rozeszła po komendzie.

- Z całego kraju, jeśli będzie w stanie to sprawdzić. Niech przejrzy też wykaz zaginionych turystów.

- Trudno panu przyjąć, że on uprawiał prostytutkę, prawda?

Brunetti przypomniał sobie nagie ciało zamordowanego, tak przeraźliwie podobne do jego własnego, i stwierdził:

- Tak. Nikt by nie zapłacił za obcowanie z mężczyzną mającym takie ciało.

Rozdział 12

W sobotę rano Brunetti odprowadził rodzinę na dworzec kolejowy. W przygaszonych humorach wyszli z domu i wsiedli do tramwaju wodnego numer 1 na przystanku San Silvestro. Paola była zła, że Brunetti nie chce zostawić „swojego transwestyty”, jak to zaczęła mawiać, i nie pojedzie do Bolzano przynajmniej na pierwszy weekend wakacji. Brunetti zaś był zły na nią, że nie chce go zrozumieć. Raffaele ubolewał nad tym, że nie będzie się cieszył dziewiczym urokiem Sary Paganuzzi, choć pokrzepiał się myślą, że za tydzień znowu ją zobaczy, a nim to nastąpi, będzie mógł chodzić do lasu i zbierać grzyby. Chiara, jak to często bywało, odczuwała żal z całkowicie nieegoistycznych powodów - było jej przykro, że tato, który zawsze za dużo pracuje, nie może wyjechać z miasta na prawdziwe wakacje.

Rodzinny ceremoniał nakazywał, by każdy niósł swój bagaż, ale ponieważ Brunetti jechał z nimi tylko do Mestre i nie miał żadnego bagażu, Paola skorzystała z tego i dała mu swoją dużą walizkę, a sama niosła tylko torebkę oraz pełne wydanie *Listów Henry'ego Jamesa*, książkę, której potężne rozmiary miały przekonać męża, że i tak nie znalazłaby dla niego czasu. Gdy Brunetti zgodził się nieść walizkę Paoli, natychmiast zadziałała zasada domina - Chiara wepchnęła kilka książek do walizki matki, w ten sposób robiąc w swojej miejsce na zapasową parę górskich butów Raffiego. W odpowiedzi na to Paola zmusiła Raffiego, który pozbył się części bagażu, żeby wziął jej *Święty źródło*, skoro już postanowiła, że w tym roku znajdzie czas na przeczytanie tej książki.

Wszyscy wsiedli do pociągu odjeżdżającego o ósmej trzydzieści pięć, który miał w dziesięć minut zawieźć Brunettiego do Mestre, a resztę rodziny do Bolzano, w samą porę na obiad. Żadne z nich nie było zbyt rozmowne, gdy

przejeżdżali przez lagunę. Paola upewniła się, że mąż ma w portfelu kartkę z numerem telefonu do ich hotelu, a Raffaele przypomniał ojcu, że Sara będzie jechała tym samym pociągiem w następną sobotę, nie dopowiadając, czy spodziewa się, że ojciec zanieśie na dworzec również jej walizkę.

Dojechawszy do Mestre, Brunetti pocałował dzieci na pożegnanie. Paola odprowadziła go do drzwi i powiedziała:

- Mam nadzieję, że przyjedziesz do nas w następny weekend. Byłoby jeszcze lepiej, gdybyś uporał się z tą sprawą i przyjechał wcześniej.

Brunetti uśmiechnął się, ale nie chciał rozwiewać jej złudzeń - przecież nawet nie ustalono, kim był zamordowany. Pocałował żonę w oba policzki, wysiadł z pociągu i poszedł peronem do okna przedziału, gdzie siedziały dzieci. Chiara już zaczęła jeść brzoskwinie. Widział, że Paola wchodzi do przedziału i niemal nie patrząc na córkę, podaje jej chusteczkę do nosa. Pociąg ruszył w chwili, gdy Chiara odwracała się, żeby wytrzeć usta, i w tym samym momencie dostrzegła stojącego na peronie ojca. Jej twarz, wciąż błyszcząca tu i ówdzie od soku z brzoskwini, rozpromieniła się z czystej radości.

- Ciao, Papa, ciao, ciao! - Chiara wskoczyła na siedzenie i wychyliła się przez okno, machając zawzięcie chusteczką Paoli.

Brunetti stał na peronie i machał jej ręką, dopóki biała chorągiewka miłości nie zniknęła w oddali.

Gdy dotarł do komendy w Mestre, sierżant Gallo już na niego czekał.

- Ktoś ma tu dzisiaj przyjechać, żeby obejrzyć ciało - przeszedł od razu do rzeczy.

- Kto?

- Dziś rano do komendy w Wenecji zadzwoniła niejaka... - Gallo spojrzał na trzymaną w rękę kartkę papieru - ...pani Mascari. Jej mąż jest dyrektorem weneckiego oddziału Banku Werony. Od soboty nie wiadomo, co się z nim dzieje.

- Minął cały tydzień, a ona dopiero teraz zawiadomiła policję? - zdziwił

się Brunetti.

- Miał jechać służbowo do Mesyny. Wyjechał w niedzielę po południu.

Wtedy widziała go ostatni raz.

- Tydzień temu? Czekala cały tydzień, nim nas zawiadomiła?

- Nie rozmawiałem z nią - odparł Gallo takim tonem, jakby Brunetti zarzucał mu zaniedbanie powinności.

- A kto z nią rozmawiał?

- Nie wiem. Znalazłem na biurku kartkę z informacją, że pani Mascari przyjedzie dziś rano do szpitala Umberto Prirno, żeby obejrzyć ciało. Powinna tu być o dziesiątej trzydzieści. - Gallo podciągnął mankiet i spojrział na zegarek.

- No to jedziemy - powiedział Brunetti.

Potem nastąpiło idiotyczne zamieszanie, zupełnie jak w filmie. Samochód utknął w porannym korku, więc kierowca postanowił wybrać inną drogę i zajechać pod szpital od tyłu. Okazało się, że tam ruch był jeszcze większy. Gdy przyjechali wreszcie do szpitala, pani Mascari już zidentyfikowała zwłoki, stwierdziła, że w zmarłym rozpoznała męża, i tą samą taksówką, którą przyjechała z Wenecji, odjechała na komendę w Mestre, gdzie, jak ją poinformowano, miała otrzymać wyjaśnienia.

W rezultacie, kiedy Brunetti i Gallo dotarli z powrotem na komendę, okazało się, że pani Mascari czeka na nich już od kwadransa. Siedziała sztywno wyprostowana na drewnianej ławce na korytarzu przed pokojem Galla. Miała na sobie granatowy kostium z surowego jedwabiu, o tradycyjnym kroju, co widać było po spódnicy, zbyt długiej jak na wymogi obecnej mody. Kolor materiału silnie kontrastował z bladością twarzy. Strój i sposób bycia pani Mascari sugerował, że młodość nie tyle ma dawno za sobą, ile nigdy jej nie przeżyła.

Uniosła głowę i Brunetti zauważył, że jej włosy mają charakterystyczny rudy kolor, często spotykany u kobiet w wieku Paoli. Była prawie nie umalowana, w kącikach oczu i ust widać było drobne zmarszczki, które mogły powstać z wiekiem albo z powodu zmartwień. Wstała z ławki. Brunetti

wyciągnął rękę.

- Nazywam się Brunetti. Jestem komisarzem weneckiej policji.

Ujęła wyciągniętą dłoń, ale ledwo ją musnęła i szybko wypuściła. Brunetti zauważył lśniąco oczy za okularami, ale nie był pewien, czy ich blask świadczy o jeszcze nie wypłakany smutku, czy też jest refleksem światła na szklach.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia, pani Mascari - powiedział. - Wiem, że przeżyła pani bolesny szok. - Jego słowa nie spotkały się z żadną reakcją z jej strony.

- Czy chciałaby pani, abyśmy zadzwonili po kogoś, kto będzie pani towarzyszył?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Proszę mi powiedzieć, co się stało - odezwała się cicho.

- Wejźmy do pokoju. - Brunetti otworzył drzwi przed panią Mascari. Spojrzał w tył na Galla, który uniósł brwi i posłał mu pytające spojrzenie. Brunetti kiwnął głową, dając znak, by sierżant wszedł za nimi do środka. Przysunął krzesło pani Mascari.

- Czy można pani coś podać? Szklankę wody? Herbatę?

- Nie, dziękuję. Proszę mi powiedzieć, co się stało.

Sierżant Gallo usiadł za biurkiem, a Brunetti przy pani Mascari.

- Ciało pani męża zostało znalezione w Mestre w poniedziałek rano. Jeśli rozmawiała pani z pracownikami szpitala, to już pani wie, że śmierć nastąpiła na skutek uderzenia w głowę.

- Miał również pobitą twarz - przerwała mu, ale zaraz przeniosła wzrok z jego twarzy na swoje ręce.

- Czy słyszała pani o kimś, kto chciał mężowi zaszkodzić? Kto groził mu albo wdał się z nim w poważną sprzeczkę?

Natychmiast potrząsnęła głową i oświadczyła:

- Leonardo nie miał wrogów.

Brunetti zdążył się przekonać, że człowiek nie zostaje dyrektorem banku bez przysporzenia sobie wrogów, ale nie wyraził tego na głos.

- Czy pani mąż wspominał o jakichś trudnościach w pracy? Może musiał zwolnić któregoś z pracowników? A może jakiemuś klientowi nie udzielono kredytu i pani mąż został obarczony odpowiedzialnością za tę decyzję?

- Nie, nic takiego nie miało miejsca. Mąż nigdy nie miał kłopotów.

- A w rodzinie? Czy miał jakieś nieporozumienia z którymś z członków rodziny?

- Co to ma znaczyć? - spytała ostro. - Dlaczego pan zadaje te pytania?

- Proszę pani - zaczął Brunetti łagodnym tonem, starając się ją uspokoić - pani mąż zginął w taki sposób, tak gwałtowną śmiercią, że można podejrzewać, iż morderca miał powody, by go ogromnie nienawidzić. I dlatego nie możemy zacząć szukać sprawcy, dopóki się nie dowiemy, co mogło go popchnąć do takiego czynu. A zatem te pytania są konieczne, choć wiem, że sprawiają pani ból.

- Ale ja nie jestem w stanie nic panu powiedzieć. Leonardo nie miał wrogów. - Powtarzając po raz kolejny te słowa, pani Mascari spojrzała na Galia, tak jakby chciał prosić go o potwierdzenie lub pomoc w przekonaniu Brunettiego, że mówi prawdę.

- Czy po wyjściu z domu w ostatnią niedzielę pani mąż zamierzał udać się do Mesyny? - spytał Brunetti, na co pani Mascari kiwnęła głową. - Czy pani wie, w jakim celu tam jechał?

- Powiedział mi, że jedzie w sprawach związanych z działalnością banku i wróci w piątek, czyli wczoraj.

- Ale nie wspomniał, jaki jest konkretny cel tej podróży?

- Nie, nigdy mi o tym nie mówił. Twierdził, że jego praca nie jest szczególnie interesująca, i rzadko rozmawiał ze mną na ten temat.

- Czy kontaktował się z panią po wyjeździe?

- Nie. W niedzielę po południu pojechał na lotnisko. Leciał do Rzymu,

gdzie miał przesiadkę na drugi samolot.

- Czy później mąż dzwonił do pani z Rzymu albo z Mesyny?

- Nie, nigdy tego nie robił. Przy każdej podróży służbowej po prostu jechał na miejsce, a potem wracał do domu. Albo dzwonił do mnie z biura, jeśli po powrocie do Wenecji udawał się od razu do banku.

- Czy to było normalne?

- Co mianowicie?

- Że wyjeżdżał w sprawach służbowych i nie kontaktował się z panią.

- Już panu powiedziałam - odparła nieco ostrzejszym tonem. - Sporo podróżował w sprawach bankowych. Wyjeżdżał sześć albo siedem razy w roku. Czasem przysyłał mi pocztówkę albo przywoził jakiś prezent, ale nigdy nie dzwonił.

- Kiedy zaczęła się pani niepokoić?

- Wczoraj wieczorem. Myślałam, że wrócił do Wenecji po południu i poszedł do banku, a potem przyjdzie do domu. Ale gdy dochodziła siódma, a jego wciąż nie było, zadzwoniłam do banku i okazało się, że jest zamknięty. Telefonowałam do dwóch z jego współpracowników, lecz nie zastałam ich w domu. - Przerwała na chwilę, wzięła głęboki oddech. - Mówiłam sobie w duchu, że pewno pomyliłam dzień albo godzinę. Dzisiaj rano nie mogłam dłużej się oszukiwać. Zatelefonowałam do pracownika banku, a ten zatelefonował do kolegi w Mesynie i potem oddzwonił do mnie. - Po tych słowach umilkła.

- Co pani powiedział? - spytał cicho Brunetti.

Przyłożyła dłoń do ust, być może chcąc powstrzymać cisnące się słowa, ale i tak było to bezcelowe, skoro już widziała leżące w kostnicy ciało.

- Powiedział mi, że Leonardo nie przyjechał do Mesyny. W tej sytuacji zadzwoniłam do panów, na policję. Poinformowali mnie... gdy podałam rysopis Leonarda... powiedzieli, że powinnam tu przyjechać. I tak zrobiłam. - Gdy to mówiła, jej głos coraz częściej się rwał, a gdy skończyła, splotła dłonie i położyła je na podołku.

- Pani Mascari, czy na pewno pani nie chce, abyśmy zadzwonili po kogoś, kto będzie pani towarzyszył? Może nie powinna pani być teraz sama?

- Nie, nie chcę się z nikim widzieć. - Nagle wstała, mówiąc: - Chyba nie muszę tu być dłużej? Czy mogę już iść?

- Oczywiście, proszę pani. Była pani bardzo uprzejma, odpowiadając na moje pytania.

Pani Mascari puściła te słowa mimo uszu.

Brunetti dał ledwo widoczny znak Gallowi, po czym wstał i odprowadził panią Mascari do drzwi.

- Nasz kierowca odwiezie panią do Wenecji - powiedział.

- Nie chcę, żeby ludzie widzieli, jak przyjeżdżam policyjnym samochodem - odparła.

- Zawieziemy panią samochodem bez oznakowań. Kierowca będzie ubrany po cywilnemu.

Nie podziękowała, ale też się nie sprzeciwiła. Brunetti poszedł z nią w stronę schodów na końcu korytarza. Po drodze zauważył, że pani Mascari prawą ręką kurczowo trzyma torebkę, a lewą wepchnęła do kieszeni żakietu.

Wyszedł z nią na zewnątrz i znowu uderzył go upał, o którym zdążył już zapomnieć. Przed gmachem czekał granatowy sedan z włączonym silnikiem. Brunetti otworzył drzwi i pomógł pani Mascari wsiąść. Odwróciła głowę i patrzyła przez szybę po drugiej stronie, gdzie widać było tylko sznur samochodów i ponure fasady urzędów. Brunetti polecił kierowcy jechać na Piazzale Roma.

Wrócił do pokoju i już w progu spytał:

- Co pan na to, sierżancie?

- Nie wierzę, że są ludzie, którzy nie mają wrogów.

- Zwłaszcza jeśli są w średnim wieku i zarządzają bankiem - dodał Brunetti.

- Co robimy? - spytał Gallo.

- Wracam do Wenecji i spróbuję dowiedzieć się czegoś od moich ludzi. Skoro wiemy, kim jest denat, przynajmniej mamy punkt wyjścia do poszukiwań.

- Czego?

Odpowiedź Brunettiego była natychmiastowa.

- Od samego początku powinniśmy byli szukać odpowiedzi na pytanie, skąd pochodzą buty i suknia, które miał na sobie zamordowany.

Gallo potraktował to jako przyganę i równie szybko odparł:

- O sukni jeszcze nic nie wiemy, ale znaleźliśmy producenta butów i po południu powinniśmy dostać wykaz sklepów, które je sprzedawały.

Brunetti nie zamierzał krytykować policji z Mestre, ale nie sprostował przypuszczenia Galla. Nie zaszkodzi pogonić trochę tutejszych funkcjonariuszy, aby dowiedzieli się, skąd pochodzi ubranie Mascariego, gdyż nie ulega kwestii, że w takich butach i w takim stroju mężczyzna w średnim wieku, zarządzający bankiem, nie chodzi do pracy.

Rozdział 13

Jeśli Brunetti spodziewał się, że w sierpniowy sobotni poranek zastanie ludzi przy pracy, to się mylił - pracownicy komendy mieli inne zapatrywania w tej kwestii. Przy drzwiach stało kilku strażników, nawet sprzątaczką czyściła schody, ale w pokojach nie było nikogo. Brunetti uprzytomnił sobie, że do poniedziałku rano sprawa nie ruszy z miejsca. Przemknęło mu przez myśl, żeby jechać do Bolzano, ale dotarłby tam po kolacji, a przez całą niedzielę myślałby tylko o powrocie do miasta.

Wszedł do swojego pokoju i otworzył okna, choć na niewiele się to zdało. Wleciało tylko bardziej wilgotne i odrobinę gorętsze powietrze. Na biurku nie znalazł świeżych papierów ani raportu pani Elettry.

Sięgnął do dolnej szuflady i wyjął książkę telefoniczną. Spojrzał pod literę „l”, ale nie znalazł telefonu do Lega della Moralita, co go wcale nie zdziwiło. Zajrzał pod literę „s” i znalazł nazwisko Santomauro, Giancarlo, adw., przy którym podano adres w San Marco. W ten sam sposób dowiedział się, że nieżyjący Leonardo Mascari mieszkał w Castello. To go zaskoczyło - dzielnica Castello była najmniej szacowna w mieście, mieszkały tam głównie tradycyjne rodziny robotnicze, a ich dzieci nawet dziś dorastały posługując się jedynie miejscowym dialektem i poznawały literacki włoski, dopiero gdy poszły do szkoły podstawowej. Może tam mieścił się rodzinny dom Mascarich, a może Leonardo Mascari zrobił dobry interes, kupując tam dom lub mieszkanie. Znalezienie w Wenecji mieszkania do kupienia czy wynajęcia było tak trudne i tak kosztowne, że nawet Castello zaczynało być modne. Przeprowadzenie remontu przy odpowiednio wysokim nakładzie pieniędzy zwiększyłoby prestiż jeśli nie całej najbliższej okolicy, to przynajmniej tego jednego domu.

Brunetti przejrzał wykaz banków zamieszczony na żółtych stronach książki telefonicznej i dowiedział się, że Bank Werony ma siedzibę przy Campo San Bartolomeo, podłużnym placu znajdującym się tuż przy moście Rialto, gdzie wiele banków ma swoje biura. Nie przypominał sobie, aby przechodząc tamtędy zauważył ten bank. Powodowany głównie ciekawością, wybrał numer. Po trzecim dzwonku ktoś podniósł słuchawkę.

- *Si?* - odezwał się jakiś mężczyzna takim tonem, jakby spodziewał się, że ktoś do niego zadzwoni.

- Czy to Bank Werony? - spytał Brunetti.

Po dłuższej chwili usłyszał:

- Pomyłka.

- Bardzo przepraszam - rzekł.

Mężczyzna odłożył słuchawkę bez słowa.

Telekomunikacja włoska, SIP, była znana ze swoich aberracji i nikogo nie dziwiło to, że źle się dodzwonił. Brunetti był jednak przekonany, że dobrze wykręcił numer. Zadzwonił ponownie i po dwunastu dzwonkach, na które nikt nie odpowiedział, odłożył słuchawkę. Znowu zajrzał do książki i zapisał adres. Następnie odszukał adres apteki Morellego. Od banku dzieliło ją kilka domów. Wrzucił książkę telefoniczną do szuflady i wsunął ją na miejsce jednym kopnięciem. Zamknąwszy okna, wyszedł z budynku.

Dziesięć minut później przeszedł przez *sottoportico* przy Calle della Bissa i znalazł się na Campo San Bartolomeo. Podniósł wzrok na wykonany z brązu pomnik Goldoniego, który nie był jego ulubionym dramaturgiem, ale niewątpliwie najbardziej go rozśmieszał, zwłaszcza gdy wystawiano jego sztuki w oryginalnym weneckim dialekcie, jak to zawsze czyniono w tym mieście. Wenecjanie tłumnie przychodzili oglądać jego sztuki, kochali Goldoniego na tyle, by postawić mu pomnik. Dramaturga przedstawiono, jak idzie zamasztytem krokiem, i ustawiono w miejscu, które stanowiło doskonałe tło pomnika, albowiem ludzie przechodzący przez ten plac zawsze dokądś się

spieszyli - wchodzili na most Rialto idąc na targ warzywny albo schodzili z mostu udając się do San Marco lub Cannaregio. Wszyscy mieszkańcy centrum miasta musieli przynajmniej raz dziennie przejść przez San Bartolomeo.

Brunetti dotarł tam w porze największego tłoku, gdy ludzie pędzili na targ, aby zdążyć przed zamknięciem, albo spieszyli się z biur do domów. Z obojętną miną przeszedł wzdłuż wschodniej strony placu, przyglądając się numerom namalowanym nad drzwiami. Tak jak się spodziewał, numer, którego szukał, znajdował się nad trzecim z kolei wejściem po prawej stronie apteki. Stanął na chwilę przed domofonem umieszczonym przy drzwiach i czytał wypisane tam nazwiska. Znalazł tabliczkę z napisem „Bank Werony”, a oprócz niej przy dzwonekach trzy tabliczki z nazwiskami, zapewne właścicieli mieszkań.

Nacisnął pierwszy dzwonek nad nazwą banku. Nikt nie odpowiedział. Nacisnął drugi i też nie otrzymał odpowiedzi. Już miał przycisnąć górny dzwonek, gdy usłyszał za plecami głos kobiety, która spytała w najczystszym weneckim dialekcie:

- W czym można panu pomóc? Pan szuka kogoś, kto tu mieszka?

Odwrócił się i zobaczył przed sobą staruszkę, która stała z ogromnym wózkiem na zakupy opartym o nogę. Zapamiętawszy nazwisko umieszczone przy pierwszym dzwonku, powiedział:

- Tak, przyszedłem do Montinich. Już pora, żeby odnowili swoje ubezpieczenie. Przyszło mi na myśl, że wpadnę do nich i spytam, czy nie chcą zmienić zakresu ubezpieczenia.

- Nie ma ich w domu - odparła staruszka, zaglądając do wielkiej torby i szukając kluczy. - Wyjechali w góry. Gasparowie też, ale ci są w Jesolo.

Straciwszy nadzieję, że wymaca lub zobaczy klucze, potrząsnęła torbą, by zlokalizować je po dźwięku. Sposób okazał się skuteczny i wyciągnęła pęk kluczy tak dużych jak jej dłoń.

- To wszystko ich - powiedziała. - Zostawili mi klucze, żebym zachodziła tam, podlewała kwiaty i sprawdzała, czy nic się nie stało.

Uniosła wzrok. Miała wyblakłe jasnoniebieskie oczy i okrągłą twarz pokrytą siateczką zmarszczek.

- Czy pan ma dzieci?

- Mam.

- Jak się nazywają i w jakim są wieku?

- Raffaele ma szesnaście lat, a Chiara trzynaście.

- Dobrze - stwierdziła, tak jakby poddała go próbie i uznała, że wynik jest pomyślny. - Jest pan silnym młodym mężczyzną. Czy zgodziłby się pan zanieść mi ten wózek na trzecie piętro? Sama będę musiała co najmniej trzy razy wchodzić na górę, żeby to wszystko wnieść. Mój syn przychodzi jutro z rodziną na obiad i musiałam zrobić spore zakupy.

- Z przyjemnością pani pomogę. - Brunetti podniósł wózek, który ważył chyba z piętnaście kilogramów. - Czy pani syn ma dużą rodzinę?

- Przyjdzie z żoną i dziećmi, a dwoje z nich przyprowadzi moje wnuki. Będzie nas... niech no policzę... dziesięcioro.

Przytrzymała drzwi, żeby Brunetti zmieścił się obok niej z wózkiem. Nacisnęła automatyczny przełącznik światła i pierwsza weszła na schody.

- Nie uwierzy pan, ile wzięli ode mnie za brzoskwinie - zaczęła opowiadać. - Mamy środek sierpnia, a oni wciąż liczą trzy tysiące lirów za kilogram. Ale i tak je kupiłam, bo Marco lubi przed obiadem wkroić je do czerwonego wina, a potem zjeść na deser. A za ryby! Chciałam kupić *rombo*, ale cena była za wysoka. Dobra gotowana *bosega* zawsze wszystkim smakuje, więc ją kupiłam, choć sprzedawca chciał dziesięć tysięcy za kilogram. Same trzy ryby kosztowały mnie prawie czterdzieści tysięcy lirów. - Zatrzymała się na pierwszym półpiętrze, tuż przed drzwiami do Banku Werony i spojrzała z góry na Brunettiego. - Z dzieciennych lat pamiętam, że *bosega* była dla kotów. A dziś muszę płacić dziesięć tysięcy lirów za kilogram.

Odwróciła się i zaczęła wchodzić wyżej.

- Pan niesie tę torbę za ucha, prawda? - spytała.

- Tak, proszę pani.

- To dobrze, bo na samej górze leży kilogram fig i nie chciałabym, żeby się zgniotły.

- Nic im się nie stanie.

- Poszłam do Casa del Parmigiana i kupiłam trochę szynki, żeby podać z figami. Znałam Giuliana, kiedy był jeszcze małym chłopcem. Ma najlepszą szynkę w Wenecji, nie uważa pan?

- Moja żona też u niego kupuje.

- Kosztuje *l'ira di dio*, ale warto tyle zapłacić, nie sądzi pan?

- Oczywiście, proszę pani.

Dotarli na górę. Staruszka cały czas trzymała w ręku klucze, więc nie musiała znowu ich szukać.

Otworzyła jedyny zamek w drzwiach i pchnęła je, wpuszczając Brunettiego do dużego salonu z czterema wysokimi oknami, które wychodziły na plac, ale teraz były zamknięte i zakryte okiennicami.

Salon przypominał Brunettiemu pokoje widziane w młodości. Były w nim ogromne fotele, kanapa wypchana końskim włosiem, które zawsze kłuło siedzących, ciężkie ciemnobrązowe komody, na których stały srebrne miseczki na cukierki i fotografie w srebrnych ramach, a na podłodze lana wenecka posadzka, która lśniła nawet w przyćmionym świetle. Brunetti miał wrażenie, że znalazł się w domu swoich dziadków.

W kuchni czuł się podobnie. Był tam kamienny zlew i ogromny, walcowaty grzejnik na wodę ustawiony w rogu. Stół kuchenny miał marmurowy blat, na którym staruszka mogła zarówno wałkować ciasto na makaron, jak i prasować.

- Proszę postawić to tam, przy drzwiach - powiedziała. - Chciałby pan czegoś się napić?

- Chętnie napiję się wody, proszę pani.

Tak jak zrobiłaby jego babka, zdjęła z górnej półki kredensu srebrną tacę,

na środku położyła małą, okrągłą serwetkę robioną szydełkiem, a na niej postawiła kieliszek do wina ze szkła z Murano. Wyjęła z lodówki butelkę wody mineralnej i napełniła kieliszek.

- *Grazie infinite* - powiedział, zanim wypił wodę. Ostrożnie postawił kieliszek na środku serwetki i odmówił, gdy zamierzała mu dolać więcej. - Czy chciałaby pani, żebym rozpakował torbę?

- Nie trzeba. Wiem, gdzie wszystko leży i gdzie to schować. Pan jest bardzo uprzejmy, młody człowieku. Jak pan się nazywa?

- Guido Brunetti.

- I zajmuje się pan sprzedażą ubezpieczeń?

- Tak, proszę pani.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała. Wstawiła kieliszek do zlewu i sięgnęła do torby.

Pamiętając, jaki naprawdę jest jego zawód, Brunetti spytał:

- Czy pani zawsze wpuszcza tak ludzi do mieszkania? Nie pyta, kim są?

- Nie jestem głupia. Nie wpuszczam każdego - odparła. - Zawsze pytam, czy mają dzieci. No i, oczywiście, muszą być weneccjanami.

Oczywiście, pomyślał Brunetti i po głębszym zastanowieniu przyznał, że jej metoda jest prawdopodobnie skuteczniejsza niż korzystanie z detektora kłamstwa czy służb bezpieczeństwa.

- Dziękuję pani za wodę - powiedział. - Sam zamknę za sobą drzwi.

- Ja też panu dziękuję - odparła, wyjmując z torby figi.

Brunetti zszedł dwa piętra niżej i zatrzymał się na półpiętrze powyżej wejścia do Banku Werony. Było zupełnie cicho, tylko czasem niósł się głos lub krzyk kogoś na placu. Przez małe okienka na klatce schodowej wpadało nikłe światło. Spojrzał na zegarek - minęła pierwsza. Stał tam przez dziesięć minut i wciąż słyszał jedynie urywane dźwięki dochodzące z placu.

Zszedł wolno po schodach i stanął przed drzwiami do banku. Z pewnym zażenowaniem pochylił głowę i spojrział w poziomą dziurkę od klucza

umieszczoną w metalowych drzwiach pancernych. Zobaczył słabe światło, być może lampy, którą ktoś zapomniał zgasić, gdy zamknął okiennice w piątek po pracy, albo przy której ktoś pracował właśnie teraz, w sobotnie popołudnie.

Brunetti wszedł z powrotem na półpiętro i oparł się plecami o ścianę. Po następnych dziesięciu minutach położył chusteczkę do nosa na drugim schodku prowadzącym na wyższe piętro, po czym podciągnął nogawki spodni i usiadł. Pochylił się w przód, oparł łokcie na kolanach, pięściami podparł brodę. Upłynęło sporo czasu. Wstał, przesunął chusteczkę dalej od balustrady i znowu usiadł, opierając się plecami o ścianę. Nie jadł przez cały dzień, na dodatek na klatce schodowej nie było przewiewu i dokuczał mu upał. Gdy spojrzął na zegarek, było po drugiej. Postanowił, że posiedzi tu do trzeciej i ani minuty dłużej.

O trzeciej czterdzieści, gdy wciąż tkwił w tym samym miejscu, zdecydowany odejść stąd o czwartej, usłyszał z dołu jakiś hałas. Podniósł się i wszedł kilka stopni. Niżej otworzyły się drzwi. Stał nieruchomo. Drzwi zostały zamknięte, klucz przekręcony w zamku, rozległ się odgłos kroków. Brunetti wychylił się i popatrzył w dół. W mroku dostrzegł wysokiego mężczyznę w garniturze, z aktówką w ręku, który miał krótko obcięte ciemne włosy odcinające się od białego, wykrochmalonego kołnierzyka koszuli. Mężczyzna odwrócił się na zakręcie schodów, ale jego sylwetka wciąż była niewyraźna w nikłym świetle. Brunetti cicho poszedł za nim. Przechodząc koło wejścia do banku, zajrzał przez dziurkę i zobaczył, że w środku jest ciemno.

Usłyszał trzask zamykanych drzwi wejściowych. Pędem zbiegł po schodach, gwałtownym ruchem szarpnął za klamkę i wyszedł na plac. Na chwilę oślepiło go ostre słońce, musiał przysłonić oczy ręką. Gdy ją odsunął, przebiegł wzrokiem plac i zobaczył jedynie sportowe ubrania w pastelowych kolorach i białe koszule. Skręcił w prawo i zerknął na Calle della Bissa, ale nie było tam mężczyzny w ciemnym garniturze. Pobiegnął na drugą stronę placu i zajrzał w wąski zaułek prowadzący do najbliższego mostu. Tam też go nie zauważył. Od

placu odchodziło przynajmniej pięć ulic i Brunetti uzmysłowił sobie, że zanim sprawdzi wszystkie, mężczyzna z banku będzie już daleko. A może wsiądzie do tramwaju wodnego? Postanowił pobiec na przystań przy moście Rialto. Uskakując przechodniom z drogi i przepychając się między nimi, dobiegł do kanału i popędził dalej na przystanek tramwaju 82. Gdy dotarł na miejsce, łódź właśnie odpływała, kierując się w stronę San Marcuola i dworca kolejowego.

Przepchał się przez tłum japońskich turystów i stanął przy nabrzeżu. Omiótł wzrokiem ludzi stojących na pokładzie i siedzących w środku. Tramwaj był zatłoczony, a większość pasażerów miała na sobie niezobowiązujące ubrania. W końcu dostrzegł mężczyznę w ciemnym garniturze i białej koszuli, który stał z drugiej strony pokładu. Właśnie zapalił papierosa i odwrócił się, żeby wyrzucić zapalniczkę do wody. Choć jego kark wyglądał tak samo jak kark człowieka widzianego na schodach, Brunetti nie miał całkowitej pewności. Gdy mężczyzna odwrócił się bokiem, Brunetti uważnie przyjrzał się profilowi, usiłując zapamiętać rysy twarzy. Po chwili łódź wpłynęła pod most Rialto i człowiek w ciemnym garniturze zniknął Brunettiemu z oczu.

Rozdział 14

Brunetti poniósł porażkę i postąpił tak, jak postąpiłby każdy rozsądny mężczyzna na jego miejscu - zadzwonił do żony. Gdy otrzymał połączenie z pokojem Paoli, w słuchawce usłyszał głos Chiary.

- Ciao, Papa, szkoda, że nie pojechałeś z nami. Za Viceną pociąg stanął i czekaliśmy prawie dwie godziny. Nikt nie wiedział, co się wydarzyło, a potem konduktor powiedział nam, że jakaś kobieta rzuciła się pod pociąg między Viceną i Weroną i dlatego tak długo staliśmy. Chyba tyle czasu zajęło im sprzątanie. Kiedy wreszcie ruszyliśmy, przez całą drogę do Werony siedziałam przy oknie, ale niczego nie zauważyłam. Myślisz, że tak szybko sprzątnęli wszystko?

- Pewno tak, *cara*. Czy mama jest w pokoju?

- Jest. A może ślady były po drugiej stronie, a ja patrzyłam nie tam gdzie potrzeba. Jak myślisz?

- To niewykluczone, Chiaro. Czy mogę rozmawiać z mamą?

- Jasne, tato. Stoi tu obok. Powiedz mi, dlaczego ludzie rzucają się pod pociąg.

- Może dlatego że ktoś nie pozwala im porozmawiać z osobą, z którą chcą porozmawiać.

- Och, tato, zawsze się wygłupiasz. Już ci ją daję.

Wygłupiam się? - pomyślał Brunetti, przekonany, że jego głos brzmiał najzupełniej poważnie.

- Ciao, Guido - odezwała się Paola. - Słyszałeś tę historię? Nasza córka jest żądna widoku krwi.

- Kiedy dotarliście na miejsce?

- Z pół godziny temu. Musieliśmy zjeść obiad w pociągu. Coś obrzydliwego. Co porabiałeś? Znalazłeś *insalata di calamari*?

- Jeszcze nie. Właśnie wszedłem do domu.

- Byłeś w Mestre? A jadłeś obiad?

- Nie zdążyłem. Miałem coś do załatwienia.

- No tak. *Insalata di calamari* jest w lodówce. Zjedz ją dziś, najpóźniej jutro, zanim się zepsuje w tym upale. - Brunetti usłyszał niewyraźny głos Chiary, a potem Paola spytała: - Przyjedziesz jutro?

- Nie mogę. Zidentyfikowaliśmy zwłoki.

- Kto to był?

- Leonardo Mascari, dyrektor tutejszego oddziału Banku Werony. Znasz go?

- Nie, nigdy o nim nie słyszałam. Pochodzi z Wenecji?

- Chyba tak. Jego żona jest wenejką.

Ponownie usłyszał głos Chiary. Po dłuższym czasie znowu odezwała się Paola:

- Przepraszam, Guido. Chiara chce iść na spacer i nie może znaleźć swetra.

Już samo słowo „sweter” uprzytomniło Brunettiemu, jak gorąco jest w mieszkaniu, nawet przy otwartych oknach.

- Paola, czy masz numer telefonu Padovaniego? Patrzyłem w książce telefonicznej, ale nie znalazłem jego nazwiska. - Brunetti wiedział, że żona nie spyta, po co mu ten numer, więc od razu wyjaśnił: - Nie przychodzi mi na myśl nikt inny, kto mógłby udzielić mi informacji na temat tutejszego światka gejowskiego.

- Przecież on od lat mieszka w Rzymie.

- Wiem, wiem. Ale co kilka miesięcy przyjeżdża tu, żeby napisać recenzje z wystaw i odwiedzić rodzinę.

- Może i tak - odparła Paola, przyjmując ton osoby nie do końca

przekonanej. - Poczekaj chwilę. Wezmę notes. - Odłożyła słuchawkę i kazała Brunettiemu czekać tak długo, iż doszedł do wniosku, że notes znajduje się w drugim pokoju, a może nawet w innym budynku. Wreszcie znowu usłyszał jej głos. - Znalazłam ten numer: 5224404. Sądzę, że jest w książce telefonicznej przy nazwisku ludzi, którzy sprzedali Padovaniemu mieszkanie. Gdy będziecie rozmawiać, pozdrów go ode mnie.

- Dobrze. Gdzie jest Raffi?

- Zniknął, gdy tylko wnieśliśmy bagaże. Przypuszczam, że wróci na kolację.

- Ucałuj go ode mnie. Zadzwoń do ciebie w tygodniu.

Po złożonych sobie nawzajem obietnicach, że będą w kontakcie, i po kolejnym przypomnieniu o *insalata di calamari*, rozłączyli się, a Brunetti stwierdził w duchu, iż jest coś dziwnego w tym, że mężczyzna, który wyjeżdża na tydzień z domu, nie dzwoni w tym czasie do żony. Może wygląda to trochę inaczej, gdy nie mają dzieci, ale nie przypuszczał, by ten fakt miał aż takie znaczenie.

Wybrał numer Padovaniego i usłyszał, jak to coraz częściej zdarzało się we Włoszech, głos automatycznej sekretarki, informujący, że profesor Padovani nie może teraz odebrać telefonu, ale oddzwoni, gdy tylko będzie mógł. Brunetti zostawił wiadomość z prośbą, aby profesor Padovani do niego zatelefonował, i odłożył słuchawkę.

Poszedł do kuchni, wyjął z lodówki sałatkę. Zdjął plastikową folię i wziął palcami kawałek kałamarnicy. Żując, sięgnął do lodówki po butelkę soave i napełnił kieliszek winem. Z kieliszkiem w jednej ręce, a sałatką w drugiej, wyszedł na taras i postawił wszystko na niskim stoliku ze szklanym blatem. Wrócił do kuchni po chleb i uwzględniając wymogi cywilizacji - wyjął z szuflady widelec.

Gdy usiadł na tarasie, odłamał pajdę chleba, położył na nim kawałek kałamarnicy i zaczął jeść. Niewątpliwie bankowcy mają wiele pracy również w

soboty, pomyślał. Pieniądz nie odpoczywa nawet w święta. A jeśli ktoś pracuje w weekend, to nie chce zakłócać sobie spokoju odpowiadaniem na telefony. Może powiedzieć, że zaszła pomyłka, i nie odebrać następnego telefonu. Nie chce, by mu przeszkadzano.

W sałatce było jak na jego gust za dużo selera, więc odsunął widelcem małe kawałki na bok. Dolał sobie wina i przysła mu na myśl opowieść z Biblii. Chyba u Marka jest taki fragment, mówiący o zniknięciu Jezusa, kiedy wracał do Nazaretu po pierwszym pobycie w Jerozolimie. Maria sądziła, że jest z Józefem, razem z mężczyznami, a świątobliwy Józef przypuszczał, że Jezus jest z matką, w grupie kobiet. Dopiero gdy podróżujący zatrzymali się na nocny odpoczynek i Józef spotkał się z Marią, wyszło na jaw, że Jezusa nigdzie nie ma. Okazało się, że został w Jerozolimie i nauczał w świątyni. Pracownicy Banku Werony przypuszczali, że Mascari jest w Mesynie, wobec tego pracownicy oddziału w Mesynie musieli sądzić, że Mascari jest gdzieś indziej, w przeciwnym razie zadzwoniliby do Wenecji z pytaniem, dlaczego nie przyjechał.

Brunetti poszedł do salonu i wziął ze stołu zeszyt Chiary, jeden z wielu leżących wśród masy długopisów. Zeszyt był czysty, na okładce miał ładny rysunek Myszkki Miki. Brunetti zabrał go razem z długopisem na taras.

Zaczął robić listę spraw do załatwienia w poniedziałek rano. Zadzwoń do Banku Werony z pytaniem, dokąd wybierał się Mascari, a potem zadzwoń do banku w Mesynie i dowiedzieć się, jak wyjaśniono jego nieobecność. Sprawdzić, dlaczego nic jeszcze nie wiadomo o pochodzeniu butów i sukni. Zacząć grzebać w przeszłości Mascariego, zbadać jego życie osobiste i sytuację finansową. Jeszcze raz przejrzeć raport z sekcji zwłok i zobaczyć, czy wspomniano coś o ogolonych nogach. Poza tym trzeba porozmawiać z Vianellem, który może zebrał już informacje na temat Lega i mecenasa Santomauro.

Gdy usłyszał dzwonek telefonu, przez chwilę łudził się, że to Paola, ale

jednocześnie zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe. Wszedł do mieszkania i podniósł słuchawkę.

- Ciao, Guido. Mówi Damiano. Dzwoniłeś do mnie.

- A, pan profesor?

- Ech - odparł dziennikarz z nonszalancją - podoba mi się ten tytuł i w tym tygodniu sprawdzam, jak brzmi na mojej sekretarce. A co? Tobie się nie spodobał?

- Skądże - bez namysłu powiedział Brunetti. - Brzmi wspaniale. Ale czego jesteś profesorem?

Na linii od Padovaniego zaległa przeciągła cisza.

- Kiedyś prowadziłem serię zajęć z malarstwa w szkole dla dziewcząt, jeszcze w latach siedemdziesiątych. Czy twoim zdaniem to się liczy?

- Chyba tak - zgodził się Brunetti.

- Może nadszedł czas, żeby zmienić treść wiadomości na sekretarce. Jak według ciebie brzmi określenie „komendant Padovani”? Mnie się nawet podoba. Jeśli chcesz, zaraz zmienię tekst, a potem ty do mnie zadzwonisz.

- Nie, Damiano, nie trzeba. Chciałbym porozmawiać z tobą o czym innym.

- No i dobrze. Nagrywanie nowego tekstu zabiera mi mnóstwo czasu. Tyle guzików muszę przycisnąć. Za pierwszym razem na sekretarce nagrały się moje przekleństwa. Przez tydzień nikt nie zostawił wiadomości i wtedy przyszło mi na myśl, że aparatura nie działa. Dla pewności zadzwoniłem do siebie z budki. Byłem wstrząśnięty słownictwem tej maszyny. Popędziłem do domu i natychmiast zmieniłem tekst. Ale wciąż mam z tym kłopoty. Na pewno nie chcesz zadzwonić do mnie za dwadzieścia minut?

- Raczej nie, Damiano. Masz czas, żeby ze mną porozmawiać?

- Dla ciebie, Guido, jestem - jak powiedział pewien angielski poeta, mając na myśli zupełnie co innego - „wolny, wolny jak obłoki, mógłby mnie wiatr po świecie nosić”*.

Brunetti wiedział, że wypada spytać o pochodzenie cytatu, ale nie zrobił tego.

- To może trochę potrwać. Czy zechciałbyś umówić się ze mną na kolację? - spytał.

- A Paola?

- Zabrała dzieci w góry.

Padovani zamilkł na chwilę, a Brunetti nie potrafił zinterpretować jego milczenia inaczej niż jako przejaw spekulacji myślowych.

- Mam tu sprawę morderstwa - dodał szybko - a hotel zarezerwowaliśmy już wiele miesięcy temu, więc Paola pojechała z dziećmi do Bolzano. Jeśli uporam się z tym na czas, dołączę do nich. Dlatego do ciebie dzwonię. Pomyślałem sobie, że mógłbyś mi pomóc.

- W rozwiązaniu sprawy morderstwa? To szalenie podniecające. Od kiedy zaczęła się ta historia z AIDS, rzadko stykani się ze światem przestępczym.

- Ach tak - rzekł Brunetti, nie mając pomysłu na stosowną replikę. - Może zjemy razem kolację? Gdzie zechcesz.

Padovani zastanowił się chwilę i powiedział:

- Posłuchaj, Guido, jutro wracam do Rzymu, a tu w lodówce mam pełno jedzenia. Przyjdź i pomóż mi ją opróżnić. Nie spodziewaj się niczego wykwintnego. Zrobię makaron i coś do tego.

- Dobrze. Gdzie mieszkasz?

- W Dorsoduro. Wiesz, gdzie jest Ramo dietro gl' Incurabili? - Padovani wymienił nazwę małego placu z zawsze czynną fontanną, tuż przy Zattere.

- Wiem.

- Stań tyłem do fontanny, a twarzą do wąskiego kanału. Pierwsze drzwi na prawo prowadzą do mnie. - Takie wyjaśnienie było dużo prostsze niż podawanie nazwy i numeru ulicy, i wystarczało każdemu weneccjaninowi, aby bez trudu trafić na miejsce.

- Dobrze. O której?

- O ósmej.

- Co przynieść?

- Absolutnie nic. Jeśli coś przyniesiesz, będziemy musieli to zjeść, a to, co mam, i tak wystarczy na nakarmienie drużyny piłkarskiej. Proszę, nic nie przynoś.

- W porządku. Do zobaczenia o ósmej. Dzięki, Damiano.

- Cała przyjemność po mojej stronie. O czym chcesz ze mną porozmawiać? A raczej o kim? Zanim przyjdiesz, spróbuję przeszukać zakamarki mojej pamięci, a może nawet zdążę zadzwonić do paru osób.

- Chodzi o dwóch panów. Jeden to Leonardo Mascari.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- A drugi to Giancarlo Santomauro.

Padovani aż gwizdnął.

- A więc wreszcie poznaliście się na świątobliwym mecenasie!

- Zobaczymy się o ósmej - powiedział Brunetti.

- Żartowałem sobie - rzekł Padovani ze śmiechem i odłożył słuchawkę.

O ósmej Brunetti, świeżo wykąpany i ogolony, stanął z butelką barbera przy drzwiach na prawo od małej fontanny na placu Ramo dietro gl' Incurabili i nacisnął dzwonek. Frontową ścianę budynku wysoko przesłaniał jaśmin, który rósł w dwóch donicach z terakoty po obu stronach wejścia i cudownie pachniał. Dzwonek był tylko jeden, a więc cały dom stanowił własność jednej osoby - nieprawdopodobny wprost luksus, przemknęło przez myśl Brunettiemu. Padovani niemal natychmiast otworzył drzwi i wyciągnął rękę do Brunettiego. Trzymając jego dłoń w ciepłym, mocnym uścisku, wprowadził go do środka, mówiąc:

- Nie stój w tym zarze. Chyba postradałem zmysły, decydując się na powrót do Rzymu w taką pogodę, ale tam mam klimatyzowane mieszkanie.

Puścił dłoń Brunettiego i cofnął się o krok. Jak to bywa po długim

niewidzeniu, jeden dyskretnie otaksował spojrzeniem drugiego, aby zobaczyć, na ile się zmienił - utył, schudł czy posiwiiał.

Stwierdziwszy, że Padovani wciąż wygląda na przysadzistego zbira, choć wcale nim nie jest, Brunetti objął wzrokiem wielki pokój, wysoki na dwie kondygnacje, sięgający dachu z umieszczonymi w nim świetlikami. Otaczała go z trzech stron galeria, na którą wchodziło się po drewnianych schodach. Czwarty bok był zabudowany, za ścianą prawdopodobnie mieściła się sypialnia.

- Co tu było przedtem? Przystań? - spytał Brunetti, pamiętając, że tuż za domem jest mały kanał i od tej strony można było bez trudu wciągnąć do środka łódzie wymagające naprawy.

- Zgadza się. Bystry jesteś. Kiedy kupiłem ten dom, stały w nim uszkodzone łódzie, a w dachu były dziury wielkości melona.

- Jak długo go masz? - zapytał Brunetti, rozglądając się wokoło i szacując, ile włożono pracy i pieniędzy, aby ten dom wyglądał tak jak teraz.

- Osiem lat.

- Kosztowało cię to sporo pracy. Ale na szczęście nie masz sąsiadów - stwierdził Brunetti, wręczając gospodarzowi butelkę, owiniętą w białą bibułę.

- Prosiłem cię, żebyś nic nie przynosił.

- Wino się nie zepsuje - odparł Brunetti z uśmiechem.

- Bardzo dziękuję, ale nie musiałeś tego robić - powiedział Padovani, choć wiadomo było, że gość zaproszony na kolację nie może pojawić się bez podarunku, podobnie jak gospodarz nie może podać mu resztek z poprzedniego dnia. - Czuj się jak u siebie i rozejrzyj po mieszkaniu, a ja zajmę się jedzeniem - rzekł, idąc w stronę drzwi z witrażowymi szybami, za którymi znajdowała się kuchnia. - W kubełku jest lód, gdybyś chciał zrobić sobie drinka.

Po chwili Brunetti usłyszał brzdęki garnków i pokrywek oraz szum wody z kranu. Spojrzał w dół i stwierdził, że podłoga jest wyłożona ciemnymi dębowymi klepkami, ale przed kominkiem widać wypalone plamy tworzące półokrąg. Popatrzył na nie z przykrością, zastanawiając się, czy pochwałać

gospodarza za to, że przedkłada wygodę nad względy bezpieczeństwa, czy ganić go za to, że zniszczył tak wspaniały parkiet. Nad kominkiem przymocowano do gipsowej ściany długą drewnianą belkę, na której stała kolekcja kolorowych figurek z *commedia dell'arte* w tanecznych pozach. Dwie ściany były zawieszane obrazami; chaotycznie rozmieszczone, bez uwzględnienia stylów i szkół malarskich, rywalizowały między sobą o zainteresowanie patrzącego. Ostrość współzawodnictwa świadczyła o guście osoby, która dokonała takiego ich doboru. Brunetti dostrzegł jednego Guttosa, którego niezbyt lubił, i jednego Morandiego, który mu się podobał. Wisiały tam również trzy obrazy Ferruzziego, a każdy cieszył oko, ukazując piękno Wenecji. Trochę na lewo od kominka znajdował się obraz Madonny - niewątpliwie pochodzący ze szkoły florenckiej i prawdopodobnie powstały w piętnastym wieku - która spoglądała z uwielbieniem na niemowlę, równie brzydkie jak na innych obrazach przedstawiających Madonnę z Dzieciątkiem. W tajemnicy przed wszystkimi Brunetti i Paola od wielu lat szukali najbrzydszego wizerunku dzieciątka Jezus w sztuce Zachodu. Obecnie palmę pierwszeństwa przyznali wyjątkowo marudnemu dziecku, eksponowanemu w sali trzynastej, w pinakotece w Sienie. Dzieciątko, na które patrzył Brunetti, nie mogło odebrać przewodnictwa w tej konkurencji wizerunkowi ze Sieny. Na jednej ścianie wisiała długa półka z rzeźbionego drewna - niegdyś zapewne część szafy lub komody - na której stały różnokolorowe ceramiczne miski, prawdopodobnie dzieła sztuki muzułmańskiej, zważywszy na geometryczne zdobnictwo i węzowate przedstawienia kaligraficzne.

W drzwiach kuchni stanął Padovani.

- Chcesz drinka? - zapytał.

- Nie, dziękuję. Chętnie napiję się wina. Przy takim upale nie mam ochoty na mocniejsze alkohole.

- Doskonale cię rozumiem. Po raz pierwszy od trzech lat przyjechałem tu w letniej porze i przypomniałem sobie, jak może doskwierać ten upał. Gdy

zdarza mi się być po drugiej stronie kanału nocą, podczas odpływu, zapach przyprawia mnie o mdłości.

- Tutaj go nie czujesz? - spytał Brunetti.

- Nie. Canale della Giudecca jest chyba głębszy albo woda płynie w nim szybciej - sam nie wiem. Ale tu nie dochodzi ten zapach, przynajmniej jeszcze nie jest odczuwalny. Jeśli kanały będą dalej pogłębiane, aby przepuścić te gigantyczne tankowce... jak one się zwą - supertankowce? - to Bóg jeden wie, co się stanie z laguną.

Padovani podszedł do podłużnego drewnianego stołu, nakrytego dla dwóch osób, wziął stojącą na nim i już otwartą butelkę dolcetto i nalał wino do dwóch kieliszków.

- Ludziom wydaje się, że zagłada miasta nastąpi w wyniku jakiejś wielkiej powodzi albo klęski żywiołowej, ale moim zdaniem przyczyna może być dużo bardziej prozaiczna - kontynuował temat, podchodząc do Brunettiego i podając mu kieliszek.

- A mianowicie? - zainteresował się Brunetti. Posmakował wino i stwierdził, że mu odpowiada.

- Przez nas wymarły morza i tylko czekać, gdy zaczną cuchnąć. A ponieważ laguna jest odnogą Adriatyku, Adriatyk zaś jest odnogą Morza Śródziemnego, który z kolei... już rozumiesz. Jestem przekonany, że wody po prostu wymrą, a my albo będziemy musieli wynieść się z tego miasta, albo napełnić kanały, a wówczas i tak nie da się tutaj mieszkać.

Ta teoria wydała się Brunettiemu oryginalna i z pewnością nie mniej pesymistyczna niż wiele innych, którym po części dawał wiarę. Ludzie ciągle mówili o bliskim końcu miasta, a mimo to ceny mieszkań co kilka lat podwajały się, czynsze były tak wyśrubowane, że przeciętny pracownik nie mógł sobie pozwolić na ich płacenie. Wenecjanie kupowali i sprzedawali nieruchomości w czasie wojen krzyżowych, zarazy czy najazdów obcych armii i pewne jest, że dalej będą tak postępować niezależnie od czekającej ich katastrofy ekologicznej.

- Wszystko jest przyszykowane - oznajmił Padovani, siadając w jednym z głębokich foteli. - Muszę tylko ugotować makaron. Wprowadź mnie w temat, żebym miał o czym myśleć, gdy będę mieszał w garnku.

Brunetti usiadł naprzeciw niego na kanapie. Wypił trochę wina i ostrożnie dobierając słowa, powiedział:

- Mam powody sądzić, że Santomauro jest związany z pewnym prostytutującym się transwestytą, który mieszka i, jak się zdaje, pracuje w Mestre.

- W jakim sensie „jest związany”? - spytał spokojnie Padovani.

- Seksualnym - odparł krótko Brunetti. - Ale twierdzi, że jest jego adwokatem.

- Jedno nie wyklucza drugiego, prawda?

- Zgadza się, nie wyklucza, ale od czasu gdy spotkałem go w towarzystwie tego młodego człowieka, usiłuje uniemożliwić mi przesłuchanie go.

- Czyli kogo?

- Tego młodego człowieka.

- Rozumiem - odparł Padovani i wypił łyk wina. - Coś jeszcze?

- Tego drugiego mężczyznę, o którym ci wspomniałem - Leonarda Mascariego - znaleziono w poniedziałek martwego na polach w Mestre.

- Był transwestytą?

- Na to wygląda.

- Co wspólnego ma jedno z drugim?

- Ten młody człowiek, klient Santomaura, zaprzecza, iż znał Mascariego, ale to nieprawda.

- Skąd wiesz?

- Musisz uwierzyć mi na słowo, Damiano. Po prostu wiem. Tyle razy byłem świadkiem takich scen, że po prostu wiem. On rozpoznał go na rysunku, a potem udał, że nigdy go nie widział.

- Jak się nazywa ten młody człowiek? - spytał Padovani.

- Tego nie mogę ci powiedzieć. Zapadła cisza.

- Guido - odezwał się Padovani. - Znam wielu chłopców z Mestre. Dawniej znałem ich bardzo wielu. Jeśli chcesz, abym w tym śledztwie był twoim konsultantem do spraw gejowskich... - powiedział te słowa bez cienia ironii czy urazy - ...to muszę znać nazwisko tego człowieka. Zapewniam cię, że zachowam w tajemnicy wszystko, co mi powiesz. Ale nie będę w stanie dostrzec powiązań między tymi sprawami, jeśli nie poznam jego nazwiska. - Brunetti dalej milczał. - To ty zadzwoniłeś do mnie, Guido, a nie ja do ciebie - dodał Padovani i wstał. - Idę ugotować makaron. Siadamy do stołu za piętnaście minut?

Czekając na Padovaniego, Brunetti przyjrzał się książkom, które pokrywały jedną ścianę. Wyjął album na temat odkryć archeologicznych w Chinach, usiadł na kanapie i przeglądał zdjęcia, dopóki nie zobaczył wchodzącego do pokoju Padovaniego.

- *A tavola, tutti a tavola. Mangiamo!* - zawołał gospodarz. Brunetti odłożył książkę i podszedł do stołu. - Siadaj tutaj, z lewej strony - powiedział Padovani. Postawił misę z makaronem i natychmiast zaczął nakładać Brunettiemu sutą porcję.

Brunetti poczekał, aż Padovani nałoży sobie, i zaczął jeść. Pomidory, cebula, pokrojony boczek i odrobina *pepperoncino*, a pod spodem *penne rigate*, jego ulubiony suchy makaron.

- Bardzo dobre - powiedział ze szczerym uznaniem. - Lubię *pepperoncino*.

- Całe szczęście. Zawsze się obawiam, że dla gości sos będzie zbyt pikantny.

- Jest doskonały - pochwalił Brunetti gospodarza i jadł dalej. Gdy i Padovani nakładał mu drugą porcję, powiedział: - On nazywa się Francesco Crespo.

- Mogłem przypuszczać. - Padovani ciężko westchnął. Po chwili, już znacznie bardziej zaciekawiony, spytał: - Czy na pewno nie dodałem za dużo *pepperoncino*?

Brunetti pokręcił głową i skończył dokładkę. Gdy Padovani sięgnął po łyżkę i misę z makaronem, zasłonił talerz rękami.

- Lepiej się zastanów, Guido. Niewiele już będzie do jedzenia.

- Dziękuję, Damiano.

- Jak chcesz. Ale Paola nie ma prawa winić mnie za to, że zagłodziłeś się na śmierć podczas jej nieobecności.

Padovani zebrał talerze i sztucce, włożył je do miski i wyszedł do kuchni. Dwa razy krążył między pokojem i kuchnią, zanim znowu siadł przy stole. Za pierwszym razem wniósł pieczone piersi indyka, zmielone, zawinięte w plaster boczku, obłożone wianuszkami ziemniaków, a za drugim - talerz z pieczonymi na grillu paprykami polanymi oliwą i dużą miskę sałaty.

- Nie ma nic więcej - oznajmił, już siedząc przy stole. Ton jego głosu wskazywał, że należy potraktować te słowa jako przeprosiny.

Gdy nałożyli sobie jedzenie, Padovani napełnił kieliszki.

- Crespo pochodzi chyba z Mantui. Ze cztery lata temu przeniósł się do Padwy. Studiował farmację, ale wkrótce doszedł do przekonania, że życie potoczy się bardziej ciekawie, jeśli pójdzie za swoimi skłonnościami i zostanie kurwą. Szybko uprzytomnił sobie, że najlepiej będzie zostać utrzymankiem jakiegoś starszego pana. Jak to zwykle bywa, miał mieszkanie, samochód, dużo pieniędzy na ubranie, a w zamian musiał tylko być do dyspozycji, gdy człowiek, który płacił rachunki, zdołał wyrwać się z banku, z zebrania rady miejskiej czy spod kurateli własnej żony. Wydaje mi się, że miał wtedy zaledwie z osiemnaście lat. I był bardzo urodziwy. - Padovani przerwał; ręka w której trzymał widelec, zawisła w powietrzu. - W gruncie rzeczy przypominał mi wtedy Bachusa Caravaggia: był piękny, ale zbyt zmyślny i bez mała zdeprawowany.

Padovani podsunął Brunettiemu papryki i sam się poczęstował.

- Ostatnia wiadomość, jaką usłyszałem bezpośrednio od niego, była taka, że związał się z księgowym z Treviso. Ale Franco zawsze zbaczał na złą drogę i księgowy w końcu go wyrzucił. Najpierw chyba go pobił, a potem wyrzucił. Nie wiem, kiedy Francesco odkrył w sobie skłonność do transwestytyzmu. Te sprawy w ogóle mnie nie interesują. Prawdę mówiąc, nie rozumiem, o co w tym chodzi. Jeśli mężczyzna chce mieć kobietę, to może wybierać spośród kobiet.

- Może w ten sposób oszukuje się, że jest z kobietą - odparł Brunetti, wykorzystując teorię Paoli i wreszcie widząc sens jej przypuszczeń.

- Może. Ale to smutne, prawda? - Padovani odsunął na bok talerz i odchylił się w tył. - Chcę powiedzieć, że ciągle się oszukujemy. Wmawiamy sobie, że kogoś kochamy, i wymyślamy po temu powody. Usprawiedliwiamy przed sobą własne kłamstwa. A wydawałoby się, że przynajmniej wobec siebie powinniśmy nie udawać, ale szczerze i uczciwie powiedzieć sobie, z kim chcemy iść do łóżka. Choć na tyle powinno być nas stać. Sięgnął po miskę z sałatą, posypał liście solą, polał szczerze oliwą i spryskał sporą ilością octu winnego. Brunetti podał mu swój talerz i w zamian otrzymał czysty. Padovani podsunął mu miskę z sałatą, mówiąc:

- Częstuj się. Deseru nie będzie, tylko owoce.

- Cieszę się, że nie robiłeś sobie subiekcji - odparł Brunetti, na co Padovani się roześmiał.

- Słowo daję, że wszystko było w domu. Prócz owoców.

Brunetti nałożył sobie odrobinę sałaty, gospodarz zadowolili się nawet mniejszą porcją.

- Co jeszcze o nim wiesz? - spytał Brunetti.

- Słyszałem, że chodzi w damskich strojach i mówi o sobie per Francesca. Słyszałem też, że przestał bywać na Via Cappuccina. A może odwiedza miejskie parki w Mestre?

- Jedno i drugie. Nie wiem, czy przestał tam bywać. Wiadomo jednak, że

mieszka w bardzo przyjemnej okolicy i na drzwiach mieszkania jest tabliczka z jego nazwiskiem.

- Na tabliczce może być jakiegokolwiek nazwisko. Ważne, kto płaci czynsz - zauważył Padovani, najwyraźniej dość dobrze znając te sprawy.

- Chyba masz rację - zgodził się Brunetti.

- Niewiele więcej o nim wiem. Nie jest złym człowiekiem, a przynajmniej nie był, gdy go znałem. Ale jest podstępny i podatny na wpływy. To są trwałe cechy, więc mógł ci nakłamać, jeśli widział w tym swój interes.

- Tak zachowuje się większość ludzi, z którymi mam do czynienia - stwierdził Brunetti.

Padovani uśmiechnął się i dodał:

- Tak zachowuje się większość ludzi, z którymi ciągle mamy do czynienia.

Brunetti roześmiał się, przyjmując gorzką prawdę zawartą w tym stwierdzeniu.

- Pora na owoce - powiedział gospodarz i zabrał ze stołu talerze. Po chwili wniósł jasnoniebieską ceramiczną misę z sześcioma doskonałej jakości brzoskwiniami. Podał Brunettiemu talerzyk deserowy i postawił przed nim misę z owocami. Brunetti wziął brzoskwinie.

- Co możesz mi powiedzieć o Santomaurze? - zapytał, w skupieniu obierając owoc ze skórki.

- Masz na myśli prezesa, czy jak tam o sobie mówi, Lega della Moralita? - Gdy Padovani wypowiadał nazwę stowarzyszenia, jego głos przybrał głęboki, posępny ton.

- Tak.

- Wystarczająco dużo wiem na jego temat, by zapewnić cię, że wiadomość o powołaniu do życia organizacji i o jej celach wywołała w pewnych kręgach takie samo rozbawienie, z jakim niegdyś przyjmowaliśmy zakusy Rocka Hudsona na cnotę Doris Day, a teraz przyjmujemy seksualne popisy

pojawiających się na ekranie aktorów zarówno rodzimych, jak amerykańskich.

- Czy z tego wynika, że rzecz jest powszechnie znana?

- I tak, i nie. Jest znana większości z nas, ale respektujemy dżentelmeńskie zasady - w przeciwieństwie do polityków - i nie plotkujemy o osobach z naszego grona. Gdybyśmy zaczęli rozgłaszać pewne wiadomości, zabrakłoby ludzi do rządzenia państwem, także watykańskim.

Brunetti ucieszył się, że Padovani znowu stał się sobą, błyskotliwym gawędziarzem, za jakiego go uważał.

- Ale żeby kierować taką organizacją jak Lega? Jak udało mu się tak oczywista mistyfikacja?

- Doskonale pytanie. Gdy przyjrzesz się historii tej organizacji, zobaczysz, że w jej początkach Santomauro był zaledwie *eminence grise* całego ruchu. Nie sądzę, żeby w ogóle kojarzono z Lega jego nazwisko. Nie dalej jak dwa lata temu otrzymał oficjalną funkcję i dopiero w zeszłym roku zaczęło być o nim głośno, gdy wybrano go zarządcą, przełożonym - nie wiem, jak nazywają swego przywódcę, może wielkim przeorem? Jakoś tak pretensjonalnie.

- Dlaczego nikt się wtedy nie odezwał?

- Chyba dlatego że większość z nas nie traktowała tego stowarzyszenia serio - przyznał Padovani i dodał z rzadką u niego powagą: - Co było dużym błędem.

- Dlaczego tak uważasz?

- Mam wrażenie, że atmosfera polityczna sprzyja temu, by w przyszłości powstawały takie grupy jak Lega, które chcą doprowadzić do dezintegracji większych grup, do rozbicia dużych całości na części. Spójrz tylko, co się dzieje w Europie Wschodniej i w Jugosławii. Spójrz na naszych polityków, którzy chcą znowu podzielić Włochy na małe, niezależne regiony.

- Czy ty przypadkiem nie przesadzasz?

- Bardzo możliwe. Z łatwością można przyjąć, że Lega della Moralita zrzesza gromadkę niewinnych staruszek, które lubią się spotykać i gawędzić o

starych dobrych czasach. Ale kto tak naprawdę wie, ilu członków liczy to stowarzyszenie? Jakie są jego rzeczywiste cele?

Upodobanie do teorii spiskowych Włosi wysysają z mlekiem matki, pomyślał Brunetti. Żaden nie oprze się chęci szukania ich na każdym kroku. Skutkiem tego każde ugrupowanie, które niechętnie ujawnia informacje na swój temat, budzi najrozmaitsze podejrzenia. Tak było z jezuitami i tak jest ze Świadcami Jehowy. Tak wciąż jest z jezuitami, uściślił swą myśl. Spiskowanie niewątpliwie narzuca konieczność potajemnego działania, ale odwrotna teza, iż potajemne działanie musi oznaczać istnienie spisku, wcale nie była dla niego przekonywająca.

- No i...? - nacisnął na Brunettiego Padovani.

- No i co?

- Co wiesz o Lega?

- Niewiele - przyznał Brunetti. - Ale gdybym powziął wobec nich jakieś podejrzenia, to nie wnikalbym w cele, lecz przyjrzał się finansom.

Przez dwadzieścia lat pracy w policji upewnił się o słuszności kilku zasad, z których jedna brzmiała, że wzniosłe ideały i przekonania polityczne rzadko kiedy motywują ludzi z taką siłą jak chęć wzbogacenia się.

- Wątpię, czy Santomaura interesuje coś tak prozaicznego jak pieniądze.

- Pieniądze interesują wszystkich, Dami, i bardzo często są bodźcem do działania.

- Niezależnie od tego, z jakich pobudek czy w jakim celu Giancarlo Santomauro chce kierować tym stowarzyszeniem, możesz mieć pewność, że sprawa jest śmierdząca. To drobny fakt, ale za to niepodważalny.

- Co wiesz o jego życiu prywatnym? - spytał Brunetti, zastanawiając się, o ile delikatniej brzmi określenie „życie prywatne” od określenia „życie seksualne”, o które tak naprawdę pytał.

- Wszystko, co wiem, opiera się na sugestiach, uwagach i komentarzach innych ludzi. Rozumiesz, jak to jest. - Brunetti kiwnął głową. Doskonale

wiedział, co Padovani ma na myśli. - Wiem... ale jeszcze raz powtarzam, że tak naprawdę nie wiem, choć wiem - że lubi młodych chłopców. Im są młodszy, tym bardziej go interesują. Jeśli pogrzebiesz w jego przeszłości, dowiesz się, że przynajmniej raz na rok jeździł do Bangkoku. Bez nadzwyczajnej pani Santomauro, dodam od razu. Ale kilka lat temu przestał tam jeździć. Nie znam powodów tej zmiany przyzwyczajęń, wiem jednak, że tego rodzaju upodobania nie zmieniają się, nie zanikają, nie można ich zaspokoić inaczej, jak znajdując obiekt pożądania.

- W jakiej mierze te obiekty są, hm, dostępne w tym mieście? - zapytał Brunetti, zastanawiając się, dlaczego o niektórych sprawach jest mu tak łatwo rozmawiać z Paolą, a tak trudno z innymi ludźmi.

- W pewnej mierze są dostępne, lecz główne centra są w Rzymie i Mediolanie.

Brunetti czytał o tym w raportach policyjnych.

- Centra podaży filmów?

- Filmów też, ale przede wszystkim autentycznego towaru dla tych, którzy są gotowi zapłacić. No i - powinienem dodać - ponieść ryzyko, choć obecnie trudno mówić o ryzyku.

Brunetti spojrzał na swój talerz i zobaczył obraną, nie tkniętą brzoskwinię. Stracił na nią ochotę.

- Kiedy mówisz „młodzi chłopcy”, jaki przedział wiekowy masz na myśli?

Padovani niespodziewanie uśmiechnął się i powiedział:

- Wiesz, Guido, mam dziwne wrażenie, że ta rozmowa jest dla ciebie potwornie krępująca. - Brunetti nie odezwał się. - Mogą mieć dwanaście lat, a czasem i dziesięć.

- Och! - Zapadło dłuższe milczenie. - Jesteś pewien co do Santomauro?

- Jestem pewien, że taką ma reputację, prawdopodobnie zasłużoną. Nie mam jednak dowodów, świadków ani nikogo, kto potwierdziłby to pod

przysięgą.

Padovani wstał od stołu i podszedł do niskiego kredensu, na którym po jednej stronie stała masa butelek.

- Chciałbyś napić się grappy? - zaproponował.

- Chętnie.

- Mam taką o smaku gruszki. Spróbujesz?

- Z przyjemnością.

Brunetti wziął kieliszek i usiadł na kanapie. Trunek z gruszek miał smak boskiego nektaru.

- Słabizna - powiedział Brunetti.

- Ta grappa? - spytał szczerze zdumiony Padovani.

- Nie, nie. Chodzi mi o domysły co do powiązań między Crespem a Santomaurem. Jeśli Santomauro gustuje w młodych chłopcach, to Crespo jest po prostu jego klientem i tyle.

- Całkiem możliwe - odparł Padovani, ale ton jego głosu sugerował, że taka ewentualność jest raczej mało prawdopodobna.

- Czy znasz kogoś, kto mógłby powiedzieć ci więcej na ich temat? - spytał Brunetti.

- O Santomaurze i Crespie?

- Tak. I o Leonardzie Mascarim. O ile coś łączy tych panów.

Padovani westchnął.

- Za późno, żeby dzwonić do moich znajomych.

Brunetti zerknął na zegarek. Było zaledwie piętnaście po dziesiątej. Czyżby on zamierzał dzwonić do klasztoru? - przebiegło mu przez myśl.

Padovani zorientował się, co oznacza to spojrzenie, i parsknął śmiechem.

- Nie w tym rzecz, Guido. Oni wyszli już z domów na cały wieczór, na całą noc. Jutro zadzwonię do nich z Rzymu i zobaczę, co wiedzą i czego mogą się dowiedzieć.

- Wolałbym, aby ci dwaj panowie nie odnieśli wrażenia, że ktoś o nich

wypytuje - powiedział Brunetti z taktem, choć sztywno i niezręcznie.

- Och, Guido, utkam pajęczynę lżejszą od powietrza. Ludzie, którzy znają Santomaura, z przyjemnością podzielią się tym, co o nim wiedzą i zasłyszeli, mając przy tym pewność, że nic do niego nie dotrze. Już sama myśl, że może być wmieszany w coś paskudnego, wywoła w nich dreszcz rozkoszy.

- Otóż to, Damiano, nie chcę, żeby zaczęły rozchodzić się jakieś pogłoski o tym, że jest w coś wmieszany, a zwłaszcza w coś paskudnego.

Może zabrzmiało to zbyt ostro. Brunetti uśmiechnął się i podał gospodarzowi kieliszek z prośbą o dolewkę.

Fircyk Padovani znowu przemienił się w dziennikarza.

- Jak sobie życzysz, Guido. Zachowam powagę i prawdopodobnie skontaktuję się z innymi ludźmi. We wtorek lub w środę będę miał dla ciebie jakieś wiadomości. - Sącył grappę małymi łydkami. - Radzę ci, żebyś zainteresował się Lega, a głównie jej członkami.

- Wzbudza w tobie autentyczny niepokój, mam rację?

- Każda grupa, która wywyższa się nad innych ludzi, budzi mój niepokój.

- Na przykład policja? - wtrącił Brunetti z uśmiechem, chcąc poprawić gospodarzowi nastrój.

- O nie, Guido, nie policja. Nikt nie uważa, że policjanci stoją wyżej od niego. Podejrzewam, że większość twoich ludzi też tak nie uważa. - Padovani dopił grappę, ale nie dolał sobie więcej. Butelkę i kieliszek postawił na podłodze, przy krześle. - Nie opuszcza mnie myśl o Savonaroli. Początkowo chciał poprawić ówczesny stan rzeczy, ale nie potrafił dokonać tego w inny sposób, jak niszcząc wszystko, co budziło jego dezaprobatę. Podejrzewam, że wszyscy zapaleńcy są w gruncie rzeczy tacy jak on, nawet wojujący ekolodzy i feministki. Początkowo pragną udoskonalić ten świat, ale w końcu chcą na siłę usunąć z niego to, co nie odpowiada ich wizerunkowi świata. Jak Savonarola, skończą na stosie.

- I co wtedy? - spytał Brunetti.

- Będziemy musieli jakoś przez to przebrnąć.

Brunetti nie dostrzegł w tym stwierdzeniu pozytywnej myśli filozoficznej, ale uznał, że zabrzmiało na tyle optymistycznie, aby w tym tonie można było zakończyć wieczór. Wstał z kanapy, w odpowiednich słowach wyraził swoje podziękowanie gospodarzowi i poszedł do domu, gdzie czekało na niego puste łóżko.

Rozdział 15

Drugim powodem, dla którego Brunetti nie kwapił się z wyjazdem w góry, było to, że w tę niedzielę przyszła jego kolej na odwiedzenie matki. Razem z bratem, Sergiem, bywali u niej na przemian w każdy weekend i zastępowali się, gdy zaszła taka potrzeba. Ale ten weekend Sergio spędzał z rodziną na Sardynii i prócz Brunettiego nie było nikogo, kto mógłby złożyć wizytę staruszce. To, czy ktoś ją odwiedza, i tak nie miało znaczenia, ale mimo to synowie do niej jeździli. Przebywała w Mira, w miejscowości odległej o dziesięć kilometrów od Wenecji. Brunetti musiał dojechać tam autobusem, a potem albo wziąć taksówkę, albo przejść długi kawałek do Casa di Riposo.

Wiedząc, że czeka go taka podróż, miał złą noc; ciągle budziły go wspomnienia, duchota i komary wpadające do sypialni. Gdy o ósmej obudził się na dobre, musiał podjąć tę samą decyzję, jaką podejmował co drugą niedzielę - jechać przed czy po obiedzie. Podobnie jak same odwiedziny, ich pora też nie miała znaczenia, ale tego dnia czynnikiem, który wpłynął na jego decyzję, był wyłącznie upał. Jeśli będzie zwlekał do południa, piekielny skwar tylko się spotęguje. Postanowił zatem wyruszyć jak najszybciej.

Wyszedł z domu przed dziewiątą. Na Piazzale Roma nie czekał dłużej niż dziesięć minut na odjazd autobusu do Mira. Ponieważ wsiadł jako jeden z ostatnich, musiał stać i kiwać się na boki, gdy minęli most, a potem wjechali w labirynt estakad nad i wokół Mestre.

Twarze kilku pasażerów były mu znane; częstokroć z któryś z nich jechał taksówką z dworca w Mira albo w ładny dzień szli razem pieszo. Zazwyczaj rozmawiali prawie wyłącznie o pogodzie. Spośród sześciu osób, które wysiadły z autobusu, dwie panie były mu znajome i w trójkę podjęli

szybką decyzję, że dalej pojedą taksówką. Ponieważ w samochodzie nie było klimatyzacji, rozmawiali o pogodzie, zadowoleni, że w ten sposób mogą urozmaicić sobie podróż.

Gdy zajechali przed Casa di Riposo, każde wyjęło pięć tysięcy lirów. Kierowca nie miał taksometra, ale ludzie, którzy jeździli tą trasą, wiedzieli, ile kosztuje kurs.

Weszli razem do budynku, kontynuując prowadzoną w samochodzie rozmowę. Wyrażali nadzieję, że zmieni się wiatr albo spadnie deszcz; zaręczali, że nigdy nie było takiego lata, i martwili się, jak susza wpłynie na sytuację w rolnictwie.

Brunetti udał się na trzecie piętro, a panie poszły każda swoją drogą na drugie, gdzie mieszkali mężczyźni. Gdy wszedł na górę, zobaczył siostrę Immacolatę, którą spośród pracujących tu pielęgniarek lubił najbardziej.

- *Buon giorno*, panie komisarzu - przywitała go z uśmiechem.

- *Buon giorno*, siostrze. Wygląda pani tak świeżo, jakby wcale nie doskwierał pani upał.

Pielęgniarka przyjęła te słowa z tym samym uśmiechem, z jakim zawsze przyjmowała jego żarty na ten temat.

- Wy, mieszkańcy Północy, nie macie pojęcia, co to jest prawdziwy upał - odparła. - Dzisiaj czuje się w powietrzu zaledwie przedsmak wiosny.

Siostra Immacolata pochodziła z gór na Sycylii. Przybyła tu dwa lata temu, oddelegowana przez swoją wspólnotę. Choć przez cały dzień była świadkiem ludzkiego cierpienia, szaleństwa i niedoli, dokuczało jej jedynie zimno, o którym zawsze mówiła z dystansem i ironią, dając do zrozumienia, że w obliczu prawdziwej udręki zajmowanie się własnymi bólami jest absurdalne. Patrząc na uśmiechniętą twarz zakonnicy, Brunetti po raz kolejny docenił jej urodę: migdałowe piwne oczy, delikatny zarys ust i cienki szlachetny nos. Ta kobieta była dla niego zagadką. Jako człowiek zajęty życiem doczesnym, mężczyzna z krwi i kości, nie pojmował jej wyrzeczenia się świata,

nie dostrzegał pragnień, które motywowały ją do takiego poświęcenia.

- Jak ona się miewa? - spytał.

- Miała dobry tydzień, panie komisarzu.

Dla Brunettiego takie stwierdzenie oznaczało jedynie to, że nic złego się nie stało: nikogo nie zaatakowała, niczego nie zniszczyła, nie zrobiła sobie krzywdy.

- Czy przyjmuje jedzenie?

- Tak. W środę nawet zgodziła się zjeść obiad razem z pozostałymi paniami.

Brunetti przygotował się na przyjęcie wiadomości o kłopotach, które z tego wynikły, ale siostra Immacolata poprzestała na tej informacji.

- Czy sądzi pani, że mogę się z nią zobaczyć?

- Oczywiście, panie komisarzu. Chciałby pan, żebym mu towarzyszyła?

Ileż piękna ma w sobie pełna wdzięku kobieta, pomyślał. Jaka wielka subtelność jest w kobiecym miłosierdziu.

- Dziękuję, siostrze. Może będzie się czuła pewniej, jeśli zobaczy mnie u pani boku, przynajmniej gdy będę wchodził.

- Tak, to złagodzi jej zaskoczenie. Kiedy już przyzwyczai się do drugiej osoby, zwykle zachowuje się spokojnie. A kiedy wyczuje, że to pan, komisarzu, naprawdę się cieszy.

Oboje wiedzieli, że to nieprawda. Zasady jej wiary mówiły, że kłamstwo jest grzechem, a mimo to co tydzień powtarzała tę samą nieprawdę Brunettiemu i jego bratu. Potem na kolanach prosiła o odpuszczenie grzechu, który popełniła w swej słabości i który na pewno znowu popełni. Zimą, po odmówieniu modlitwy i przed położeniem się do łóżka, otwierała okno w pokoju i odkładała pojedynczy koc, na który pozwalała jej reguła zakonna. A przy tym co tydzień dopuszczała się tego samego kłamstwa.

Odwróciła się i poprowadziła Brunettiego znaną mu drogą do pokoju numer 308. Po prawej strone korytarza pod samą ścianą trzy kobiety siedziały

na wózkach inwalidzkich. Dwie regularnym ruchem waliły rękami w oparcie, mamrocząc przy tym od rzeczy, a trzecia bez ustanku kołysała się na boki niczym uszkodzony metronom o ludzkim kształcie. Ta, która zawsze cuchnęła moczem, złapała go za rękę.

- Czy ty jesteś Gulio? Czy ty jesteś Gulio?

- Nie, pani Antonio - odpowiedziała siostra Immacolata, pochylając się i głaszcząc staruszkę po krótkich siwych włosach. - Gulio właśnie stąd wyszedł. Nie pamięta pani? Przyniósł pani to śliczne zwierzątko. - Pielęgniarka wzięła małego, zniszczonego misia z kolan kobiety i włożyła w jej rękę.

Staruszka spojrzała na nią pytająco i w jej oczach widać było bezmierne niezrozumienie, które tylko śmierć może wymazać.

- Gulio? - powtórzyła.

- Tak, proszę pani. Gulio podarował pani tego małego misia. Śliczny, prawda?

Stara kobieta wzięła maskotkę do ręki i zwróciła się do Brunettiego z pytaniem:

- Czy ty jesteś Gulio?

Siostra Immacolata wzięła go pod ramię i poprowadziła dalej, mówiąc:

- Pana matka przyjęła w tym tygodniu komunię świętą. Mam wrażenie, że jej samopoczucie znacznie się poprawiło.

- Jestem tego pewny.

Brunetti uprzytamniał sobie niekiedy, że gdy tu przychodzi, zachowuje się podobnie jak człowiek, który szykuje się na przyjęcie fizycznego bólu, na przykład ma dostać zastrzyk albo wyjść na dojmujące zimno - spina mięśnie i tak bardzo koncentruje uwagę na tym, by znieść ten ból, że nic innego do niego nie dociera. Nie doświadczał skurczu mięśni, natomiast odczuwał skurcz duszy - o ile coś takiego w ogóle jest możliwe.

Gdy zatrzymali się przy drzwiach do pokoju matki, opadły go wspomnienia i zaatakowały jak furie. Przypomniał sobie wspaniałe chwile, gdy

wszyscy śmiali się i śpiewali, a czysty sopranowy głos matki dominował nad pozostałymi; przypomniał sobie jej histeryczny płacz, gdy powiedział, że chce się ożenić z Paolą. Jeszcze tego samego wieczoru dała mu złotą bransoletę, jedyny podarunek od ojca, jaki jej pozostał, i kazała dać Paoli, ponieważ bransoleta zawsze należała do żony najstarszego syna.

Wysilek woli wystarczył, by wspomnienia pierzchły. Zobaczył przed sobą białe drzwi i biały habit siostry Immacolaty. Pielęgniarka otworzyła drzwi i weszła do środka, nie zamykając ich za sobą.

- Proszę pani, przyszedł pani syn. - Zbliżyła się do przygarbionej staruszki, która siedziała pod oknem. - Jak to miło, że pani syn przyszedł z wizytą.

Brunetti stał przy drzwiach. Gdy pielęgniarka kiwnęła na niego głową, wszedł do pokoju, zostawiając za sobą otwarte drzwi, tak jak go nauczono.

- Dzień dobry, panie komisarzu - powiedziała pielęgniarka, głośno i wyraźnie wymawiając słowa. - Bardzo się cieszę, że mógł pan odwiedzić matkę. Dobrze wygląda, prawda?

Brunetti zrobił kilka kroków do przodu i stanął z rękami odchyłonymi na boki, z dala od ciała.

- *Buon di, Mamma* - powiedział z uśmiechem. - To ja, Guido. Przyszedłem cię odwiedzić. Jak się miewasz?

Nie odrywając oczu od Brunettiego, staruszka chwyciła pielęgniarkę za rękę, pociągnęła ku sobie i szepnęła jej coś do ucha.

- Skądże, proszę pani. Proszę tak nie mówić. To dobry człowiek, pani syn, Guido. Przyszedł panią odwiedzić i spytać, jak się pani czuje.

Pielęgniarka uklękła i pogładziła ją po ręce. Staruszka spojrzała na zakonnice, powiedziała do niej coś jeszcze i przeniosła wzrok na stojącego w bezruchu Brunettiego.

- To on zabił moje dziecko! - zaczęła nagle krzyczeć. - Znam go. Znam! To on zabił moje dziecko!

- Kołysząc się na boki, znowu krzyknęła donośnym głosem: - Pomocy, pomocy! On przyszedł zabić moje dzieci!

Siostra Immacolata mocno objęła ją ramieniem i szepnęła coś do ucha. Nic nie mogło jednak uspokoić lęku i gniewu starej kobiety, która tak silnie odepchnęła ją od siebie, że przewróciła na podłogę.

Zakonnica natychmiast poderwała się i odwróciła do Brunettiego. Potrząsnęła przecząco głową. Trzymając ręce tak, żeby były dobrze widoczne, Brunetti wycofał się z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Przez kilka minut jego uszu dochodziły dzikie wrzaski, które potem zaczęły stopniowo cichnąć. W tle, na zasadzie niższego kontrapunktu, dało się słyszeć cichy głęboki głos młodej zakonnicy, która uspokajała staruszkę, aż w końcu jej lęki powoli zanikły. Brunetti wciąż stał pod drzwiami, nie odrywając od nich wzroku.

Po jakichś dziesięciu minutach siostra Immacolata wyszła z pokoju.

- Tak mi przykro, panie komisarzu. Naprawdę mi się wydawało, że w tym tygodniu czuje się lepiej. Po przyjęciu komunii była taka spokojna.

- Niech siostra nie przeprasza. Takie rzeczy się zdarzają. Czy nic się siostrze nie stało?

- Nie, nie. Biedactwo, nie wiedziała, co robi. Nie, nic mi nie jest.

- Czy coś jest jej potrzebne? - spytał.

- Pana matka ma wszystko, czego potrzebuje.

Brunetti miał raczej wrażenie, że jego matka nie ma niczego, co jest jej potrzebne, ale jego odczucie wynikało chyba z tego, że ani teraz, ani w przyszłości jego matce nic już nie będzie potrzebne.

- Siostra jest taka miłosierna.

- To Bóg jest miłosierny, panie komisarzu. My jesteśmy tylko Jego służebnicami.

Brunetti nie znalazł na to odpowiedzi. Żegnając się, długo trzymał dłoni zakonnicy w obu rękach.

- Bardzo siostrze dziękuję.

- Niech pana Bóg błogosławi i da panu siłę.

Rozdział 16

Minął tydzień i Maria Lucrezia Patta już nie znajdowała się w centrum zainteresowania pracowników weneckiej komendy. W czasie weekendu dwóch kolejnych ministrów podało się do dymisji; obaj głośno zarzekali się, że ich decyzja nie jest w żaden sposób związana z posądzzeniami o udział w ostatnich aferach dotyczących łapówkarstwa i korupcji. Policjanci, podobnie jak reszta Włochów, zazwyczaj ziewali, czytając o takich wydarzeniach, i szybko przerzucali strony gazet, by zajrzeć do działu sportowego. Ale ponieważ jeden z urzędników był ministrem sprawiedliwości, pracownicy komendy śledzili bieg wydarzeń ze szczególnym zainteresowaniem i snuli domysły, czyje jeszcze głowy będą spadały po stopniach Kwirynału.

Choć ta afera należała do największych w ciągu ostatnich dziesięcioleci - czy kiedykolwiek słyszało się o małych aferach? - rozpowszechniło się mniemanie, że sprawie ukręci się głowę, wszystko zostanie zatuszowane, tak jak to miało miejsce poprzednio w tego rodzaju sytuacjach. Gdy Włoch weźmie sobie taki temat na język, nic nie jest w stanie go powstrzymać i zazwyczaj wymienia zaraz całą litanię sensacyjnych wydarzeń - Ustica, PG2, śmierć papieża Jana Pawła I czy Sindona - których okoliczności zostały skutecznie utajnione. Choć Maria Lucrezia Patta opuściła miasto w dramatycznych okolicznościach, nie należało oczekiwać, że będzie cieszyła się równym zainteresowaniem co osoby stojące na tak zawrotnej wysokości. Życie w komendzie wróciło do normy i jedyną godną uwagi nowiną było to, że transwestyta znaleziony w zeszłym tygodniu w Mestre okazał się dyrektorem Banku Werony; na miłość boską, dyrektor banku, kto by się tego spodziewał! - mawiano.

Jedna z sekretarek pracujących w biurze paszportowym kilka bloków dalej usłyszała tego ranka w barze, że Mascari był znany w Mestre, a to, czym się zajmował podczas wyjazdów służbowych, stanowiło tajemnicę poliszyneła. W innym barze krążyła wiadomość, że jego małżeństwo było na lipę i służyło mu za parawan. Słyszając to, jeden z gości zawołał, że pewno żona Mascariego nosi ten sam rozmiar ubrania, w przeciwnym razie po co by się z nią żenił. Jakiś sklepikarz, handlujący owocami na moście Rialto, twierdził, powołując się na wiarogodne źródło, że Mascari zawsze był taki, nawet w czasach szkolnych.

Późnym rankiem głos opinii publicznej umilkł dla zaczerpnięcia oddechu, ale po południu wszyscy już wiedzieli nie tylko o jego śmierci i że doprowadził do niej „plugawy zawód”, który uprawiał mimo ostrzeżeń nielicznych przyjaciół znających jego tajemnicę, lecz także o tym, że jego żona nie zgłosiła się po odbiór ciała i nie zamierza urządzić chrześcijańskiego pogrzebu.

Brunetti nie zważał na krążące po mieście pogłoski i o jedenastej udał się na umówione spotkanie z wdową. Wcześniej zadzwonił do Banku Werony, gdzie poinformowano go, że przed tygodniem do ich oddziału w Mesynie zatelefonował mężczyzna, który przedstawił się jako Mascari i powiedział, że jest zmuszony odłożyć swój przyjazd na dwa tygodnie, może miesiąc. Nie próbowano zweryfikować tej wiadomości, gdyż nie było powodu wątpić w jej prawdziwość.

Mieszkanie Mascarich znajdowało się na trzecim piętrze budynku, drugiego z kolei od Via Garibaldi, głównej ulicy Castello. Drzwi otworzyła wdowa, która wyglądała podobnie jak dwa dni temu, z tą różnicą, że była ubrana w czarny kostium, a wokół jej oczu widać było wyraźniejsze ślady zmęczenia.

- Dzień dobry pani. Jestem wdzięczny, że zechciała pani spotkać się ze mną dzisiaj.

- Proszę wejść - odparła i odsunęła się od drzwi.

- *Permesso*.

Wszedł do mieszkania i przez moment sądził, że przeniesiono go w inne

miejsce, że już tu kiedyś był. Dopiero gdy rozejrzał się wokoło, uzmysłowił sobie, skąd wzięło się to uczucie. Mieszkanie wyglądało niemal tak samo jak mieszkanie staruszki z Campo San Bartolomeo i sprawiało wrażenie zamieszkanego od pokoleń przez tę samą rodzinę. Pod przeciwległą ścianą stał identyczny ciemny kredens, a pluszowe obicia dwóch foteli i kanapy miały ten sam niewyraźny wzór na zielonym tle. Okiennice były zamknięte, chroniły wnętrze przed słońcem lub ludzką ciekawością.

- Może podać panu coś do picia? - spytała pani Mascari uprzejmie.

- Nie, bardzo dziękuję. Proszę, aby poświęciła mi pani trochę czasu. Chciałbym zadać kilka pytań.

- Tak, rozumiem.

Usiadła na grubo wyściełanym fotelu, a Brunetti zajął miejsce na drugim. Zdjęła z oparcia kawałek nitki, zwinęła ją w palcach i włożyła do kieszeni żakietu.

- Nie wiem, czy słyszała pani, jakie pogłoski krążą o śmierci pani męża.

- Wiem, że znaleziono go w kobiecym ubraniu - powiedziała cicho, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego gardła.

- Skoro tak, to zapewne nie zdziwią pani pewne pytania.

Kiwnęła głową i spuściła wzrok na swoje ręce. Brunetti mógł sformułować pytania albo w sposób bezwzględny, albo niezręczny. Wybrał to drugie.

- Czy ma lub miała pani podstawy sądzić, że mąż idzie za tego rodzaju skłonnościami?

- Nie rozumiem pana - odparła, choć sens jego słów był jasny.

- Że ma pociąg do transwestytyzmu. - Brunetti uściślił swoje pytanie, a jednocześnie przeszło mu przez myśl, że mógł po prostu powiedzieć „jest transwestytą” i tyle.

- To wykluczone.

Brunetti milczał, czekając na jej wyjaśnienie. Ona jednak tępo

powtórzyła:

- To wykluczone.

- Czy pani mąż przyjmował dziwne telefony albo listy?

- Nie rozumiem pana.

- Czy rozmawiał z kimś przez telefon, a potem wydał się pani przygnębiony albo zatroskany? Może sprawiał takie wrażenie po otrzymaniu jakiegoś listu? Czy ostatnio mąż czymś się martwił?

- Niczego takiego nie zauważyłam.

- Powrócę do pierwszego pytania. Czy zachowanie pani męża kiedykolwiek wskazywało na tego rodzaju zainteresowania?

- Mężczyznami? - spytała dyszkantem, który wyrażał niewiarę, a także coś innego, może obrzydzenie.

- Tak.

- Nie, nigdy. To posądzenie jest potworne. Oburzające. Nie pozwalam panu wyrażać się w ten sposób o moim mężu. Leonardo był mężczyzną.

Brunetti zauważył, że ręce zacisnęła w pięści.

- Proszę okazać mi trochę cierpliwości. Chcę tylko zrozumieć, co się stało, i dlatego tak panią wypytuję. Ale to nie znaczy, że uznaję krążące pogłoski za prawdziwe.

- W takim razie dlaczego zadaje pan te pytania? - spytała zaczepnie.

- Abyśmy dowiedzieli się, jakie były prawdziwe okoliczności śmierci pani męża.

- Nie będę odpowiadać. Te pytania są nieobyczajne.

Brunetti chciał wtrącić, że morderstwo też jest nieobyczajne, ale się powstrzymał.

- Czy przez ostatnie kilka tygodni mąż zachowywał się inaczej niż poprzednio?

Jak było do przewidzenia, odparła:

- Nie rozumiem pana.

- Czy, na przykład, mówił coś o podróży do Mesyny? Czy jechał tam z ochotą? A może z niechęcią?

- Nie, zachowywał się tak jak zwykle.

- To znaczy?

- Musiał jechać. To należało do jego obowiązków służbowych i musiał się z nich wywiązać.

- Czy mówił coś na ten temat?

- Nie, po prostu powiedział, że musi wyjechać.

- I w czasie takich podróży nie dzwonił do pani?

- Nie.

- Dlaczego?

Pani Mascari wyczuła, że Brunetti nie zadowolili się zdawkową odpowiedzią, i oświadczyła:

- Bank nie pozwalał wliczać prywatnych rozmów telefonicznych w koszt delegacji. Leonardo czasem dzwonił do znajomego w biurze i prosił go, żeby zatelefonował do mnie. Ale nie zawsze tak było.

- Rozumiem - odparł Brunetti, a w duchu zdziwił się, że dyrektor banku nie chce pokryć kosztów rozmów telefonicznych z żoną. - Czy państwo mają dzieci?

- Nie - odpowiedziała natychmiast.

- Czy pani mąż miał bliskich przyjaciół w banku? Wspomniała pani o znajomym, do którego dzwonił - czy mógłbym znać jego nazwisko?

- Dlaczego chce pan skontaktować się z nim?

- Mogło się zdarzyć, że pani mąż rozmawiał z kolegami w biurze o wyjeździe do Mesyny i może dał im odczuć, jakie jest jego nastawienie do tego wyjazdu. Chciałbym spotkać się ze znajomym pani męża i spytać go, czy dostrzegł coś dziwnego w jego zachowaniu.

- Jestem pewna, że niczego takiego nie dostrzegł.

- Mimo to chciałbym z nim porozmawiać. Czy mogłaby pani podać mi

jego nazwisko?

- Marco Ravello. Ale on nie będzie w stanie nic panu powiedzieć. Mój mąż był najzupełniej normalny. - Obrzuciła Brunettiego ostrym spojrzeniem i powtórzyła: - Mój mąż był najzupełniej normalny.

- Nie będę pani więcej kłopotał. - Brunetti wstał z fotela i skierował się do drzwi. - Czy wiadomo, kiedy odbędą się uroczystości pogrzebowe?

- Msza jest jutro, o dziesiątej.

Nie powiedziała, w którym kościele, i Brunetti nie zapytał. Dowie się tego bez trudu i weźmie udział w ceremonii.

Przy drzwiach zatrzymał się, mówiąc:

- Bardzo pani dziękuję. Proszę przyjąć moje kondolencje. Zapewniam panią, że zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby znaleźć osobę odpowiedzialną za śmierć pani męża. - Nasunęło mu się pytanie, dlaczego słowo „śmierć” zawsze brzmi lepiej niż „morderstwo”.

- Mój mąż nie był taki. Przekona się pan o tym. Był mężczyzną.

Brunetti nie wyciągnął ręki, skłonił tylko głowę i zamknął za sobą drzwi. Schodząc po schodach, pomyślał o końcowej scenie z *Domu Bernardy Alba* - matka krzyczy do publiczności i do całego świata, że jej córka umarła jako dziewica. Dla Brunettiego istotny był tylko fakt śmierci, reszta była próżnością.

Wróciwszy na komendę, Brunetti zaprosił Vianella do swego pokoju, mieszczącego się dwa piętra wyżej.

Łudził się nadzieją, że tam doleci jakiś powiew wiatru. Otworzył okna, zdjął marynarkę i spytał:

- Dowiedziałeś się czegoś o Lega?

- Nadia spodziewa się, że w nagrodę za swoje starania zostanie umieszczona na naszej liście płac, panie komisarzu - powiedział Vianello, siadając na krześle. - Podczas weekendu spędziła ponad dwie godziny rozmawiając przez telefon ze znajomymi w całym mieście. Bardzo interesująca

jest ta Lega della Moralita.

Brunetti był przekonany, że Vianello i tak opowie tę historię na swój sposób, ale przyszło mu na myśl dodać do tego jakiś miły element.

- Jutro rano pójdę na most Rialto i kupię jej kwiaty - obiecał. - To wystarczy, jak myślisz?

- Sądzę, że wolałaby, żebym w przyszłą sobotę był w domu - odparł Vianello.

- A co ci zlecili?

- Mam być na łodzi, którą przyplynie z lotniska minister środowiska. Dobrze wiemy, że i tak nie przybędzie do Wenecji, w ostatniej chwili odwoła wizytę. Sądzi pan, że zdobędzie się na przyjazd tutaj w sierpniu, gdy miasto śmierdzi wodorostami, i roztoczy wizję nowego, wspaniałego projektu ochrony środowiska? - Vianello zaśmiał się z pogardą; niedawne przejścia zdrowotne skłoniły go do zainteresowania się również nową partią zielonych. - Po co miałbym marnować czas w sobotni poranek i jechać na lotnisko tylko po to, żeby dowiedzieć się, że on nie przyjedzie?

Jego argumentacja była w pełni przekonująca dla Brunettiego. Minister - by użyć określenia Vianella - nie zdobędzie się na to, żeby osobiście pojawić się w Wenecji, i to w miesiącu, gdy połowę plaż na wybrzeżu Adriatyku zamknięto dla kąpiących się, bo poziom zanieczyszczeń jest zbyt wysoki. Na pewno nie zjawi się w mieście, którego mieszkańców niedawno poinformowano, że ryby, które stanowią podstawę ich pożywienia, zawierają niebezpiecznie wysokie ilości rtęci i innych metali ciężkich.

- Zobaczą, co da się zrobić - powiedział Brunetti.

Ucieszony z tego, że może zyska coś więcej niż kwiaty, Vianello wyjął notes i zaczął relacjonować informacje zebrane przez żonę.

- Lega powstała jakieś osiem lat temu, ale nikt dobrze nie wie, kto i w jakim celu ją założył. Ponieważ uważa się, że jej działalność polega na czynieniu dobrych uczynków, na przykład dostarczaniu zabawek do sierocińców

czy posiłków dla mieszkających samotnie starców, zawsze cieszyła się dobrą opinią. Z upływem lat miasto i niektóre kościoły przekazały temu stowarzyszeniu prawo do administrowania częścią lokali mieszkalnych, które mają być tanio lub bezpłatnie wynajmowane osobom starszym i niepełnosprawnym. - Vianello przerwał na chwilę i dodał: - Ponieważ w tym stowarzyszeniu działają wyłącznie wolontariusze, Lega uzyskała pozwolenie na zarejestrowanie się jako organizacja charytatywna.

- Co oznacza - wtrącił Brunetti - że nie musi płacić podatków i, ciesząc się zwyczajową przychylnością rządu dla organizacji charytatywnych, spodziewa się, że jej finanse nie będą dokładnie sprawdzane, a może w ogóle nie będą sprawdzane.

- Nasze serca biją w jednym rytmie, panie komisarzu. - Brunetti wiedział, że poglądy polityczne Vianella uległy zmianie, ale nie spodziewał się, że także jego sposób wysławiania się.

- Dziwne jest to, panie komisarzu, że Nadia nie zdołała natrafić na nikogo, kto rzeczywiście jest członkiem Lega. Okazało się, że nawet ta kobieta z banku też nie jest członkiem. Mnóstwo ludzi twierdzi, że zna kogoś, kto w ich mniemaniu jest członkiem stowarzyszenia, ale gdy Nadia zaczęła ich przyciskać, okazało się, że nie mają co do tego pewności. Rozmawiała z dwiema osobami, o których powszechnie mówiono, że są członkami, ale okazało się to plotką.

- A te dobre uczynki? - spytał Brunetti.

- Też trudno dowiedzieć się czegoś konkretnego. Nadia dzwoniła po szpitalach, ale żaden z nich nigdy nie kontaktował się z Lega. Zatelefonowałem do biura opieki społecznej, które zajmuje się starcami, ale żaden z pracowników nie słyszał, by ktoś z Lega zrobił coś dobrego dla tych ludzi.

- A sierocińce?

- Nadia rozmawiała z matką przełożoną zakonu, który prowadzi trzy największe sierocińce w mieście. Zakonnica słyszała o tym stowarzyszeniu, ale nigdy nie otrzymała od nich żadnej pomocy.

- Dlaczego Nadia sądziła, że ta urzędniczka z banku należy do stowarzyszenia? - zainteresował się Brunetti.

- Ponieważ ma mieszkanie, którym administruje Lega. Ale nigdy nie była członkiem i, jak twierdzi, nie zna nikogo, kto nim jest. Nadia wciąż szuka kogoś z członków.

Brunetti się zamyślił. Jeśli Nadia wyceni koszt i tych poszukiwań, Vianello prawdopodobnie poprosi o wolne do końca miesiąca.

- A co z Santomaurem? - spytał.

- Wszyscy twierdzą, że jest szefem, ale nikt nie wie, jak nim został. Co ciekawsze, nikt nie, ma pojęcia, co oznacza bycie szefem.

- Czy oni nie zwołują zebrań?

- Podobno zwołują. W domach parafialnych albo w prywatnych mieszkaniach. Ale tak jak poprzednio, Nadia nie zdołała znaleźć nikogo, kto w tych zebraniach uczestniczył.

- Rozmawiałeś z chłopcami z policji skarbowej?

- Sądziłem, że tym zajmie się Elettra.

Elettra? - pomyślał Brunetti. Co to ma być: bezceremonialność neofity?

- Prosiłem panią Elettrę, żeby sprawdziła Santomaura w swoim komputerze, ale dzisiaj jeszcze jej nie widziałem.

- Chyba jest w archiwum - wyjaśnił Vianello.

- Co wiadomo o jego życiu zawodowym?

- Pasma sukcesów. Reprezentuje dwie największe firmy budowlane w mieście, dwóch radców miejskich i co najmniej trzy banki.

- Czyżby jednym z nich był Bank Werony?

Vianello zerknął do notesu i przerzucił kilka kartek do tyłu.

- Tak - poświadczył. - Skąd pan wiedział?

- Nie wiedziałem, ale w tym banku pracował Mascari.

- Dwa plus dwa jest cztery, prawda?

- Powiązania polityczne? Jak sądzisz? - spytał Brunetti.

- Mając dwóch radców miejskich jako klientów? - odpowiedział pytaniem na pytanie Vianello.

- A jego żona?

- Niewiele o niej wiadomo, ale podobno to ona rządzi w rodzinie.

- A zatem jest rodzina?

- Dwóch synów. Jeden jest architektem, drugi lekarzem.

- Idealna włoska rodzina - zauważył Brunetti.

- Czego dowiedziałeś się o Crespie?

- Czytał pan jego akta z Mestre?

- Tak. Zwykła sprawa. Narkotyki. Próbował wymusić pieniądze od klienta. Nie doszło do użycia przemocy. Żadnych niespodzianek. Dowiedziałeś się czegoś więcej?

- Niewiele ponad to - odparł Vianello. - Był dwa razy pobity i za każdym razem twierdził, że nie wie, kto jest sprawcą. Za drugim razem... - policjant przerwał i zaczął przerzucać w przód kartki w notesie. - O, już mam. Oświadczył, że „osaczyła go szajka złodziei”.

- „Osaczyła go”?

- Tak jest napisane w raporcie. Dokładnie to przepisałem.

- Pan Crespo jest chyba miłośnikiem literatury.

- Co nie wychodzi mu na zdrowie, śmiem twierdzić.

- Czy dowiedziałeś się o nim coś więcej? Jakie nazwisko jest podane w kontrakcie na wynajem mieszkania, które zajmuje?

- Nie wiem. Sprawdzę.

- Zobacz też, czy pani Elettra nie mogłaby sprawdzić stanu finansów Lega, Santomaura, Crespa i Mascariego. Oświadczenia podatkowe, wyciągi z rachunków bankowych, pożyczki. Tego rodzaju informacje powinny być dostępne.

- Ona będzie wiedziała, jak się tego dowiedzieć - stwierdził Vianello, zapisując pytania w notesie. - Coś jeszcze?

- To wszystko. Powiadom mnie, gdy czegoś się dowiesz albo gdy Nadia znajdzie członka Lega.

- Tak jest, panie komisarzu - powiedział Vianello, wstając z krzesła. - Nic lepszego nie mogło się wydarzyć.

- Co masz na myśli?

- Nadię wciągnęła ta sprawa. Wie pan, jak to było przez lata - nie lubiła, gdy pracowałem do późna albo w weekendy. Ale gdy raz zasmakowała tego, zaczęła działać jak pies gończy. Szkoda, że pan nie słyszał, jak rozmawia przez telefon. Potrafi wyciągnąć od ludzi wszystko. Powinniśmy zatrudniać wolnych strzelców.

Rozdział 17

Gdyby Brunetti pospieszył się, zdążyłby do Banku Werony przed zamknięciem - zakładając, że biuro, które mieściło się na drugim piętrze i raczej nie posiadało odpowiedniej przestrzeni do świadczenia ludności usług bankowych, przestrzegało zwyczajowych godzin urzędowania. Przybył na miejsce o dwunastej dwadzieścia i stwierdziwszy, że drzwi wejściowe są zamknięte, przycisnął guzik dzwonka obok mosiężnej tabliczki z nazwą banku. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i Brunetti wszedł do tego samego ciasnego korytarza, w którym w sobotnie popołudnie rozmawiał ze starszą panią.

Drzwi banku były zamknięte. Nacisnął dzwonek. Usłyszał czyjeś kroki. Otworzył wysoki mężczyzna o jasnych włosach, zdecydowanie nie ten, który wyszedł stąd w sobotę po południu.

- *Buon giorno*. - Brunetti wyjął z kieszeni legitymację. - Nazywam się Guido Brunetti i jestem komisarzem w weneckiej komendzie. Chciałbym rozmawiać z panem Ravello.

- Proszę zaczekać. - Wysoki blondyn zamknął drzwi tak szybko, że Brunetti nie zdążył mu w tym przeszkodzić.

Minęła co najmniej minuta, zanim drzwi znowu się otworzyły, i tym razem pracownik, który w nich stanął, nie był ani wysokim blondynem, ani mężczyzną widzianym wcześniej na schodach.

- Słucham? - powiedział do Brunettiego w taki sposób, jakby spoglądał na złudzenie optyczne.

- Chciałbym rozmawiać z panem Ravello.
- Kogo mam przedstawić?
- Już mówiłem pana koledze. Komisarz Brunetti.

- Ach tak, proszę zaczekać.

Brunetti był już przygotowany na takie przyjęcie: lekko uniósł nogę, gotowy wepchnąć ją między drzwi, gdy tylko zauważy, że się zamykają - nauczył się tej sztuczki z amerykańskich kryminałów, ale nigdy jeszcze jej nie zastosował.

Tym razem również nie nadarzyła się po temu okazja. Mężczyzna w drzwiach powiedział:

- Proszę wejść, panie komisarzu. Pan Ravello jest w swoim gabinecie i chętnie pana przyjmie.

To stwierdzenie było niewątpliwie na wyrost, ale Brunetti uznał, że człowiek ma prawo do wyrażania własnych poglądów.

Główne pomieszczenie biura zajmowało taką samą przestrzeń co mieszkanie starszej pani. Mężczyzna poprowadził Brunettiego przez pokój, który odpowiadał jej salonowi: miał takie same cztery duże okna wychodzące na plac. Przy biurkach siedziało trzech urzędników w ciemnych garniturach, ale żaden z nich nie oderwał wzroku od ekranu komputera, gdy Brunetti przechodził obok. Mężczyzna zatrzymał się przed drzwiami, które prowadziły do pomieszczenia odpowiadającego kuchni starszej pani. Zapukał i wszedł do środka, nie czekając na pozwolenie.

Pokój miał mniej więcej te same wymiary co kuchnia staruszki, ale w miejscu gdzie tam znajdował się zlew, tutaj stały rzędy szaf na akta. Zamiast stołu z marmurowym blatem umieszczono szerokie dębowe biurko, za którym siedział wysoki, ciemnowłosy mężczyzna ubrany w białą koszulę i ciemny garnitur. Brunetti natychmiast rozpoznał w nim człowieka, który pracował w tym biurze w sobotę po południu, a potem wsiadł do tramwaju wodnego. Miał taki sam wykrój ust i taki sam długi patrycjuszowski nos. Te rysy, w połączeniu z wąskimi oczami i gęstymi ciemnymi brwiami, powodowały, że wzrok patrzącego padał na środek twarzy, pomijając włosy, bardzo gęste i kędzierzawe.

- Nazywam się Guido Brunetti. Jestem komisarzem policji - przedstawił się.

Ravello wstał i wyciągnął rękę nad biurkiem.

- Zapewne powodem pana wizyty jest to potworne zdarzenie z Mascarim - powiedział, po czym zwrócił się do pracownika: - Dziękuję, Aldo. Zajmę się panem komisarzem.

Pracownik wyszedł z gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

- Proszę usiąść - zaproponował Ravello i obszedł biurko, żeby przysunąć z drugiej strony jedno z dwóch stojących w pokoju krzeseł z prostymi oparciami. Gdy Brunetti usiadł, wrócił za biurko i usiadł na swoim miejscu. - To potworne, potworne - powtórzył. - Rozmawiałem z zarządem banku w Weronie. Nikt z nas nie wie, co począć z tą sprawą.

- Chodzi o znalezienie następcy Mascariego? Miał tu stanowisko dyrektora, czyż nie tak?

- Tak, był dyrektorem. Ale nasz kłopot nie polega na znalezieniu następcy. To zostało już załatwione.

Choć te słowa miały najwyraźniej posłużyć jako wstęp do przedstawienia prawdziwych trudności, z jakimi boryka się bank, Brunetti mimo to zapytał:

- A kogo mianowano jego następcą?

Ravello uniósł wzrok, zdziwiony tym pytaniem.

- Ja nim zostałem, jako zastępca dyrektora. Ale, jak wspomniałem, nie to jest powodem naszych zmartwień.

Brunetti z własnego doświadczenia wiedział, że jedynym zmartwieniem banku jest to, ile pieniędzy zarobi lub straci.

- A co tak panów martwi? - spytał z zaciekawieniem.

- Ten skandal. Ten okropny skandal. Przecież pan wie, że my, bankierzy, musimy być bardzo dyskretni i bardzo ostrożni.

Brunetti wiedział, że nie mogą pójść do kasyna ani wystawić złego czeku, gdyż grozi to wyrzuceniem z pracy, ale te wymagania wobec ludzi, którym

powierzono pieniądze innych, trudno chyba uznać za wygórowane.

- O jakim skandalu pan mówi?

- Jest pan komisarzem policji, więc zna pan okoliczności śmierci Leonarda.

Brunetti kiwnął głową.

- Niestety podano je do publicznej wiadomości zarówno tu, jak i w Weronie - ciągnął Ravello. - Już mieliśmy sporo telefonów od naszych klientów, którzy od lat prowadzili interesy z Leonardem. Trzej przenieśli wkłady do innego banku. W wyniku decyzji dwóch z nich nasz bank poniósł poważne straty. Z taką reakcją spotykamy się już pierwszego dnia.

- Pana zdaniem okoliczności śmierci pana Mascariego miały wpływ na te decyzje?

- Naturalnie. Czyż nie jest to dla pana oczywiste? - W głosie Ravanella nie czuło się złości, lecz zatroskanie.

- Czy ma pan powody przypuszczać, że następni klienci zaczną likwidować swoje konta?

- Może tak, a może nie. Konkretnie straty, o których wspomniałem, łączymy bezpośrednio ze śmiercią Leonarda. Ale o wiele bardziej martwi nas niewymierny uszczerbek, jaki poniesie bank.

- A mianowicie?

- Mam na myśli ludzi, którzy nie zechcą u nas inwestować. Ludzi, którzy usłyszawszy albo przeczytawszy o tej sprawie, będą woleli powierzyć swoje fundusze innemu bankowi.

Brunetti chwilę się nad tym zastanowił i nasunęło mu się spostrzeżenie, że bankierzy niechętnie używają słowa „pieniądze” i zamiast tego brzydkiego określenia wymyślają szeroki wachlarz innych terminów: fundusze, finanse, inwestycje, kapitał płynny, aktywa. Eufemizmy zazwyczaj stosuje się w odniesieniu do spraw odstręczających, takich jak śmierć czy funkcje fizjologiczne. Czyżby w takim razie pieniądze miały w sobie coś z gruntu

plugawego, co język bankierów stara się zamaskować lub wyeliminować? Brunetti z powrotem skupił uwagę na Ravanellim.

- Czy orientuje się pan, jakiego rzędu straty wchodzi w rachubę?

- Nie - odparł bankier tonem, jakby wspominał śmierć bliskiej osoby. -

Tego nie da się oszacować.

- A te konkretne straty, jak pan to ujął, opiewają na jaką kwotę?

Ravello nagle stał się czujny.

- Czy mógłbym wiedzieć, dlaczego chce pan uzyskać tę informację? - spytał.

- Ściśle mówiąc, nie chodzi mi o uzyskanie akurat tej informacji, panie Ravello. Wciąż jesteśmy na wstępnym etapie śledztwa i staram się zebrać możliwie jak najwięcej informacji, z najróżniejszych źródeł. Nie wiem, które okażą się istotne. Stwierdzimy to dopiero wówczas, gdy zgromadzimy wszelkie możliwe do uzyskania wiadomości na temat pana Mascariego.

- Rozumiem, rozumiem - odparł Ravello. Sięgnął po skoroszyt i podsunął go Brunettiemu. - Tu znajdzie pan liczby, panie komisarzu. Właśnie to przeglądałem. - Otworzył skoroszyt i przejechał palcem po komputerowym wydruku nazwisk i cyfr. - Łączna wartość kapitału wycofanego z dwóch wspomnianych depozytów, bo ten trzeci jest właściwie bez znaczenia, wynosi około ośmiu miliardów lirów.

- I nastąpiło to dlatego, że Mascari miał na sobie sukienkę? - Brunetti celowo sformułował swą uwagę z taką przesadą.

Ravello ledwo ukrył niesmak, jaki wzbudziło w nim tak niepoważne podejście do sprawy.

- Nie, panie komisarzu, nie dlatego że miał na sobie sukienkę, lecz dlatego że takie zachowanie świadczy o zasadniczym braku poczucia odpowiedzialności, a nasi inwestorzy, być może słusznie, są zaniepokojeni, czy ów brak poczucia odpowiedzialności nie cechował Mascariego również w życiu zawodowym.

- I wobec tego klienci dają dyla, zanim okaże się, że Mascari doprowadził bank do bankructwa, wykosztowując się na pończochy i koronkową bieliznę?

- Nie widzę powodu do żartów, panie komisarzu - stwierdził Ravello tonem, który na pewno ściał z nóg niejednego dłużnika.

- Chciałem jedynie poddać myśl, że byłoby to przesadną reakcją na śmierć tego człowieka.

- Ale jego śmierć jest aż nadto kompromitująca.

- Dla kogo?

- Z pewnością dla banku. Ale jeszcze bardziej dla samego Leonarda.

- Panie Ravello, nawet jeśli okoliczności śmierci pana Mascariego zdają się go kompromitować, nie mamy dowodów, które to niezbicie potwierdzają.

- Czyż nie znaleziono go przebranego za kobietę?

- Panie Ravello, jeśli przebiorę pana za małpę, nie oznacza to, że pan nią jest.

- Co chce pan przez to powiedzieć? - spytał Ravello, już nie kryjąc złości.

- Dokładnie to, co powiedziałem. Fakt, że w chwili śmierci pan Mascari miał na sobie sukienkę, wcale nie oznacza, że był transwestytą. W rzeczy samej, nie oznacza też, że prowadził życie w jakimkolwiek stopniu rozwiązłe.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział Ravello.

- Podobnie jak inwestorzy, o których pan wspomniał.

- Nie mogę w to uwierzyć z innych powodów, panie komisarzu - rzekł Ravello, po czym zamknął skoroszyt i odłożył na bok.

- A jakich?

- Ciężko mi o tym mówić... - Przełożył skoroszyt na drugą stronę.

Zapadło milczenie.

- Proszę kontynuować, panie Ravello - przynaglił go Brunetti.

- Byłem przyjacielem Leonarda. Być może jego jedynym bliskim przyjacielem. - Bankier patrzył w dół na swoje ręce. - Wiedziałem o tym -

wyznał cicho.

- O czym?

- O tym przebieraniu się. I o chłopcach. - Rumieńce wyszły mu na policzki. Wciąż patrzył w dół, na ręce.

- Skąd pan to wiedział?

- Od Leonarda. - Przerwał i wziął głęboki oddech. - Pracowaliśmy razem przez dziesięć lat. Nasze rodziny były zaprzyjaźnione. Leonardo był ojcem chrzestnym mojego syna. Nie sądzę, by miał innych bliskich znajomych. - Ravello umilkł, jakby nie potrafił z siebie nic więcej wydobyć.

Przez chwilę Brunetti nie przerywał ciszy i w końcu spytał:

- Jak on to panu powiedział? W jakich słowach?

- W którąś niedzielę siedzieliśmy tutaj, zajęci pracą, tylko we dwóch. W piątek i sobotę nie działały komputery, dopiero w niedzielę mogliśmy znowu na nich pracować. Siedzieliśmy przy terminalach w głównym biurze, gdy on po prostu mi to powiedział.

- Co panu powiedział?

- To było bardzo dziwne, panie komisarzu. Zauważyłem, że przestał pracować, i pomyślałem, że chce mi coś powiedzieć albo zapytać o jakąś transakcję, którą zapisywał w komputerze. Wobec tego przerwałem pracę i spojrzałem na niego. - Ravello urwał, wracając myślami do tamtej sytuacji. - Powiedział tylko tyle: „Wiesz, Marco, podobają mi się chłopcy”. Potem pochylił się nad komputerem i wrócił do pracy, tak jakby właśnie podał mi numer transakcji albo cenę akcji. To było bardzo dziwne.

Znowu nastąpiła cisza.

- Czy później rozwinął to stwierdzenie, powiedział coś więcej? - spytał Brunetti po dłuższej chwili.

- Tak. Tamtego popołudnia, gdy skończyliśmy pracować, zapytałem go, co miał wtedy na myśli, a on mi wyjaśnił.

- Co powiedział?

- Że podobają mu się chłopcy, a nie kobiety.
- Chłopcy czy mężczyźni?
- *Ragazzi*. Chłopcy.
- Czy wspomniał o przebieraniu się?
- Wtedy nie, ale mówił o tym z miesiąc później. Jechaliśmy pociągiem do naszej centrali w Weronie i gdy przejeżdżaliśmy przez Padwę, zobaczyliśmy na peronie kilku transwestytów. Wtedy mi powiedział.
- Jak pan na to zareagował?
- Oczywiście byłem zaskoczony. Nigdy nie podejrzewałem Leonarda o takie skłonności.
- Ostrzegł go pan?
- Przed czym?
- Że może stracić swoją pozycję w banku.
- Naturalnie. Powiedziałem mu, że jeśli ktoś się o tym dowie, jego kariera legnie w gruzach.
- Dlaczego miałoby tak być? Przecież wielu homoseksualistów pracuje w banku.
- Nie w tym rzecz. Chodziło o przebieranie się. I o kurwy.
- Wyjawiał to panu?
- Tak. Wyznał mi, że korzysta z ich usług i czasem sam się tym zajmuje.
- Czym?
- Jak to nazwać... proponuje mężczyznom seks. Za pieniądze. Ostrzegłem go, że doprowadzi się do zguby. - Ravello umilkł na chwilę i dodał: - I rzeczywiście doprowadził się do zguby.
- Dlaczego nie poinformował pan o tym policji?
- Właśnie to zrobiłem. Powiedziałem panu wszystko.
- Tak, ale to ja przyszedłem tu, by zadać panu kilka pytań. Pan się z nami nie skontaktował.
- Nie widziałem powodu, żeby niszczyć jego reputację - oświadczył w

końcu Ravello.

- Biorąc pod uwagę to, co powiedział mi pan o klientach banku, nie wydaje mi się, że pozostało tak wiele do zniszczenia.

- Nie przywiązywałem do tego wagi - stwierdził bankier, ale widząc wyraz twarzy Brunettiego, wyjaśnił: - To znaczy, miałem wrażenie, że wszyscy dali już temu wiarę, więc nie widziałem powodu, by zawieść jego zaufanie.

- Wydaje mi się, że pan coś przede mną ukrywa - powiedział Brunetti.

Bankier odpowiedział na jego spojrzenie i szybko odwrócił wzrok.

- Chciałem również ochronić bank - oznajmił - przekonać się, czy Leonardo popełnił jakąś... nieostrożność.

- Czy wśród finansjery tak określa się defraudację?

Grymas na ustach Ravello był po raz kolejny świadectwem jego opinii co do sposobu, w jaki Brunetti dobiera słowa.

- Chciałem mieć pewność, że w wyniku jego nieostrożności bank w żadnej mierze nie ucierpiał.

- Co pan przez to rozumie?

- No dobrze, komisarzu - zniecierpliwił się Ravello. - Chciałem sprawdzić, czy wszystkie rachunki są w porządku, czy niczego nie brakuje na kontach klientów i instytucji, które prowadził.

- Musiał pan mieć pracowity ranek.

- Nie pracowałem nad tym dziś rano, ale podczas weekendu. Prawie całą sobotę i niedzielę spędziłem przy komputerze, przejrzałem archiwa z ostatnich trzech lat. Tylko tyle zdążyłem zrobić.

- I co pan znalazł?

- Zupełnie nic. Wszystko się zgadza. Nawet jeśli w życiu prywatnym Leonarda panował zamęt, to jego życie zawodowe było doskonale uporządkowane.

- A gdyby okazało się, że było inaczej?

- Wówczas powiadomiłbym policję.

- Rozumiem. Czy może pan udostępnić nam kopie tych dokumentów?

- Oczywiście - odparł Ravello.

Brunetti był zaskoczony gotowością spełnienia tej prośby. Z własnego doświadczenia wiedział, że jeszcze bardziej niż pieniędzy banki strzegą posiadanych informacji i zazwyczaj udzielają ich jedynie na mocy nakazu sądowego. Jakież to miły i usłużny gest ze strony pana Ravello.

- Bardzo panu dziękuję. Pracownik komendy odbierze je od pana jutro.

- Dopilnuję, by je przygotowano.

- Chciałbym również, aby spróbował pan przypomnieć sobie, co jeszcze wyznał panu Mascari o swoim drugim, sekretnym życiu.

- Oczywiście. Sądzę jednak, że powiedziałem już wszystko.

- Może być tak, że emocje związane z tą sytuacją zacierają w pana pamięci wspomnienie jakichś innych, drobnych kwestii. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan zanotować sobie wszystko, co przyjdzie panu na myśl. Porozumiem się z panem za dzień lub dwa.

- Oczywiście - powtórzył Ravello z całą uprzejmością, zapewne wywołaną tym, że rozmowa najwyraźniej zbliżała się ku końcowi.

- Chyba nie mam już więcej pytań. - Brunetti wstał z krzesła. - Jestem wdzięczny, że poświęcił mi pan czas i rozmawiał ze mną tak otwarcie. Wiem, że jest panu teraz bardzo ciężko. Stracił pan nie tylko kolegę, ale również przyjaciela.

- Tak, rzeczywiście - przytaknął Ravello, kiwając głową.

- Jeszcze raz dziękuję panu za pomoc i poświęcony mi czas - powtórzył Brunetti i wyciągnął rękę na pożegnanie. Na chwilę zawiesił głos i dodał: - A także za szczerść.

Ravello raptownie uniósł głowę.

- Nie ma za co, komisarzu. - Wyszedł zza biurka, by odprowadzić Brunettiego. Razem z nim opuścił gabinet i towarzyszył mu do drzwi wyjściowych.

Jeszcze raz uścisnęli sobie ręce i Brunetti znalazł się na tych samych schodach, po których schodził za Ravellem w sobotnie popołudnie.

Rozdział 18

Z mostu Rialto Brunetti miał blisko do domu, ale nie miał ochoty szykować czegoś do jedzenia ani ryzykować dokończenia *insalata di calamari*, która stała w lodówce już cztery dni. W tej sytuacji poszedł do Corte dei Milion i w małej restauracyjce zjadł porządny obiad.

O trzeciej wrócił do biura i powziął myśl, by zejść na dół i porozmawiać z Pattą, nie czekając na jego wezwanie. W sekretariacie zastępcy komendanta zobaczył panią Elettę, która stała przy stole przysuniętym do ściany i plastikową butelką wlewała wodę do kryształowego wazonu z sześcioma długimi kalinami. Kwiaty były białe, ale nie dorównywały bieli jej bawełnianej bluzki, kontrastującej ze spódnicą purpurowego kostiumu. Na widok Brunettiego uśmiechnęła się i powiedziała:

- To niezwykle, ile one wypijają wody.

Nie znajdując stosownego komentarza, odpowiedział uśmiechem i spytał:

- Jest w gabinecie?

- Tak. Właśnie wrócił z obiadu. O wpół do piątej ma umówione spotkanie, więc jeśli pan chce z nim porozmawiać, lepiej zrobić to teraz.

- Czy wie pani, z kim ma się spotkać?

- Komisarzu, czy zamierza pan skłonić mnie do udzielenia panu poufnej informacji dotyczącej prywatnego życia zastępcy komendanta? - spytała, przyjmując ton osoby do głębi zaskoczonej pytaniem. - Nie uważam, bym powinna pozwalać sobie na ujawnianie takich rzeczy jak spotkanie zastępcy komendanta z jego adwokatem.

- Aha. - Brunetti spojrział na jej pantofle, które miały ten sam odcień purpury co spódnica. Pani Elettra pracowała u Patty niewiele dłużej niż tydzień.

- W takim razie zobaczę się z nim teraz.

Zapukał do drzwi gabinetu. Usłyszawszy przyzwalające avanti, wszedł do środka.

Zobaczył mężczyznę, który siedział za biurkiem i dlatego niewątpliwie był zastępcą komendanta, choć z wyglądu przypominał go tylko w takim stopniu, w jakim policyjne zdjęcie ukazuje podobieństwo do osoby sfotografowanej. Twarz Patta, zazwyczaj o tej porze roku opalona na kolor jasnego mahoni, teraz była pokryta chorobliwą bladością. Silny podbródek, którego widok zawsze przywodził Brunettiemu na myśl fotografie Mussoliniego widziane w podręcznikach historii, stracił swoją dumnie eksponowaną linię na tyle, że można było przypuszczać, iż lada dzień pojawią się pierwsze oznaki obwisłości. Patta miał starannie zawiązany krawat, ale kołnierz marynarki wymagał odczyszczenia. Ponadto krawat był pozbawiony szpilki, a klapy marynarki nie zdobił kwiat, co razem sprawiało dziwne wrażenie, jakby zastępca komendanta przybył do biura w negliżu.

- A, to ty, Brunetti - odezwał się. - Siadaj. Proszę, siadaj.

Brunetti pracował jako podwładny Patta od ponad pięciu lat i po raz pierwszy usłyszał z jego ust słowo „proszę”, które nie było wypowiedziane przez zaciśnięte zęby. Wykonał polecenie i czekał na kolejne cuda.

- Dziękuję ci za pomoc - zaczął Patta, przez sekundę spoglądając na Brunettiego i zaraz przenosząc wzrok w przestrzeń za jego plecami, tak jakby śledził lot fruwającego w pokoju ptaka. Ponieważ od wyjazdu Paoli na wakacje w domu nie pojawiały się świeże numery „Gente” ani „Oggi”, Brunetti nie miał pewności, czy zaprzestano publikować artykuły o pani Patcie i Tito Burrasce, ale przyjął, że to jest powodem wdzięczności przełożonego. Skoro szef uznał, że ten stan rzeczy należy przypisać przypuszczalnym powiązaniom Brunettiego ze światem dziennikarskim, rozwiewanie jego złudzeń było bezsensowne.

- Nie ma za co - odparł zgodnie z prawdą.

Patta kiwnął głową i spytał:

- Jak przebiega śledztwo w Mestre?

Brunetti krótko zrelacjonował, czego się do tej pory dowiedział, i poinformował o porannym spotkaniu z Ravellem oraz zapewnieniu bankiera, iż znane były mu skłonności Mascariego.

- Z tego wynika, że morderca jest jednym z jego, jak to się mówi, „klientów” - stwierdził Patta, powodowany swym nieomylnym instynktem do najbardziej oczywistych rozwiązań.

- Zakładając, panie komendancie, że w pana opinii mężczyźni w naszym wieku są seksualnie atrakcyjni dla innych mężczyzn.

- Nie wiem, o co ci chodzi - oświadczył Patta, przyjmując ton dobrze znany Brunettiemu.

- Wszyscy uznaliśmy, że denat albo był transwestytą, albo kurwą, i dlatego został zabity. Ale jedynym dowodem, na którym się opieramy, jest fakt, że znaleziono go ubranego w suknię, oraz zeznanie człowieka, który zdobył jego stanowisko.

- Pamiętaj, że ten człowiek jest dyrektorem banku - upomniał komisarza Patta, okazując niezmienny szacunek dla osób wysoko postawionych.

- I stał się nim w wyniku śmierci tamtego.

- Bankierzy nie zabijają się nawzajem, Brunetti - rzekł Patta z typową dla siebie absolutną pewnością.

Brunetti zbyt późno zdał sobie sprawę, czym grozi takie rozumowanie. Gdy tylko Patta dostrzeże korzyści, które niesie powiązanie śmierci Mascariego z jakimś brutalnym zdarzeniem w jego perwersyjnym życiu prywatnym, natychmiast uzna, że odnalezienie sprawcy morderstwa należy wyłącznie do policji w Mestre.

- Zapewne ma pan słuszność, panie komendancie - przyznał - ale w chwili obecnej nie możemy sobie pozwolić, aby prasa zarzuciła nam, iż w tej sprawie nie wykluczyliśmy innych ewentualności.

Słowo „prasa” podziałało na Pattę jak płachta na byka.

- W takim razie co proponujesz? - zapytał.

- Wydaje mi się, że oczywiście powinniśmy skoncentrować wysiłki na przeniknięciu świata transwestytów z Mestre, ale należy również wykonać przynajmniej pozorne ruchy w celu zbadania możliwych powiązań z bankiem, nawet jeśli obaj wiemy, iż są one mało prawdopodobne.

Siląc się na pełną godności manierę, Patta odparł:

- Nie jestem aż tak nierozsądny. Jeśli chcesz sprawdzić hipotezę, że ta śmierć ma jakiś związek z bankiem, nie będę się sprzeciwiał. Pamiętaj jednak, z kim masz do czynienia, i okaż tym ludziom szacunek należny ich pozycji.

- Naturalnie, panie komendancie.

- Zostawiam tę sprawę w twoich rękach, ale nie podejmuj żadnych działań wobec banku bez uprzedniego porozumienia się ze mną.

- Tak jest, panie komendancie. Coś jeszcze?

- To wszystko.

Brunetti wstał, przysunął krzesło do biurka i wyszedł bez słowa. W sekretariacie zastał panią Elettrę zajętą przeglądaniem akt.

- Czy udało się pani uzyskać jakieś informacje w sprawie finansów? - zagadnął ją.

- Czyich? - spytała z nieznacznym uśmiechem.

- Proszę? - Brunetti nie mógł pojąć sensu jej pytania.

- Santomaura czy Burraski?

Brunetti był tak pochłonięty śledztwem w sprawie śmierci Mascarięgo, że zapomniał, iż pani Elettra miała zebrać wszelkie informacje również o reżyserze filmowym.

- Och, ta sprawa zupełnie wyszła mi z głowy - przyznał. To, że pani Elettra wspomniała o Burrasce, było dla Brunettiego oczywistym świadectwem, że chce o nim porozmawiać. - Czego się pani o nim dowiedziała? - spytał.

Sekretarka położyła akta na boku biurka i spojrzała na Brunettiego tak, jakby była zdziwiona jego pytaniem.

- Burrasca wystawił na sprzedaż swoje mieszkanie w Mediolanie - oznajmiła. - Jego trzy ostatnie filmy były finansowym niepowodzeniem. A ponadto wierzyciele zajęli już willę, którą miał w Monako. Interesują pana dalsze informacje? - spytała z uśmiechem.

Brunetti kiwnął głową, zdumiony, skąd ta kobieta ma takie wiadomości.

- W Stanach Zjednoczonych postawiono go w stan oskarżenia, ponieważ tam prawo zabrania wykorzystywać dzieci w filmach pornograficznych. W Monako policja skonfiskowała wszystkie kopie jego ostatniego filmu. Nie dowiedziałam się, co było powodem tej decyzji.

- A podatki? Czyżbym zastał panią przy przeglądaniu kopii jego oświadczeń podatkowych?

- Ależ panie komisarzu - okazała wyraźną dezaprobatę - sam pan wie, jak trudno uzyskać informacje od urzędników skarbowych. - Umilkła na chwilę i, zgodnie z oczekiwaniem Brunettiego, dodała: - O ile nie zna się jednego z nich. Dopiero jutro dostanę te kopie.

- I wtedy poinformuje pani o wszystkim zastępcę komendanta?

Pani Elettra zaszczyciła go srogim spojrzeniem i rzekła:

- O nie, panie komisarzu, zaczekam z tym jeszcze kilka dni.

- Mówi pani poważnie?

- Nie zwykłam żartować sobie z zastępcy komendanta.

- Więc dlaczego każe mu pani czekać?

- A dlaczego by nie?

Jakichże drobnych upokorzeń musiała doświadczyć ta kobieta ze strony Patty w ciągu minionego tygodnia, skoro tak szybko i w taki sposób mu się odpłaca! - pomyślał Brunetti.

- A co z Santomaurem? - spytał.

- O, pan mecenas to zupełnie co innego. Jego finanse są w stanie wprost wyśmienitym. Posiada portfel akcji i obligacji wartych ponad pół miliarda lirów. Deklaruje roczne dochody w wysokości dwustu milionów lirów, co jest

przynajmniej dwukrotnie wyższą sumą, niż zazwyczaj deklaruje człowiek z jego pozycją.

- A podatki?

- W tym jest coś dziwnego. Wygląda na to, że płaci tyle, ile powinien. Nie ma żadnych dowodów na to, że dopuszcza się oszustwa.

- Z tonu pani głosu można sądzić, że nie daje pani temu wiary.

- Panie komisarzu - powiedziała sekretarka, znowu patrząc z wyrzutem na Brunettiego, choć już nie tak srogo jak poprzednio - przecież dobrze panu wiadomo, że nikt nie składa deklaracji podatkowych zgodnie z rzeczywistym stanem swoich finansów. Właśnie to jest takie dziwne. Jeśli pan mecenas deklaruje wszystkie swoje zarobki, to na pewno posiada inne źródło dochodów, w porównaniu z którymi jego deklarowany dochód jest tak mało znaczący, że nie warto uciekać się do oszustwa.

Brunetti zastanowił się nad tym przez chwilę i doszedł do wniosku, że w świetle istniejącego prawa podatkowego inna interpretacja nie jest możliwa.

- Czy pani komputer wskazał ewentualne źródło tych dochodów? - spytał.

- Nie, ale powiedział mi, że Santomauro jest przewodniczącym Lega della Moralita. Myśląc logicznie, należałoby pójść tym tropem.

- Czy moglibyście dowiedzieć się czegoś na temat Lega? - zaproponował Brunetti, patrząc znacząco na ekran komputera, by dać do zrozumienia, kogo ma na myśli używając liczby mnogiej.

- Już się za to zabrałam, komisarzu. Ale jak na razie Lega jest jeszcze bardziej niedostępna niż oświadczenia podatkowe Burraski.

- Ufam, że pani jest zdolna pokonać każdą przeszkodę.

Pani Elettra skłoniła głowę, przyjmując te słowa tylko w tej mierze, w jakiej były zasłużone.

Brunetti postanowił zadać nurtujące go od jakiegoś czasu pytanie.

- Skąd ma pani taką biegłość w operowaniu systemem komputerowym?

- Jakim? - spytała, unosząc głowę.

- Finansowym.

- Nabyłam jej w poprzedniej pracy - odparła i przeniosła wzrok na ekran komputera.

- A można wiedzieć, gdzie pani pracowała? - Przypuszczał, że pewno w agencji ubezpieczeniowej lub w biurze rozrachunkowym.

- W Banca d'Italia - powiedziała, nie odrywając oczu od ekranu komputera. Podniosła wzrok na Brunettiego, a widząc jego minę i uniesione brwi, dodała: - Byłam asystentką prezesa.

Nie trzeba być bankierem ani matematykiem, żeby mieć pojęcie, o ile zmniejszyła się jej pensja w wyniku takiej zmiany pracy. Co więcej, w opinii większości Włochów posada w banku gwarantowała całkowite bezpieczeństwo zatrudnienia - ludzie czekali latami, aby dostać pracę w banku, jakim bądź, a Banca d'Italia był niewątpliwie najbardziej atrakcyjny. I ta kobieta zatrudniła się jako sekretarka w policji? To było bezsensowne, nawet jeśli dwa razy w tygodniu dostawała kwiaty od Fantina. A przy tym pracowała nie tyle w policji, ile u Patty - i to wyglądało już na akt wyjątkowego szaleństwa.

- Rozumiem - powiedział, choć nic z tego nie rozumiał. - Mam nadzieję, że praca u nas da pani wiele zadowolenia.

- Jestem tego pewna, komisarzu. Czy chciałby pan, żebym uzyskała dla niego jeszcze inne informacje?

- Tymczasem nie. Bardzo pani dziękuję.

Udał się do swojego pokoju. Korzystając z bezpośredniego telefonu, wykręcił numer hotelu w Bolzano i poprosił o połączenie z panią Brunetti. Powiedziano mu, że pani Brunetti wyszła i wróci w porze kolacji. Nie zostawił żadnej wiadomości, podał tylko swoje nazwisko i skończył rozmowę.

Niemal natychmiast po odłożeniu słuchawki zadzwonił telefon. Brunetti usłyszał głos Padovaniego, który dzwonił z Rzymu z przeprosinami, że nie zdołał uzyskać dalszych informacji na temat Santomaura. Próbował porozumieć się ze znajomymi zarówno w Rzymie, jak i w Wenecji, ale wszyscy chyba

wyjechali na wakacje. Nie pozostało mu nic innego, jak zostawić wiadomość na automatycznych sekretarkach, prosząc, aby znajomi oddzwonili. Nie wyjaśniał, o czym chce z nimi porozmawiać. Brunetti podziękował mu za starania i powiedział, że jego prośba jest wciąż aktualna.

Skończywszy rozmowę z Padovanim, zaczął przerzucać leżące na biurku papiery, szukając raportu z sekcji zwłok Mascarięgo. Jeszcze raz dokładnie go przeczytał i na czwartej stronie znalazł poszukiwany fragment: „Kilka zadrapań i nacięć na nogach; brak śladów krwi na naskórku. Bez wątpienia skóra została podrapana ostrymi brzegami...” - tu lekarz sądowy chciał się trochę popisać i podał łacińską nazwę trawy, w której znaleziono ciało Mascarięgo.

Zmarli nie krwawią, a jest tak dlatego, że w żyłach i tętnicach nie ma ciśnienia, które powoduje, że krew wypływa na powierzchnię. Ten podstawowy w patologii fakt był znany Brunettiemu. Jeśli skóra została podrapana przez... - tu Brunetti głośno wymówił dźwięczną łacińską nazwę - to krwawienie nie wystąpiło dlatego, że Mascari już nie żył, gdy wyciągnięto go spod trawy. Ale jeśli ogolono mu nogi po śmierci, krwawienie też by nie wystąpiło.

Jedyną częścią ciała, którą Brunetti golił, była twarz, ale od lat widywał, jak Paola wodzi żyletką po łydce. Mnóstwo razy słyszał, że ciska stłumione przekleństwa w łazience, a potem ma w różnych miejscach na skórze przyklejone kawałeczki papieru toaletowego. Od czasu gdy się poznali, Paola goliła nogi regularnie, a mimo to zacięła się za każdym razem. Raczej wykluczone, aby mężczyzna w średnim wieku zdołał wykonać ten zabieg z większym niż Paola powodzeniem i nie zacięć się przy tym. Brunetti skłonny był sądzić, że w pewnej mierze życie małżeńskie wygląda podobnie u wszystkich ludzi. I dlatego, gdyby on niespodziewanie zaczął golić sobie nogi, Paola natychmiast zwróciłaby na to uwagę. Nie przypuszczał, aby pani Mascari mogła nie zauważyć, że jej mąż goli sobie nogi - nawet jeśli nie kontaktowali się podczas jego wyjazdów służbowych.

Ponownie spojrzął na raport z sekcji zwłok i przeczytał: „Nie stwierdzono

śladów krwawienia z nacięć na nogach denata”. Bez względu na czerwoną suknię i czerwone pantofle, bez względu na makijaż i damską bieliznę, uznał za wykluczone, aby pan Mascari ogolił sobie nogi, zanim spotkała go śmierć. Z tego wysnuł wniosek, że zrobił to ktoś inny po jego śmierci.

Rozdział 19

Brunetti siedział w biurze, łudząc się nadzieją, że po południu powieje wietrzyk i upał zelżeje. Ale ta nadzieja okazała się równie daremna jak pragnienie, by dostrzec związki między oderwanymi od siebie elementami prowadzonej sprawy. Brunetti był przekonany, że oznaki transwestytyzmu Mascariego zostały starannie spreparowane po jego śmierci, aby zamaskować prawdziwy powód dokonania zbrodni. Wobec tego Ravello - jedyny człowiek, któremu Mascari „się zwierzył” - skłamał i prawdopodobnie wiedział coś na temat popełnionego morderstwa. Choć Brunetti był przekonany, że bankier może zabić człowieka, z trudem by uwierzył, że dopuści się tego czynu, chcąc skrócić sobie drogę do awansu.

Ravello bez oporów przyznał, że tamten weekend spędził w biurze - co więcej, dobrowolnie udzielił Brunettiemu tej informacji. Tuż po ustaleniu tożsamości Mascariego jego postępowanie było sensowne: tak postąpiłby dobry przyjaciel. I każdy lojalny pracownik.

Ale dlaczego nie przedstawił się, gdy Brunetti telefonował w tamtą sobotę do banku? Dlaczego chciał zachować w tajemnicy fakt, że jest w banku, nawet przed anonimowym rozmówcą?

Na biurku zadzwonił telefon. Zadumany nad tymi pytaniami i otumaniony upałem, podniósł słuchawkę i przedstawił się.

- Muszę z panem porozmawiać - odezwał się męski głos. - Osobiście.
- Kto mówi?
- Wolałbym zachować to w tajemnicy.
- W takim razie ja wolałbym z panem nie rozmawiać. - Brunetti odłożył słuchawkę.

Tego rodzaju reakcja zazwyczaj na tyle oszalała dzwoniącego, że nie pozostawało mu nic innego, jak zadzwonić ponownie. Po kilku minutach telefon znowu się odezwał.

- Sprawa jest bardzo ważna - oznajmił mężczyzna.

- Równie ważne jest to, żebym wiedział, z kim rozmawiam - odparł Brunetti swobodnym tonem.

- Rozmawialiśmy w zeszłym tygodniu.

- Z mnóstwem osób rozmawiałem w zeszłym tygodniu, panie Crespo, ale niewielu zadzwoniło do mnie, mówiąc, że chcą się ze mną spotkać.

Przez dłuższy czas w słuchawce panowała cisza i Brunetti zaczął się obawiać, czy z kolei Crespo nie odłoży słuchawki, ale w końcu usłyszał:

- Chcę się z panem spotkać i porozmawiać.

- Właśnie rozmawiamy, panie Crespo.

- Mam kilka rzeczy, które chcę panu przekazać. Zdjęcia i papiery.

- Jakiego rodzaju zdjęcia i papiery?

- Sam pan zobaczy.

- Czego one dotyczą?

- Mascariego. Policja idzie fałszywym tropem.

Brunetti zgadzał się z tą opinią, ale głośno nie przyznał Crespowi słuszności.

- Dlaczego tak pan sądzi? - spytał.

- Powiem panu, gdy się spotkamy. - Najwyraźniej odwaga lub inne odczucia, które skłoniły go, żeby zadzwonił na policję, już się wyczerpywały.

- Gdzie chciałby pan się spotkać? - spytał Brunetti.

- Czy dobrze zna pan Mestre?

- Dość dobrze - odparł Brunetti. W razie czego mógł spytać Galia albo Vianella.

- Po drugiej stronie tunelu prowadzącego do dworca kolejowego jest parking. Trafi pan?

Było to jedno z nielicznych miejsc w okolicy Wenecji, gdzie można za darmo zaparkować. Trzeba tylko zostawić samochód na parkingu albo przy wysadzonej drzewami ulicy wiodącej do tunelu, a potem przejść podziemnym przejściem i wbiec na któryś z peronów, skąd odjeżdżają pociągi do Wenecji. Dziesięć minut jazdy pociągiem i człowiek nie musi płacić za parkowanie, czekać w kolejce na wolne miejsce ani uiszczać opłaty w Tronchetto.

- Trafię.

- Tam się spotkamy. Dziś wieczorem.

- O której?

- Dość późno. Przedtem muszę coś załatwić i nie wiem, ile czasu mi to zajmie.

- O której?

- Będę tam o pierwszej w nocy.

- Gdzie pan będzie czekał?

- Kiedy wyjdzie pan z tunelu, proszę pójść do pierwszej przecznicy i skrócić w lewo. Przyjadę jasnoniebieską pandą i zaparkuję po prawej stronie.

- Dlaczego pytał pan o parking?

- Bez powodu. Chciałem się upewnić, czy pan zna to miejsce. Wolałbym nie czekać na parkingu. Za dużo tam świateł.

- W porządku. Spotkam się z panem.

- To dobrze. - Crespo odłożył słuchawkę.

Brunetti był ciekaw, kto namówił Crespa, by do niego zadzwonił. Ani przez chwilę nie wierzył, by Crespo miał w tym własny cel albo sam coś ukartował - tacy ludzie nigdy nie kontaktują się z policją. Najprawdopodobniej ktoś chce prowadzących śledztwo nastraszyć albo nawet zastosować jakieś silniejsze środki - nic łatwiejszego, jak skusić komisarza, by znalazł się w miejscu publicznym, i dopaść go tam o pierwszej w nocy.

Zadzwonił do Mestre i poprosił o połączenie z sierżantem Gallo. Powiedziano mu, że został wysłany na kilka dni do Mediolanu, gdzie ma

składać zeznania w sądzie. Może chciałby porozmawiać z sierżantem Buffo, który przejął obowiązki Galla? Brunetti nie skorzystał z tej propozycji i skończył rozmowę.

Zadzwoił do Vianella, zapraszając go do swojego pokoju. Gdy sierżant wszedł, Brunetti wskazał mu krzesło i opowiedział o rozmowie z Crespem oraz o telefonie do Galla.

- Co o tym sądzisz? - spytał.

- Moim zdaniem chcą wyciągnąć pana z Wenecji na otwarty teren, gdzie nie będzie pan miał porządnej ochrony. A więc powinien pan pojechać z obstawą.

- Czego mogą się dopuścić?

- Mogą kazać komuś czekać w samochodzie, ale zapewne spodziewają się, że wyślemy tam naszych ludzi. Mogą zlecić komuś, aby przejechał tamtędy samochodem lub motocyklem i potrącił pana albo spróbował zastrzelić.

- Rzucą bombę? - spytał Brunetti, mimo woli odczuwając zimny dreszcz na wspomnienie zdjęć zrobionych po zamachach bombowych na sędziów i polityków.

- Nie sądzę. Pan nie jest aż tak ważną osobistością - stwierdził Vianello.

Marne pocieszenie, ale dobre i to, pomyślał Brunetti.

- Dzięki - odparł. - Wydaje mi się, że wyślą kogoś, kto przejedzie ulicą.

- Co pan zamierza zrobić?

- Umieścimy naszych ludzi przynajmniej w dwóch domach, po jednym na końcu i na początku ulicy. I jeśli znajdziesz ochotnika, posadź go na tylnym siedzeniu samochodu. Przy takim upale w zamkniętym samochodzie ledwo da się wytrzymać. W sumie już potrzebujemy do tego trzech funkcjonariuszy. Chyba nie będę mógł wyznaczyć większej liczby.

- No cóż, ja nie zmieszczę się na tylnym siedzeniu i nie mam szczególnej ochoty sterczeć w jakimś domu na czatach, ale mógłbym zaparkować samochód za rogiem, jeśli tylko zdołam nakłonić którąś z funkcjonariuszek, żeby mi

towarzyszyła i przez pewien czas czuliła się do mnie.

- Może pani Elettra zgłosi się na ochotnika? - powiedział Brunetti ze śmiechem.

- Ja nie żartuję, komisarzu - odparł Vianello ostrym tonem, jak zwykle. - Znam tę ulicę. Moja ciotka z Treviso zawsze zostawia tam samochód, kiedy przyjeżdża do nas w odwiedziny, a ja potem ją tam zawożę. Często widzę samochody z siedzącymi w środku ludźmi. Jeden czy dwa więcej nie robi różnicy.

Brunetti już miał spytać, jak Nadia przyjmie ten pomysł, ale rozmyślił się i powiedział:

- No dobrze, ale ona musi zgłosić się na ochotnika do tej akcji. Jeśli wyniknie z tego jakaś groźna sytuacja, wolałbym, żeby kobieta nie była w to wmieszana. - Zanim Vianello zdążył zaproponować, dodał: - Nawet jeśli jest policjantką.

Czyżby Vianello wznosił oczy do nieba, słysząc te słowa? Tak się Brunettiemu zdawało, ale pominął to milczeniem i spytał tylko:

- Coś jeszcze, sierzancie?

- Ma pan być tam o pierwszej?

- Tak.

- Pociągi nie kursują tak późno. Będzie pan musiał dojechać autobusem i przejść od stacji tunelem.

- A jak wrócę do Wenecji? - spytał Brunetti.

- To zależy od tego, co się wydarzy.

- Zapewne.

- Zobaczą, czy uda mi się znaleźć kogoś, kto zgodzi się jechać z tyłu samochodu - powiedział Vianello.

- Kto pracuje w tym tygodniu na nocną zmianę?

- Riverre i Alvisse.

- Och! - westchnął Brunetti, zawierając w tym słowie wszystko.

- Na nich przypada dyżur.
- W takim razie umieść ich na czatach w domach.

Żaden nie chciał otwarcie powiedzieć, że gdyby któryś z tych policjantów znalazł się na tylnym siedzeniu samochodu, zwyczajnie zapadłby w sen. Oczywiście, to samo może się zdarzyć, jeśli zostaną umieszczeni na straży w domach, ale wtedy, być może, powodowani ciekawością mieszkańcy zmuszą ich do czuwania.

- A pozostali? Sądziś, że uda ci się znaleźć ochotników? - spytał Brunetti.

- Bez trudu. Rallo będzie chciał w tym uczestniczyć. Spytam też Marię Nardi. Jej mąż wyjechał na tygodniowy kurs do Mediolanu, więc może się zgodzić. Poza tym to się będzie liczyło jako nadgodziny, prawda?

Brunetti kiwnął głową i powiedział z naciskiem:

- Uprzedź ich jasno i wyraźnie, że akcja może być niebezpieczna.
- Niebezpieczna? W Mestre? - Sierżant zaśmiał się niefrasobliwie. - Czy weźmie pan ze sobą radio?

- Chyba nie, skoro wszyscy czworo będziecie tak blisko.

- W każdym razie my dwoje - poprawił go Vianello, oszczędzając Brunettiemu zażenowania, jakie odczułby wyrażając się lekceważąco o niższych rangą funkcjonariuszach.

- Skoro mamy być na nogach całą noc, powinniśmy przedtem udać się na odpoczynek do domu. - Brunetti spojrzął na zegarek.

- Do zobaczenia, panie komisarzu. - Sierżant Vianello wstał z krzesła.

Vianello miał rację, mówiąc, że o tej porze pociągi do Mestre nie będą kursować. Brunettiemu nie pozostało nic innego, jak pojechać autobusem numer 1 i wysiąść - jako ostatni pasażer - na przystanku naprzeciw stacji kolejowej w Mestre.

Wszedł po schodach do budynku dworca, potem zszedł innymi schodami

do tunelu pod torami i znalazł się po drugiej stronie stacji. Wyszedł na spokojną, wysadzoną drzewami ulicę, mając za plecami dobrze oświetlony parking pełen samochodów zostawionych tu na całą noc. Po obu stronach ulicy, którą zobaczył przed sobą, stały samochody oświetlone słabym światłem nielicznych latarni. Brunetti poszedł prawym chodnikiem, gdzie drzew było mniej, a tym samym więcej światła. Na pierwszym skrzyżowaniu przystanął i rozejrzał się wokoło. W czwartym samochodzie stojącym po drugiej stronie za przecięciem ulic zobaczył parę złączoną w namiętym uścisku. Głowę mężczyzny zasłaniała głowa kobiety, więc nie miał pewności, czy w samochodzie siedzi Vianello, czy też ktoś inny, kto używa niedozwolonych przyjemności.

Skierował wzrok na biegnącą w lewo przecznicę i bacznie przyjrzał się budynkom po obu stronach. Z niższych frontowych okien domu stojącego w połowie drogi do następnej przecznicy sączyło się mdłe światło telewizora; pozostałe były ciemne. W oknach dwóch pobliskich domów siedzą Riverre i Alvisè, pomyślał Brunetti, ale nie miał ochoty spojrzeć w ich kierunku, obawiając się, że potraktują to jako swego rodzaju sygnał i przybiegną mu na pomoc.

Skręcił w lewo i wypatrywał jasnoniebieskiej pandy przy prawym krawężniku. Doszedł do końca ulicy, ale nie znalazł takiego samochodu, zawrócił więc i poszedł z powrotem tą samą drogą. Cisza. Z przodu na rogu zauważył duży kosz na śmieci i przeszedł na drugą stronę ulicy, przypomniawszy sobie zdjęcia marnych resztek samochodu sędziego Falcone. Na ulicy pojawił się zjeżdżający z ronda samochód, zwolnił i skierował się w stronę Brunettiego, który cofnął się za dwa zaparkowane auta, ale samochód pojechał dalej na parking. Kierowca wysiadł i zniknął w tunelu prowadzącym na dworzec.

Dziesięć minut później Brunetti ponownie przeszedł tą samą ulicą, tym razem zaglądając do każdego z zaparkowanych samochodów. W jednym z nich zobaczył leżący z tyłu na podłodze koc i, czując duchotę doskwierającą nawet

tu, na otwartej przestrzeni, ze współczuciem pomyślał o leżącej pod nim osobie.

Po półgodzinie doszedł do wniosku, że Crespo się nie pojawi. Wrócił na skrzyżowanie i skręcił w lewo, w stronę pary wciąż czulącej się na przednich siedzeniach samochodu. Gdy zapukał w maskę, Vianello oderwał się od rozplomionej funkcjonariuszki Marii Nardi i wysiadł.

- Nic się nie dzieje. - Brunetti zerknął na zegarek. - Dochodzi druga.

- No to wracamy - odparł Vianello. W jego głosie wyraźnie czuło się ton zawodu. Wsadził głowę do samochodu i powiedział do policjantki: - Skontaktuj się z Riverrem i Alvisem. Niech jadą za nami do Wenecji.

- A ten człowiek w samochodzie? - spytał Brunetti.

- Przyjechali z nim Riverre i Alvis. Zaraz opuszczą posterunki, spotkają się przy samochodzie i odjadą.

W samochodzie funkcjonariuszka Nardi rozmawiała przez radio z dwoma policjantami, informując ich, że nikt się nie pojawił i wracają do Wenecji. Spojrzała w górę na Vianella.

- W porządku, sierzancie. Wyjdą za kilka minut. - Wysiadła z samochodu i otworzyła tylne drzwi.

- Proszę tam zostać - powiedział Brunetti. - Usiądę z tyłu.

- To żadna fatyga, komisarzu - odparła z nieśmiałym uśmiechem i dodała:

- A poza tym chętnie pobędę z dala od sierżanta.

Spojrzenia Brunettiego i Vianella zbiegły się nad dachem samochodu. Sierżant uśmiechnął się z zakłopotaniem. Wsiedli do auta. Vianello przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył i rozległ się cichy dźwięk brzęczyka.

- Co to takiego? - zdziwił się Brunetti. Jak dla większości weneccjan, także dla niego funkcjonowanie samochodu stanowiło ogromną zagadkę.

- Przypomnienie o konieczności zapięcia pasów bezpieczeństwa - wyjaśnił sierżant, przeciągając przez pierś swój pas i zapinając go przy dźwigni zmiany biegów.

Brunetti siedział bez ruchu. Brzęczenie nie ustawało.

- Nie możesz tego wyłączyć, Vianello? - zniecierpliwił się po chwili.

- Samo się wyłączy, gdy zapnie pan pas.

Brunetti wymamrotał pod nosem, jak to nie znosi urzędzeń, które mówią mu, co należy robić. Zapiął jednak pas i znowu wymamrotał coś o jeszcze jednej ekologicznej bzdurze Vianella. Sierżant udał, że nie słyszy, wrzucił bieg i ruszył. Przy końcu ulicy zaczekali kilka minut, aż dołączy do nich drugi samochód. Za kierownicą siedział Riverre, obok niego Alvise, a z tyłu drzemał ktoś trzeci.

O tej porze jezdnie były niemal puste i szybko wjechali na drogę prowadzącą do Ponte della Liberta.

- Jak pan myśli, co się stało? - spytał Vianello.

- Wydawało mi się, że zaaranżowano to spotkanie, żeby mnie nastraszyć, ale może myliłem się i Crespo rzeczywiście chciał się ze mną spotkać.

- Co pan teraz zrobi?

- Jutro go odwiedzę i spytam, dlaczego nie przyszedł.

Wjechali na most i zobaczyli z przodu światła miasta. Po obu stronach rozciągała się czarna płaszczyzna wody, z lewej usiana odbitymi światłami z odległych wysp Murano i Burano. Vianello przyspieszył, chcąc szybko odstawić wóz do garażu i wrócić do domu. Wszyscy byli zmęczeni i zawiedzeni. Jadący tuż za nimi samochód niespodziewanie wjechał na środkowy pas. Riverre śmignął do przodu, a Alvise wychylił się przez okno, machając radośnie ręką.

Widząc to, funkcjonariuszka Nardi pochyliła się do przodu, dotknęła ramienia Vianella i powiedziała coś, ale nagle umilkła. Utkwiła wzrok we wstecznym lusterku, w którym niespodziewanie pojawiły się dwa oślepiające światła. Zacisnęła palce na ramieniu Vianella.

- Uważaj!...

Jadący za nimi samochód gwałtownie skręcił w lewo, wyprzedził ich i umyślnie walnął w dekiel lewego przedniego koła. Uderzyli w barierkę mostu.

Vianello obrócił kierownicę, ale zrobił to za wolno; tył wozu zarzuciło i

znaleźli się na środku jezdni. Jadący z wariacką prędkością samochód śmignął z prawej strony, wciskając się między nich a barierkę. Następnie tyłem wozu uderzyli w barierkę po lewej stronie, obrócili się o sto osiemdziesiąt stopni i zatrzymali na środku jezdni, zwróceni w kierunku Mestre.

Brunetti - oszołomiony i na tyle otumaniały, że nie wiedział, czy coś go boli - widział przez roztrzaskaną przednią szybę załamujące się światła reflektorów nadjeżdżających samochodów. Jeden, potem drugi przejechał koło nich z prawej strony. Brunetti odwrócił się w lewo i zobaczył wiszącego na pasach Vianella. Odpiął swój pas i chwycił Vianella za ramię.

- Nic ci się nie stało, Lorenzo?

Sierżant otworzył oczy i odwrócił głowę w jego stronę.

- Chyba nie - odparł.

Brunetti odpiął jego pas. Vianello nie upadł, dalej siedział prosto.

- Chodź. - Brunetti otworzył drzwi po swojej stronie. - Wyłaź z samochodu. Jeszcze któryś z tych maniaków wpadnie na nas. - Wskazał palcem światła jadących z Mestre wozów, widoczne przez rozbitą szybę.

- Wezwę Riverrego - powiedział Vianello i pochylił się, by włączyć radio.

- Nie trzeba. Przejechało sporo samochodów. Zawiadomią posterunek na Piazzale Roma.

Istotnie, z drugiej strony mostu usłyszeli wycie syreny. Za chwilę pojawiły się niebieskie, migające światła wozów policyjnych pędzących pod prąd w ich kierunku.

Brunetti wysiadł i otworzył tylne drzwi auta. Funkcjonariuszka Maria Nardi leżała na tylnym siedzeniu, a jej szyja była wygięta pod dziwnym i nienaturalnym kątem.

Rozdział 20

Tak jak było do przypuszczenia, ani Brunetti, ani Vianello niestety nie zauważyli marki samochodu, który w nich uderzył, nie pamiętali nawet koloru ani wielkości auta, choć na pewno było duże, skoro zepchnęło ich na bok z taką siłą. Kierowcy przejeżdżających samochodów albo nie dostrzegli, co się dzieje, gdyż byli w zbyt dużej odległości od nich, albo nie zgłosili się na policję, choć mijali ich dostatecznie blisko. Nie ulegało wątpliwości, że po uderzeniu w nich auto pojechało dalej do Piazzale Roma, zawróciło i pomknęło z powrotem na ląd stały, zanim policja otrzymała meldunek o wypadku.

Funkcjonariuszka Nardi zmarła na miejscu; w miejskim szpitalu dokonano sekcji zwłok, której wynik tylko potwierdził oczywiste przypuszczenie, jakie nasuwało ułożenie ciała.

- Miała zaledwie dwadzieścia trzy lata. - Vianello unikał wzroku Brunettiego. - Meżatka od pół roku. Jej mąż wyjechał na jakiś kurs komputerowy. Cały czas w samochodzie mówiła tylko o tym, że nie może się doczekać jego powrotu i bardzo tęskni. Siedzieliśmy przez godzinę twarzą w twarz, a ona mówiła tylko o nim. Była jeszcze dzieciakiem.

Brunetti nie wiedział, co powiedzieć. Milczał.

- Gdybym kazał jej zapiąć pas, przeżyłaby.

- Lorenzo, przestań - odparł Brunetti ostrym tonem, ale bez gniewu.

Prowadzili tę rozmowę po powrocie na komendę. W pokoju Vianella czekali, aż ich meldunek z przebiegu zdarzeń zostanie przepisany na maszynie i po podpisaniu go będą mogli iść do domu.

- Możemy tak rozmawiać przez całą noc - powiedział Brunetti. - Ja nie powinienem był pójść na spotkanie z Crespem. Powinienem był uznać, że jest to

zbyt podejrzane, a potem utwierdzić się o podejrzeniach, widząc, że nic się w Mestre nie dzieje. Za chwilę dojdziemy do wniosku, że powinniśmy byli pojechać tam samochodem opancerzonym.

Vianello nie patrzył na Brunettiego. Z lewej strony czoła miał duży guz, lekko już siniejący.

- Postąpiliśmy tak, a nie inaczej, i ona nie żyje - stwierdził matowym głosem.

Brunetti dotknął ręki sierżanta, mówiąc:

- Nie my ją zabiliśmy, Lorenzo, ale człowiek w tamtym samochodzie. Musimy go znaleźć.

- To nie pomoże Marii - rzekł z goryczą Vianello.

- Nic już nie pomoże Marii Nardi. Obaj o tym wiemy, Lorenzo. Ale chcę dopaść człowieka z tamtego samochodu i chcę dopaść ludzi, którzy go nasłali.

Vianello kiwnął głową.

- Co z jej mężem? - spytał.

- O co pytasz?

- Zawiadomi go pan? - W głosie sierżanta dało się wyczuć coś więcej niż pytanie. - Ja się na to nie zdobędę.

- Gdzie on jest?

- W hotelu Impero w Mediolanie.

Brunetti kiwnął głową.

- Rano się z nim skontaktuję. Po co budzić biedaka teraz i przedłużać jego boleść.

Ubrany po cywilnemu policjant wszedł do pokoju i przyniósł oryginały ich zeznań oraz po dwie kserograficzne odbitki. Obaj przeczytali maszynopisy, podpisali oryginały i kopie, a następnie zwrócili je policjantowi.

- Czas iść do domu, Lorenzo. Minęła już czwarta. Dzwoniłeś do Nadii?

Vianello kiwnął głową. Zadzwoił do niej przed godziną.

- Maria długo nie mogła znaleźć pracy. Jej ojciec był policjantem, więc

użył swoich wpływów i załatwił jej tę posadę. Wie pan, komisarzu, co tak naprawdę chciała robić?

- Nie chcę o tym rozmawiać, Lorenzo.

- Wie pan, co tak naprawdę chciała robić?

- Lorenzo. - W cichym głosie Brunettiego zabrzmiała ostrzegawcza nuta.

- Chciała być nauczycielką w szkole podstawowej, ale wiedziała, że nie ma tam etatów, więc wstąpiła do policji.

Rozmawiali o tym idąc przez hol w stronę podwójnych drzwi. Na widok Brunettiego umundurowany strażnik zaszalutował. Gdy wyszli na zewnątrz, niemal ogłuszył ich świergot ptaków, które siedziały pośród gałęzi drzew na Campo San Lorenzo, po drugiej stronie kanału. Mroki nocy zaczęły się rozpraszać, ale światło zapowiadało jedynie jasność, która przemienia świat nie dający się przeniknąć w świat oferujący nieskończone możliwości.

Z rękami w kieszeniach stali nad brzegiem kanału, spoglądając na drzewa i na śpiewające ptaki. Obaj czuli niespodziewany chłód powietrza w porze poprzedzającej świtanie.

- To nie powinno się zdarzyć - powiedział Vianello. - *Arrivederci*, panie komisarzu. - Skręcił w prawo, w stronę swojego domu.

Brunetti poszedł w stronę mostu Rialto, pogrążony w smutku. Wyciągnęli ręce po niego, a zabili Marię. Zgnietli jak muchę. Ot tak. Dopiero co ta młoda kobieta chciała powiedzieć coś koledze; lekko, serdecznie położyła rękę na jego ramieniu; otworzyła usta. Co zamierzała powiedzieć? Jakiś żart? Oświadczyć Vianellowi, że tam w samochodzie się zgrywała? A może jeszcze raz wyrazić swoją tęsknotę za mężem? Nikt się tego nie dowie.

Zadzwoni do jej męża, ale jeszcze nie teraz. Niech ten młody człowiek prześpi noc, zanim doświadczy tak wielkiego bólu. Brunetti zdawał sobie sprawę, że nie może - przynajmniej teraz - opowiedzieć mu o ostatniej godzinie w życiu Marii, którą spędziła w samochodzie z Vianellem; na to się nie zdobędzie. Powie mu później, gdy młody człowiek będzie w stanie to przyjąć,

dopiero wtedy gdy ustanie jego wielki ból.

Przy moście Rialto zobaczył, że do nabrzeża zbliża się tramwaj wodny. Zdecydował się natychmiast. Dobiegł do przystanku, wsiadł na łódź i wysiadł przy dworcu kolejowym, skąd pojechał pierwszym porannym pociągiem na drugi kraniec grobli. Wiedział, że Galla nie zostanie w komendzie, wziął więc taksówkę z dworca w Mestre i podał kierowcy adres Crespa.

Nawet nie zauważył, gdy nastał dzień, a wraz z nim upał, jeszcze bardziej dotkliwy w tym mieście chodników i jezdni, betonowych powierzchni i wysokich budynków. Niemal z radością przyjął ciężką do zniesienia temperaturę i wilgotność powietrza, które odciągały jego uwagę od wydarzeń tej nocy i od tego, co obawiał się zobaczyć w mieszkaniu Crespa. Mimo wczesnej pory w windzie działała klimatyzacja. Brunetti przycisnął guzik; szybko i bezszelestnie wjechał na siódme piętro. Zadzwoił do mieszkania Crespa, ale nikt nie podchodził do drzwi. Zadzwoił drugi raz i trzeci, długo trzymając palec na dzwonku. Ani znaku życia.

Wyjął portfel, a z niego mały metalowy pasek. Któregoś dnia Vianello przez całe popołudnie uczył go, jak się tym posługiwać, i choć Brunetti nie był szczególnie zdolnym uczniem, otworzenie zamka zabrało mu teraz mniej niż dziesięć sekund. Przeszedł przez próg.

- Panie Crespo! Drzwi do mieszkania są otwarte. Gdzie pan jest? - Ostrożność nigdy nie zawadzi, pomyślał.

W salonie nie zastał nikogo. Kuchnia lśniła, nieskazitelnie wysprzątana. Crespo był w sypialni, na łóżku, ubrany w żółtą jedwabną piżamę. Wokół szyi miał zaciśnięty kabel telefoniczny; nabrzmiała twarz wyglądała potwornie, niczym karykatura przystojnego mężczyzny.

Brunetti nawet nie rozejrzał się po pokoju i nie szukał pozostawionych śladów; tak długo pukał do drzwi sąsiada, aż wyrwał go ze snu, za co został obrzucony wyzwiskami. Zanim przyjechała ekipa z laboratorium, Brunetti zdążył zadzwonić do męża Marii Nardi, do Mediolanu, i opowiedzieć mu o

tragicznym wypadku tej nocy. W przeciwieństwie do sąsiada Crespa, Franco Nardi nie zaczął krzyczeć - Brunetti nie potrafił ocenić, czy to lepiej, czy gorzej..

Po przyjeździe na komendę w Mestre zrelacjonował dopiero co przybyłemu Gallowi, co się wydarzyło. Zlecił mu nadzór nad oględzinami mieszkania i zwłok Crespa, wyjaśniając, że tego ranka musi być w Wenecji. Nie powiedział mu, że zamierza wziąć udział w pogrzebie Mascariego - ostatnio nazbyt często mieli do czynienia ze śmiercią.

Choć wracał do Wenecji z miejsca, gdzie człowiek zmarł gwałtowną śmiercią, po to, żeby uczestniczyć w uroczystości będącej następstwem śmierci innego człowieka, nie mógł opanować wzruszenia na widok dzwonnicy i pastelowych fasad, które przesuwały się przed jego oczami, gdy przejeżdżał policyjnym samochodem na drugą stronę grobli. Piękno nie jest w stanie niczego zmienić, pomyślał. Być może, ukojenie, które przynosi, jest tylko iluzją, niemniej przyjmował tę iluzję z radością.

Ceremonia pogrzebowa jeszcze bardziej go przygnębiła. Ludzie wypowiadali puste frazesy i najwyraźniej byli zbyt zaszokowani okolicznościami śmierci Mascariego, aby nadać swym słowom pozory szczerości. Podczas mszy wdowa siedziała sztywno w ławce, nie uroniła ani jednej łzy i natychmiast wyszła tuż za trumną z kościoła, milczącą i samotna.

Jak można było oczekiwać, dziennikarze powariowali, gdy wywęszyli, że Crespo nie żyje. Pierwsza wzmianka ukazała się w wieczornym wydaniu „La Notte”, gazety, która z lubością opatrywała swoje artykuły krzyczącymi nagłówkami i stosowała w nich czas teraźniejszy. Francesco Crespo został przedstawiony jako „męska kurtyzana w damskich szatkach”. Podano jego życiorys, uwydatniając fakt, że pracował jako tancerz w gejowskiej dyskoteci w Vicenzy, choć był tam zatrudniony niecały tydzień. Oczywiście autor artykułu powiązał tę śmierć z zabójstwem Leonarda Mascariego, które miało miejsce niecały tydzień wcześniej, i wyciągnął wniosek, że podobieństwa między

ofiarami świadczą o tym, iż sprawca dopuścił się krwawej zemsty na transwestytach. Autor nie uważał za konieczne wyjaśnić powodów tej mściwości.

W porannych gazetach rozwinięto tę myśl. Reporter z „Gazzettino” wspomniał o ponad dziesięciu prostytutkach, które w ostatnich latach zostały zamordowane tylko w jednej prowincji Pordenone, i usiłował znaleźć wspólną płaszczyznę tych morderstw oraz zabójstwa dwóch transwestytów. „Il Manifesto” poświęcił zbrodni pełne dwie szpalty na czwartej kolumnie i przy tej sposobności uznał Crespa za „jeszcze jeden przykład pasożyta żerującego na gnijącym ciele włoskiego społeczeństwa burżuazyjnego”.

W „Il Corriere della Sera” ukazał się artykuł, w którym autor mentorskim tonem zanalizował popełnioną zbrodnię i szybko porzucił temat zabójstwa na względnie mało znaczącej męskiej prostytutce, by zająć się śmiercią znanego weneckiego bankiera. Powoływał się na „miejscowe źródła”, wedle których „podwójne życie” Mascariego było powszechnie znane w pewnych kręgach. Jego śmierć należy więc uznać za nieuniknioną konsekwencję „spirali występku”, jak nazwał folgowanie tego rodzaju słabości.

Zainteresowany zaskakującą wzmianką o owych „źródłach”, Brunetti zadzwonił do redakcji gazety w Rzymie i poprosił, aby połączono go z autorem artykułu. Dziennikarz - słysząc, że Brunetti jest komisarzem policji i chce dowiedzieć się, od kogo pochodzą informacje zawarte w artykule - powiedział, że nie wolno mu ujawniać swoich źródeł, że konieczne jest bezwzględne i absolutne zaufanie między dziennikarzem a jego rozmówcami i czytelnikami. Co więcej, ujawnienie źródeł informacji jest sprzeczne z najwyższymi zasadami etyki zawodowej. Dopiero po pełnych trzech minutach Brunetti zorientował się, że ten człowiek mówi to wszystko serio i z całym przekonaniem.

- Jak długo pracuje pan w tej gazecie? - wpadł mu w słowo.

Reporter umilkł, zdumiony, że tak raptownie przerwano mu pełną ekspresji przemowę na temat swoich zasad, celów i ideałów, i po chwili rzekł:

- Cztery miesiące. Dlaczego pan pyta?

- Może pan połączyć mnie z powrotem z centralą, czy też muszę zadzwonić tam ponownie? - odparł Brunetti.

- Mogę pana połączyć. Ale dlaczego?

- Chcę porozmawiać z pana naczelnym.

Dziennikarz odpowiedział na to początkowo niepewnym, a po chwili podejrzliwym głosem, co było pierwszą konkretną oznaką obłudy i oszukańczych praktyk stosowanych przez siły stanowiące czwartą władzę w państwie.

- Panie komisarzu, chcę pana ostrzec, że wszelkie próby zatuszowania lub podważenia faktów, które ujawniłem w artykule, zostaną natychmiast podane do wiadomości czytelników. Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, że w tym kraju nastąpiła nowa epoka. Ludzie już nie godzą się na to, aby ich potrzeba dostępu do informacji...

Brunetti nacisnął widelki telefonu i gdy usłyszał sygnał, ponownie wybrał numer centrali gazety. Nawet komenda policji nie musi płacić za wysłuchiwanie takich bzdur, zwłaszcza po cenie rozmów międzymiastowych.

Gdy otrzymał połączenie z naczelnym działu krajowego, okazało się, że jest nim Gulio Testa, z którym Brunetti współpracował, gdy obu skazano na wygnanie do Neapolu.

- Gulio, mówi Guido Brunetti.

- *Ciao*, Guido. Słyszałem, że wróciłeś do Wenecji.

- Zgadza, się. Dlatego dzwonię. Jeden z twoich pracowników... - Brunetti zerknął na podpis pod artykułem - ...Lino Cavaliere napisał artykuł, zamieszczony w dzisiejszym wydaniu, o transwestycie zamordowanym w Mestre.

- Czytałem go wczoraj wieczorem. W czym rzecz?

- Wspomina tam o „miejscowych źródłach”, wedle których ten drugi mężczyzna, Mascari, zamordowany w zeszłym tygodniu, znany był w tutejszych

kręgach ze swego „podwójnego życia”. - Brunetti urwał na chwilę i powtórzył ostatnie słowa. - Ładny zwrot, Gulio, „podwójne życie”.

- Chryste Panie, tak on to ujął?

- Wszystko jest na papierze: „miejscowe źródła”, „podwójne życie”.

- Urwę mu jaja! - wykrzyknął Testa w słuchawkę i powtórzył to już do siebie.

- Czy mam rozumieć, że nie ma żadnych „miejscowych źródeł”?

- Nie ma. Dostał jakiś anonimowy telefon od człowieka, który przedstawił się jako kontrahent ofiary. Klient - tak chyba ich się nazywa.

- Co powiedział?

- Że znał Mascariego od lat, ostrzegał go przed konsekwencjami takich postępów, przed niektórymi jego facetami. Oświadczył, że sprawa była tajemnicą poliszynela w mieście.

- Gulio, ten człowiek miał niemal pięćdziesiąt lat.

- Zabiję go. Wierz mi, Guido. Nic na ten temat nie wiedziałem. Powiedziałem mu, żeby nie wykorzystywał tej informacji. Zabiję tego gnojka.

- Jak można być tak głupim? - powiedział Brunetti, choć dobrze wiedział, że niezliczone są powody ludzkiej głupoty.

- To kretyn, beznadziejny przypadek - odparł ponuro Testa, tak jakby każdy dzień przynosił potwierdzenie tego faktu.

- Co on robi w twojej redakcji? Przecież wciąż macie opinię najlepszej gazety w kraju. - Brunetti sformułował to zdanie po mistrzowsku, zawarł w nim nutę sceptycyzmu, ale bez ostentacji.

- Ożenił się z córką właściciela sklepu meblowego, który co tydzień zamieszcza dwukolumnową reklamę. Nie mieliśmy wyboru. Poprzednio pracował w dziale sportowym, ale któregoś dnia wspomniał, że ze zdumieniem dowiedział się, iż futbol amerykański różni się od naszego. I tak przyszedł do mnie.

Testa umilkł i obaj panowie popadli w zadumę. Brunettiego jakoś dziwnie

pokrzepiła myśl, że nie tylko on musi borykać się z pracownikami w rodzaju Riverrego czy Alvisego. Testa najwyraźniej nie poczuł się pokrzepiony i dodał:

- Staram się, żeby przeniesiono go do działu politycznego.

- Doskonale rozwiązanie, Gulio. Życzę powodzenia. - Brunetti podziękował za informacje i skończył rozmowę.

Choć od początku podejrzewał, że właśnie taki był przebieg wydarzeń, zdumiała go rzucająca się w oczy nieporadność, z jaką je zaplanowano. Niezwykły łut szczęścia sprawił, że „miejscowe źródła” znalazły reportera tak łatwowiernego, iż opublikował pogłoski o Mascarim, nie sprawdzając, czy mają potwierdzenie w faktach. Ponadto jedynie ktoś bardzo nierozważny - albo bardzo wystraszony - uknułby taką intrygę z nadzieją, że misternie spreparowane łgarstwo o rozwiązłości Mascariego nie wyjdzie na jaw.

Śledztwo w sprawie zabójstwa Crespa było na razie równie jałowe jak doniesienia w prasie. Sąsiedzi nie wiedzieli, czym trudni się Crespo; jedni przypuszczali, że pracuje w barze jako kelner, inni sądzili, że jest nocnym portierem w weneckim hotelu. Nikt nie zauważył, że dzieje się coś dziwnego w dniach poprzedzających popełnienie morderstwa, ani nie przypominał sobie, by coś dziwnego kiedykolwiek miało miejsce w tym budynku. Przyznali, że pan Crespo rzeczywiście przyjmował wielu gości, ale był człowiekiem bardzo miłym i otwartym, więc nic dziwnego, że ludzie przychodzili do niego w odwiedziny.

Wyniki obdukcji były jednoznaczne: śmierć nastąpiła przez uduszenie, morderca zaszedł ofiarę od tyłu i prawdopodobnie działał przez zaskoczenie. Nie stwierdzono śladów niedawnych kontaktów seksualnych, nic nie znaleziono pod paznokciami, a analiza zebranych w mieszkaniu odcisków palców zajmie wiele dni.

Brunetti dwukrotnie zadzwonił do Bolzano, ale za pierwszym razem linia była zajęta, a za drugim nie zastał Paoli w pokoju. Już miał zadzwonić trzeci raz, ale usłyszał pukanie do drzwi. Weszła pani Elettra ze skoroszytem w ręce i

położyła go na biurku.

- Panie komisarzu, mam wrażenie, że na dole czeka człowiek, któremu zależy na spotkaniu z panem. - Widząc jego zdziwienie, że chciało się jej przyjść i powiedzieć mu o tym, a nawet że w ogóle o tym wie, dodała pośpiesznie: - Szłam na dół, żeby zanieść Anicie pewne dokumenty, i usłyszałam jego rozmowę ze strażnikiem.

- Jak wygląda?

- Jest młody i bardzo elegancki - odparła z uśmiechem. Te słowa w ustach pani Elettry, ubranej w fioletowy kostium z jedwabiu, który był chyba dziełem szczególnie utalentowanych jedwabników, należało uznać za rzeczywiście duży komplement. - I bardzo przystojny - dorzuciła z uśmiechem, w którym krył się żal, że ów młody człowiek chce rozmawiać z Brunettim, a nie z nią.

- Może zechciałaby pani zejść na dół i przyprowadzić go tutaj - poprosił, chcąc jak najszybciej ujrzeć ów cud, a także dać pani Elettrze okazję zamienienia z nim kilku słów.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech, jakim zazwyczaj obdarzała przeciętnych śmiertelników. Wyszła z pokoju i po paru minutach była z powrotem.

- Ten pan chciałby porozmawiać z panem komisarzem.

Wszedł młody mężczyzna, Brunetti. wstał i przez biurko wyciągnął do niego dłoń. Poczł mocny uścisk grubej, muskularnej ręki.

- Niech pan spocznie - powiedział i zwrócił się do sekretarki: - Bardzo pani dziękuję.

Pani Elettra spojrzała na Brunettiego i obdarzyła go nieuchwytnym uśmiechem, a następnie w podobny sposób spojrzała na młodego człowieka. Zapewne takim spojrzeniem obdarzył Parsifal znikającego Graala, pomyślał Brunetti.

- Proszę, proszę - odparła. - Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, wystarczy zadzwonić.

Posłała gościowi ostatnie spojrzenie i wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Brunetti usiadł za biurkiem i popatrzył na młodego mężczyznę. Krótkie ciemne włosy opadały mu w lokach na czoło i lekko zakrywały górną część uszu. Miał cienki, zgrabny nos i szeroko rozstawione piwne oczy, które w kontraście z jasną cerą wydawały się niemal czarne. Był ubrany w ciemnoszary garnitur, a do tego niebieski, starannie zawiązany krawat. Uśmiechnął się, pokazując piękne zęby.

- Pan mnie nie poznaje, komisarzu? - spytał.

- Niestety nie - odparł Brunetti.

- Spotkaliśmy się w zeszłym tygodniu, choć w innych okolicznościach.

I wtedy Brunetti w jednej chwili przypomniał sobie jaskraworudą perukę i pantofle na wysokich obcasach.

- Pan Canale. Nie, nie poznałem pana. Proszę mi wybaczyć.

Canale ponownie uśmiechnął się i powiedział:

- W gruncie rzeczy bardzo się cieszę, że pan mnie nie poznał. To dowód, że na polu zawodowym moje „ja” jest zupełnie inne.

Brunetti nie wiedział, jak ma rozumieć te słowa, i pominął je milczeniem.

- Czym mogę panu służyć? - spytał.

- Kiedy pokazał mi pan tamten rysunek, powiedziałem, że ten mężczyzna kogoś mi przypomina. Pamięta pan?

Brunetti kiwnął głową. Ten młodzieniec chyba nie czyta gazet, przemknęło mu przez myśl. W przeciwnym razie wiedziałby, że Mascari został zidentyfikowany kilka dni temu.

- Gdy przeczytałem o tej sprawie w gazetach i zobaczyłem na zdjęciu, jak naprawdę wygląda, przypomniało mi się, gdzie go widziałem. Rysunek, który pan mi pokazał, był dość kiepski.

- Rzeczywiście - przyznał Brunetti, ale wolał nie wspominać o uszkodzeniach twarzy, które były powodem tak znacznych rozbieżności. - Gdzie

go pan widział?

- Zagadnął mnie ze dwa tygodnie temu. - Widząc zdumienie na twarzy komisarza, natychmiast wyjaśnił: - Nie, nie chodziło o to, o czym pan myśli. Nie interesowała go moja praca. To znaczy, moja działalność. Natomiast interesowała go moja osoba.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Byłem wtedy na ulicy, a właściwie akurat wysiadłem z samochodu. Wracałem od klienta, rozumie pan... Nie zdążyłem jeszcze podejść do dziewcząt, a właściwie do chłopców, gdy on zbliżył się do mnie i spytał, czy nazywam się Roberto Canale i czy mieszkam na Viale Canova pod trzydziestym piątym. Początkowo sądziłem, że jest policjantem. Tak wyglądał. - Brunetti nie zamierzał zaspokajać ciekawości, jaką wywołało w nim to stwierdzenie, lecz Canale sam wyjaśnił: - No wie pan, człowiek w krawacie, w garniturze, który za wszelką cenę nie chce wzbudzać podejrzeń co do tego, czym się zajmuje. Zadał mi te pytania, a ja odpowiedziałem mu, że wszystko się zgadza. Wciąż myślałem, że jest policjantem. Tak naprawdę to on przez cały czas chciał sprawiać wrażenie policjanta i nawet na koniec nie powiedział mi, że nim nie jest.

- O co jeszcze pana pytał?

- O mieszkanie.

- Mieszkanie?

- Tak. Chciał wiedzieć, kto płaci czynsz. Powiedziałem, że sam płacę. Spytał mnie, w jaki sposób. Wyjaśniłem, że wpłacam pieniądze na konto w banku na nazwisko właściciela. Ale on stwierdził, że kłamię, że on o wszystkim wie, więc musiałem mu powiedzieć prawdę.

- Co to znaczy, że „o wszystkim wie”?

- Wie, jak płacę czynsz.

- A jak pan płaci?

- Spotykam człowieka w barze i daję mu pieniądze.

- Ile?

- Półtora miliona lirów. W gotówce.

- Kim jest ten człowiek?

- Właśnie o to też mnie zapytał. Powiedziałem mu, że po prostu spotykam się z tym człowiekiem co miesiąc w barze. Dzwoni do mnie któregoś dnia w ostatnim tygodniu miesiąca i mówi, gdzie się spotkamy. Przychodzę tam, daję mu półtora miliona i to wszystko.

- Bez pokwitowania? - spytał Brunetti.

Canale wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście, że bez. Wszystko w gotówce.

Obaj wiedzieli, iż takie załatwienie sprawy powoduje, że pieniądze nie są deklarowane jako dochód i w związku z tym nie są opodatkowane. Dość powszechnie stosowany unik; mnóstwo ludzi postępuje podobnie. .

- Prócz tego płacę drugi czynsz - dodał Canale.

- A mianowicie?

- Sto dziesięć tysięcy lirów.

- Gdzie pan wpłaca tę sumę?

- Na rachunek w banku, ale na pokwitowaniu nie ma nazwiska właściciela, więc nie wiem, do kogo należy ten rachunek.

- W którym banku? - spytał Brunetti, choć przypuszczał, że zna odpowiedź na to pytanie.

- W Banku Werony. Mieści się przy...

- Wiem, gdzie się mieści - przerwał mu Brunetti. - Jak duże jest pana mieszkanie?

- Cztery pokoje.

- Półtora miliona za cztery pokoje to dość drogo.

- Tak, ale dochodzą jeszcze inne rzeczy - powiedział Canale i zaczął wiercić się na krześle.

- Na przykład?

- Obietnica, że nie będę miał kłopotów.

- Nie będzie pan miał kłopotów z powodu pana pracy? - upewnił się Brunetti.

- Tak. Nam bardzo trudno znaleźć mieszkanie. Gdy ludzie dowiedzą się, kim jesteśmy i co robimy, chcą nas zaraz wyrzucić. Obiecano mi, że to się nie zdarzy, jak długo będę tam mieszkał. I rzeczywiście się nie zdarzyło. Wszyscy mieszkańcy sądzą, że pracuję na kolei i dlatego chodzę na nocną zmianę.

- Skąd im to przyszło do głowy?

- Nie wiem. Gdy tylko się wprowadziłem, odniosłem wrażenie, że tak myślą.

- Jak długo pan tam mieszka?

- Dwa lata.

- I cały czas płacił pan czynsz w ten sposób?

- Tak. Od samego początku.

- Jak znalazł pan to mieszkanie?

- Powiedziała mi o nim jedna z dziewcząt na ulicy.

Brunetti pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech i zapytał:

- Ktoś, kogo pan nazywa dziewczyną, czy ktoś, kogo ja nazywam dziewczyną?

- Ktoś, kogo ja nazywam dziewczyną.

- Jak on się nazywa? - zainteresował się Brunetti.

- Nie ma po co wymieniać jego nazwiska. Zmarł rok temu. Z przedawkowania.

- Czy pana znajomi... koledzy... też tak się urządzili?

- Kilku z nich. Należymy do szczęśliwców.

Brunetti przez chwilę zastanawiał się nad tym faktem i jego ewentualnymi konsekwencjami.

- Gdzie pan się przebiera, panie Canale? - spytał.

- Nie rozumiem.

- W pana... - zaczął Brunetti i przerwał, szukając właściwego określenia
- ...w pana robocze ubranie. Przecież sąsiedzi uważają, że pan pracuje na kolei.

- Aha. W samochodzie albo za krzakami. Po pewnym czasie nabiera się wprawy i idzie to bardzo szybko, w mgnieniu oka.

- O czym dalej mówił pan z Mascarim? - Brunetti wrócił do poprzedniego tematu.

- Wypytał się o czynsz i chciał znać adresy innych.

- Podał mu je pan?

- Tak. Jak już mówiłem, przypuszczałem, że jest z policji, więc mu powiedziałem.

- Pytał o coś jeszcze?

- Nie. Chciał tylko znać adresy. - Canale umilkł na chwilę i dodał: - Tak, zadał jeszcze jedno pytanie, ale wydaje mi się, że chciał tak jakby, no wie pan, okazać zainteresowanie moją osobą.

- O co spytał?

- Czy moi rodzice jeszcze żyją.

- I co pan mu powiedział?

- Prawdę. Oboje zmarli. Wiele lat temu.

- Gdzie?

- Na Sardynii. Stamtąd pochodzę.

- Pytał o coś jeszcze?

- Nie.

- Jak odniósł się do tego, co pan mu powiedział?

- Nie rozumiem, o co pan pyta - odparł Canale.

- Czy był zdziwiony? Zmartwiony? Czy takich spodziewał się odpowiedzi?

Canale zastanowił się przez moment i rzekł:

- Z początku był trochę zdziwiony, ale potem rzucał pytanie za pytaniem w taki sposób, jakby nie musiał się nawet nad nimi zastanawiać, jakby miał je

przygotowane.

- Powiedział coś panu?

- Nie. Podziękował mi za te informacje. To było dziwne, wie pan, bo sądziłem, że jest gliną, a gliny zazwyczaj nie są szczególnie... - urwał, szukając właściwego słowa - ...nie traktują nas zbyt miło.

- Kiedy pan przypomniał sobie, kim on był?

- Mówiłem panu... Gdy zobaczyłem jego zdjęcie w gazecie. Był bankierem. Bankierem. Czy pana zdaniem dlatego tak interesował się czynszami?

- Bardzo możliwe, panie Canale. Na pewno sprawdzimy tę ewentualność.

- To dobrze. Mam nadzieję, że znajdziecie mordercę. On nie zasługiwał na śmierć. Był bardzo sympatyczny. Dobrze mnie potraktował, przyzwoicie. Tak jak pan.

- Dziękuję, panie Canale. Chciałbym, aby moi koledzy zachowywali się podobnie.

- Byłoby przyjemnie, prawda? - powiedział Canale i uroczo się uśmiechnął.

- Czy mógłby pan podać mi nazwiska i adresy, które podał pan panu Mascariemu? A także daty, jeśli pan je zna, kiedy pana znajomi tam się wprowadzili.

- Oczywiście - odparł młody człowiek.

Gdy Brunetti podsunął mu kartkę papieru i długopis, zaczął pisać. Nie robił tego z dużą wprawą. Lista była krótka. Canale położył długopis na biurku i wstał.

Brunetti również wstał, odprowadził Canalego do drzwi i nim je otworzył, zapytał:

- A znał pan Crespa? Wie pan coś o nim?

- Nie. Nigdy z nim nie pracowałem.

- Jak pan przypuszcza, dlaczego zginął?

- No cóż, trzeba być idiotą, żeby nie powiązać tej sprawy z zabójstwem tamtego mężczyzny, prawda?

To było tak oczywiste, że Brunetti nawet nie kiwnął głową.

- Tak na wycucie przypuszczam, że zginął, bo rozmawiał z policjantem.

- Widząc minę Brunettiego, szybko wyjaśnił: - Nie konkretnie z panem, komisarzu. Z kimś z policji. Przypuszczam, że wiedział coś o tamtym morderstwie i musiał być zlikwidowany.

- A pan mimo to przyszedł tu, żeby ze mną porozmawiać?

- Wie pan, on rozmawiał ze mną jak z normalnym człowiekiem. Pan też, komisarzu. Rozmawiał pan ze mną jak z mężczyzną, takim jak inni, prawda? I dlatego musiałem panu o tym powiedzieć. To zrozumiałe.

Panowie uścisnęli sobie dłonie i Canale wyszedł na korytarz. Brunetti przyglądał się ciemnowłosemu mężczyźnie, dopóki ten nie zniknął w dole schodów. Pani Elettra miała rację - był bardzo przystojny.

Rozdział 21

Brunetti wrócił do swojego pokoju i zadzwonił do sekretarki szefa.

- Czy mogłaby pani przyjść do mnie? I proszę przynieść to wszystko, co udało się wyszperać na temat panów, o których rozmawialiśmy w tym tygodniu.

Pani Elettra odparła, że z ochotą przyjdzie na górę. Brunetti był przeświadczony, że mówi to szczerze, dlatego nie zdziwił się, widząc jej zaskoczenie, gdy rozejrzała się wokoło i stwierdziła, że nie ma tam młodego mężczyzny.

- Mój gość musiał już iść - wyjaśnił Brunetti w odpowiedzi na jej nieme pytanie.

Pani Elettra natychmiast zapanowała nad sobą.

- Ach tak - powiedziała spokojnie i bez cienia zainteresowania, po czym podała Brunettiemu dwa skoroszyty. - To są informacje na temat mecenasa Santomauro. - Wziął teczkę, ale zanim zdążył ją otworzyć, pani Elettra stwierdziła: - Nie zawierają nic wartego uwagi. Urodzony i wychowany w Wenecji. Pracował tu przez całe życie. Zrobił dyplom prawnika w Ca' Foscari. Członek wszystkich prawniczych organizacji. Ślub w kościele San Zaccaria. Znajdzie pan tu oświadczenia podatkowe, podania o paszport, nawet zezwolenie na położenie nowego dachu w jego domu.

Brunetti przejrzał papiery i stwierdził, żeteczka zawiera dokładnie to, co wymieniła sekretarka, nic więcej. Skierował swą uwagę na drugi skoroszyt, znacznie grubszy.

- To dotyczy Lega della Moralita - oznajmiła takim tonem, że Brunetti zaczął się zastanawiać, czy wszyscy ludzie wymawiają nazwę tego stowarzyszenia z równie dużą dozą sarkazmu, czy też jego spostrzeżenie

świadczy jedynie o tym, z jakimi ludźmi przebywa. - Tateczka jest ciekawsza, ale wolałabym, żeby pan ją przejrzał i domyślił się, o co mi chodzi. Coś jeszcze, panie komisarzu?

- Nie. Bardzo pani dziękuję - powiedział Brunetti i otworzył skoroszyt.

Po wyjściu pani Elettry rozłożył papiery na biurku i zaczął czytać. Lega della Moralita została uznana za instytucję charytatywną dziewięć lat temu. W statucie było napisane, że jest organizacją, która dąży do „poprawy warunków materialnych ludzi doświadczonych przez los, aby ulżyć ich powszednim troskom i dzięki temu skierować ich myśli i pragnienia w stronę wartości duchowych”. Pomoc w uwolnieniu się od codziennych trosk miała przyjąć formę subsydiów udzielanych przy wynajmowaniu domów i mieszkań, będących własnością kościołów w Mestre, Marghera i w Wenecji, przekazanych stowarzyszeniu, aby zajęło się ich administrowaniem. Lega została upoważniona do wynajmowania tych lokali za minimalną opłatą członkom parafii we wspomnianych miastach, którzy spełniali warunki ustalone przez władze kościelne w porozumieniu ze stowarzyszeniem. Warunki te obejmowały między innymi regularne uczęszczanie na mszę, świadectwo chrztu wszystkich dzieci, pismo od proboszcza, stwierdzające, że przyszły najemca zachowuje „najwyższe zasady moralności”, oraz zaświadczenie o trudnej sytuacji finansowej.

Zgodnie ze statutem prawo do wyboru osób korzystających z takiego wsparcia przysługiwało członkom zarządu Lega, którzy bez wyjątku mieli być ludźmi świeckimi, co eliminowało możliwość faworyzowania konkretnych osób przez władze kościelne. Członkowie zarządu również mieli być ludźmi prawego charakteru, a ponadto spełniać znaczące funkcje w społeczności. Spośród sześciu członków obecnego zarządu dwóch uznano za „członków honorowych”. Z czterech pozostałych jeden mieszkał w Rzymie, drugi w Paryżu, a trzeci przebywał w klasztorze na wyspie San Francesco del Deserto. Jedynym aktywnym członkiem zarządu, mieszkającym w Wenecji, był zatem mecenas Giancarlo Santomauro.

W pierwotnym statucie zapisano, że Lega bierze w administrację pięćdziesiąt dwa mieszkania. Na podstawie listów i oświadczeń lokatorów, urzędników parafialnych i księży, którzy przeprowadzali z nimi rozmowy, stwierdzono po trzech latach, że system działa doskonale, i włączono weń jeszcze sześć parafii, co wiązało się z przekazaniem Lega kolejnych czterdziestu trzech mieszkań. To samo miało miejsce po następnych trzech latach, kiedy to Lega wzięła w administrację sześćdziesiąt siedem mieszkań, znajdujących się głównie w historycznym centrum Wenecji i w handlowym sercu Mestre.

Zgodnie ze statutem stowarzyszenia prawo do kontroli nad administrowanymi mieszkaniami miało być przedłużane co trzy lata. Brunetti wyliczył, że w tym roku procedura powinna być powtórzona. Przerzucił do tyłu kilka kartek i przeczytał dwa pierwsze sprawozdania komisji opiniującej. Sprawdził umieszczone na nich podpisy: Giancarlo Santomauro był w zarządzie obu komisji, w drugiej sprawował funkcję przewodniczącego, i jego podpis widniał pod obydwoma dokumentami. Wkrótce po sporządzeniu drugiego sprawozdania mecenas Santomauro został wybrany na prezesa Lega della Moralita, co było funkcją wyłącznie honorową i nie wiązało się z żadnym wynagrodzeniem.

Dołączono wykaz stu sześćdziesięciu dwóch lokali obecnie administrowanych przez stowarzyszenie, wraz z ich adresami, całkowitą powierzchnią i liczbą pokoi w każdym mieszkaniu. Brunetti wziął kartkę z adresami, które podał mu Canale, i sprawdził, że wszystkie cztery zostały wymienione w wykazie.

Brunetti uważał się za człowieka o szerokich horyzontach, względnie wolnego od uprzedzeń, ale nie był przekonany, czy może uznać pięciu transwestytów uprawiających prostytutkę za ludzi zachowujących „najwyższe zasady moralności”, nawet gdy zajmują mieszkania wynajęte w określonym celu, takim mianowicie, aby nieść pomoc lokatorom i w ten sposób „skierować ich myśli i pragnienia w stronę wartości duchowych”.

Odłożył wykaz adresów i dalej czytał sprawozdanie komisji. Nie zdziwiło go zamieszczone tam stwierdzenie, że wszyscy najemcy mają wносить opłaty za czynsz, w kwocie nie wyższej niż nominalna, na konto w weneckim oddziale Banku Werony, pośredniczącego również w przekazywaniu dotacji udzielanych przez Lega na rzecz „potrzebujących wdów i sierot” i wypłacanych z funduszy, na które składały się minimalne czynsze za wynajem mieszkań. Brunetti był zdumiony śmiałością, z jaką użyto kwiecistego sformułowania „potrzebujące wdowy i sieroty”, ale po chwili zauważył, że tę formę działalności charytatywnej podjęto dopiero po przyjęciu przez mecenasa Santomauro stanowiska prezesa Lega. Przerzucił w tył kilka kartek i zobaczył, że pięciu mężczyzn wymienionych na liście Canalego wprowadziło się do mieszkań, gdy Santomauro już pełnił funkcję prezesa. Można było odnieść wrażenie, iż uzyskawszy to stanowisko, Santomauro uznał, że wszystko mu wolno.

Brunetti przestał czytać i podszedł do okna. Kilka miesięcy temu z ceglanej fasady kościoła San Lorenzo zdjęto rusztowania, ale jeszcze go nie otworzono. Spoglądając na kościół, Brunetti stwierdził w duchu, że popełnia błąd, przed którym przestrzegał innych policjantów - przypisuje winę podejrzanemu, nie mając choćby strzępu namacalnego dowodu świadczącego o powiązaniu podejrzanego z popełnionym przestępstwem. Ale był przekonany - równie silnie jak o tym, że kościół nigdy nie zostanie otwarty, przynajmniej nie za jego życia - że Santomauro jest odpowiedzialny za zabójstwo Mascariego, Crespa, a także za śmierć Marii Nardi. Santomauro i prawdopodobnie Ravello. Sto sześćdziesiąt dwa mieszkania. Ile z nich wynajęto takim ludziom jak Canale i innym, którzy zgadzali się płacić czynsz gotówką i nie zadawać pytań? Jeśli nawet stanowiły jedną trzecią, to przynosiły zysk przekraczający siedemdziesiąt milionów lirów miesięcznie, niemal miliard rocznie. Brunetti przypomniał sobie o wdowach i sierotach i zaczął się zastanawiać, czy Santomauro posunął się tak daleko, by i je włączyć do swego planu i owe minimalne czynsze wpłacane do skarbcza Lega obrócić na zapomogi dla

fikcyjnych wdów i wymyślonych sierot.

Podszedł z powrotem do biurka i zaczął przewracać kartki sprawozdania, aż znalazł fragment dotyczący wypłat dla ludzi, których Lega uznała za godnych wsparcia. I rzeczywiście, zapomogi były wypłacane za pośrednictwem Banku Werony. Stał z głową pochyloną nad papierami, obiema rękami ściskając krawędź biurka, i powtarzał sobie, że pewność nie jest równoznaczna z namacalnym dowodem. Ale jego pewność była niezachwiana.

Ravello obiecał dać mu kopie rachunków bankowych prowadzonych przez Mascarię - bez wątplenia miał na myśli dokumenty dotyczące udzielonych przez niego kredytów i inwestycji, które nadzorował. To jasne, że skoro Ravello zgodził się udostępnić te dokumenty, Brunetti nie znajdzie w nich niczego, czego szuka. Aby mieć dostęp do pełnej dokumentacji banku i Lega, będzie musiał uzyskać nakaz sądowy, a to zależy już od mocy silniejszych niż te, którymi rozporządzał.

Brunetti wszedł do gabinetu Patty, usłyszawszy przyzwalające *Avanti*. Zastępca komendanta uniósł głowę, zobaczył, kto wchodzi, i znowu pochylił się nad leżącymi przed nim dokumentami. Ku swemu zdziwieniu Brunetti stwierdził, że Patta nie używa ich tylko jako rekwizytów świadczących o swej pracowitości, ale rzeczywiście czyta.

- *Buon giorno*, panie komendancie - powiedział, podchodząc do biurka.

Patta znowu podniósł głowę i machnął ręką, wskazując krzesło. Dotknął palcem leżących na biurku papierów i spytał:

- Czy tobie to zawdzięczam?

Ponieważ Brunetti nie miał pojęcia, czego dotyczą te dokumenty, i nie chciał się do tego przyznać, żeby nie stracić taktycznej przewagi, nie pozostało mu nic innego, jak uwzględnić w swej odpowiedzi ton pytania. Zazwyczaj w głosie Patty wyraźnie słyszało się sarkazm, ale tym razem był on niewyczuwalny. Brunetti nigdy nie spotkał się z wdzięcznością przełożonego i

mógł jedynie zakładać, że szef zna takie uczucie, na tej samej zasadzie, na jakiej teologowie zakładają, że każdy człowiek ma swego anioła stróża. Nie był więc teraz pewien, czy w głosie Patty wyraża się wdzięczność.

- Czy to są dokumenty, która przyniosła panu pani Elettra? - zaryzykował, grając na zwłokę.

- Tak - odparł Patta, poklepując je w taki sposób, jak poklepuje się łeb ukochanego psa.

To mu wystarczyło.

- Pani Elettra wykonała całą pracę, ja tylko zasugerowałem jej kierunek poszukiwań - skłamał, z fałszywą skromnością spuszczać wzrok na znak, że nie oczekuje pochwał za coś tak naturalnego jak oddanie przysługi komendantowi Patcie.

- Zaaresztują go dziś wieczorem - oznajmił Patta z dziką rozkoszą.

- Kto, panie komendancie?

- Ludzie z policji skarbowej. Zawarł nieprawdziwe dane w swoim podaniu o przyznanie obywatelstwa Monako, a więc jest ono niewiążące. W tej sytuacji dalej jest obywatelem Włoch, gdzie od siedmiu lat nie płaci podatków. Ukrzyżują go. Powieszają za nogi, głową w dół.

Brunetti powątpiewał, czy marzenie Patty się spełni, skoro byłym i obecnym ministrom uszły płazem różne sztuczki mające na celu uniknięcia płacenia podatków, ale w tym momencie wolał nie wyrażać swych obiekcji. Nie wiedział, jak sformułować następne pytanie, więc zaczął oględnie:

- Czy on będzie sam, gdy przyjdą go aresztować?

- W tym jest problem - przyznał Patta. - Plany aresztowania są utrzymywane w tajemnicy. Zostanie dokonane dziś wieczorem o ósmej. Wiem o tym tylko dlatego, że znajomy z policji skarbowej zadzwonił do mnie z tą wiadomością. - Brunetti dostrzegł zatroskanie na twarzy Patty. - Jeśli ją ostrzeżę, powie mu o tym, a on wyjedzie z Mediolanu i umknie aresztowania. Jeśli jej nie ostrzeżę, będzie tam, gdy przyjdą go aresztować. - Patta nie musiał

już dodawać, że wówczas jej nazwisko na pewno pojawi się w prasie. W połączeniu z jego osobą. Brunetti obserwował twarz przełożonego targanego to chęcią zemsty, to próżnością, zafascynowany malującymi się na niej emocjami.

Tak jak przypuszczał, zwyciężyła próżność.

- Nie widzę sposobu, aby wyciągnąć ją stamtąd, a jednocześnie nie wzbudzić jego podejrzeń - powiedział Patta.

- A może, jeśli uzna pan, komendancie, to za dobry pomysł, poprosi pan swojego adwokata, żeby umówił się z nią na rozmowę tego wieczoru w Mediolanie. Wtedy byłaby z dala od... hm... miejsca, gdzie teraz przebywa, gdy przybędzie policja.

- Jaki miałby być powód ich rozmowy?

- Może powiedziałby jej, że pan jest skłonny omówić warunki? To byłby dostateczny powód, żeby wyciągnąć ją gdzieś na wieczór.

- Ona nie znosi mojego adwokata.

- A czy byłaby skłonna porozmawiać z panem, panie komendancie? Gdyby powiedział pan, że przyjeżdża do Mediolanu na spotkanie z nią?

- Ona... - zaczął Patta, po czym odsunął się od biurka i wstał, nie kończąc myśli. Podeszedł do okna i na swój sposób dokonywał w milczeniu oględzin fasady kościoła San Lorenzo.

Dobłą minutę stał tam, nic nie mówiąc, a Brunetti uprzytomnił sobie, czym może grozić ta chwila zadumy. Jeśli Patta odwróci się i przyzna do jakiejś emocjonalnej słabości, powie, że kocha swoją żonę i chce, żeby do niego wróciła, to nigdy nie wybaczy Brunettiemu, że był tego świadkiem. Będzie jeszcze gorzej, jeśli Patta da fizyczny wyraz słabości; wówczas zemsta na świadku będzie bezlitosna.

Głosem zrównoważonym i pełnym powagi, tak jakby Patta i jego osobiste kłopoty przestały już zaprzętać jego uwagę, Brunetti rzekł:

- Panie komendancie, właściwie przyszedłem do pana po to, aby omówić sprawę Mascariego. Wydaje mi się, że o pewnych kwestiach powinien pan

wiedzieć.

Patta wziął głęboki oddech, jego ramiona uniosły się i opadły, a potem odwrócił się i podszedł do biurka.

- Co się działo? - spytał.

Beznamiętnie i rzeczowo Brunetti opowiedział mu pokrótce o dokumentach zebranych na temat Lega i o mieszkaniach przez nią administrowanych, z których jedno wynajmował Crespo, oraz o kwotach wypłacanych co miesiąc godnym wsparcia biedakom.

- Półtora miliona miesięcznie? - powtórzył Patta, gdy Brunetti skończył relacjonować przebieg wizyty Canalego. - A jaki czynsz Lega powinna pobierać?

- W przypadku Canalego sto dziesięć tysięcy miesięcznie. Żaden z najemców wymienionych w wykazie nie płaci więcej niż dwieście tysięcy. Ściśle mówiąc, maksymalnie tyle wynoszą wpływy z jednego mieszkania wedle zapisów w księgach prowadzonych przez Lega.

- Jakie to są mieszkania?

- Crespo miał cztery pokoje w nowoczesnym budynku. To jedyne mieszkanie, które widziałem, ale sądząc po weneckich adresach wymienionych w wykazie i po liczbie pokoi, powiedziałbym, że to atrakcyjne mieszkania, na pewno wiele z nich.

- Czy masz rozeznanie, ile z nich to mieszkania takie jak Canalego, a najemca płaci czynsz w gotówce?

- Nie, panie komendancie. Teraz powinienem porozmawiać ludźmi, którzy tam mieszkają, i dowiedzieć się, ilu z nich jest wmieszanych w tę sprawę. Muszę zobaczyć wykazy bankowe Lega. No i potrzebna mi będzie imienna lista tych wdów i sierot, które jakoby otrzymują co miesiąc zapomogi.

- To oznacza, że konieczny będzie nakaz sądowy - powiedział Patta, przejawiając wrodzoną ostrożność.

Brunetti wiedział, o czym szef myśli. Występowanie przeciwko takim

ludziom jak Canale czy Crespo jest najzupełniej w porządku i nikt nie przejmuje się, jakie zastosowano środki. Ale bank - bank! - to zupełnie co innego.

- Przypuszczam, panie komendancie, że Santomauro ma w tym jakiś współudział i że do niego zaprowadzi nas śledztwo w sprawie śmierci Mascariego. - Jeśli Patcie nie dane będzie zemścić się na żonie Santomaura, to może będzie chciał dopaść samego Santomaura.

- Sądzę, że to możliwe - odparł Patta niezdecydowanie.

Gdy tylko Brunetti dostrzegł nieskuteczność zgodnej z prawdą argumentacji, natychmiast uciekł się, jak to miał w zwyczaju, do oszustwa.

- Może się okazać, że wykazy bankowe są w porządku, a bank nie ma z tym nic wspólnego, co oznacza, że Santomaro sam tym sterował. Kiedy sprawdzimy, czy w banku nie popełniono żadnego nadużycia, będziemy mogli wystąpić przeciwko Santomaurowi.

To wystarczyło, aby Patta przechylił się na drugą stronę.

- W porządku, poproszę sędziego śledczego o wydanie nakazu udostępnienia danych bankowych.

- Oraz archiwów Lega - dorzucił ryzykownie Brunetti. Przez moment chciał jeszcze raz wspomnieć o Santomaurze, ale się powstrzymał.

- No dobrze - zgodził się Patta, dając jednocześnie do zrozumienia, że nie zamierza iść na dalsze ustępstwa.

- Dziękuję, panie komendancie. - Brunetti wstał. - Zaraz się za to zabieram. Wyślę paru ludzi do osób wymienionych w wykazie.

- Tak, tak - mruknął Patta bez większego zainteresowania. Pochylił się na leżącymi na biurku dokumentami i czule przejechał po nich ręką. Po chwili podniósł głowę i spojrzał tak, jakby był zdziwiony, że Brunetti wciąż jest w gabinecie. - Coś jeszcze, komisarzu? - spytał.

- Nie, to wszystko, panie komendancie.

Gdy wychodził, Patta sięgał po telefon.

Wróciwszy do pokoju, zadzwonił do Bolzano i poprosił o połączenie z

panią Brunetti. Po kilku trzaskach, przedzielonych głuchą ciszą, usłyszał głos Paoli.

- *Ciao, Guido, como stai?* Próbowałam złapać cię w domu w poniedziałek wieczorem. Dlaczego nie dzwoniłeś?

- Byłem zajęty. Czytałaś gazety?

- Ależ Guido, przecież jestem na wakacjach. Czytam mistrza. *Święty zdrój* jest wspaniały. Nic się tam nie dzieje, zupełnie nic.

- Nie chcę rozmawiać o Henrym Jamesie, Paolo.

Te słowa były jej znane, ale nigdy dotąd nie usłyszała, żeby wypowiedział je takim tonem.

- Co się stało, Guido? - spytała.

Natychmiast przypomniał sobie, że w czasie wakacji Paola nie czyta gazet, i z żalem pomyślał, że powinien był bardziej się postarać i dodzwonić do niej wcześniej.

- Mieliliśmy trochę kłopotów - powiedział, bagatelizując sprawę.

Natychmiast obudziła się w niej czujność.

- Jakich kłopotów? - spytała.

- Zdarzył się wypadek.

- Opowiedz mi, Guido - poprosiła cicho.

- Wracalem z Mestre i ktoś chciał zepchnąć nas z mostu.

- Nas?

- Był ze mną Vianello... i Maria Nardi.

- Ta dziewczyna z Cannaregio? Nowa policjantka?

- Tak.

- Co się stało?

- Najechali na nas i uderzyliśmy w barierkę. Ona nie zapięła pasów i rzuciło ją na drzwi. Złamała sobie kark.

- O Boże, biedna dziewczyna - wyszeptała Paola. - Jak się czujesz?

- Byłem wstrząśnięty, Vianello też, ale nic się nam nie stało. Nie

połamaliśmy sobie kości - dodał lżejszym tonem.

- Nie chodzi mi o połamane kości - powiedziała wciąż cichym głosem, ale i zdecydowanym, być może ze zniecierpliwieniem albo z zatroskaniem. - Pytam, jak się czujesz.

- W miarę dobrze. Vianello prowadził samochód i obarcza siebie winą.

- Tak, to dla niego typowe. Porozmawiaj z nim, Guido. Wypełnij mu czas pracą. - Po chwili spytała:

- Chcesz, żebym wróciła?

- Nie, Paolo, dopiero tam przyjechałaś. Chciałem ci tylko powiedzieć, że nic mi nie jest. Na wypadek gdybyś przeczytała o tym w gazetach albo gdyby ktoś cię o to zapytał. - Słyszał swój głos, w którym zabrzmiała nuta żalu do niej, że nie dzwoniła, nie czytała gazet.

- Chcesz, żebym powiedziała dzieciom?

- Lepiej to zrób, bo mogą o tym gdzieś usłyszeć albo przeczytać. Ale postaraj się nie przykładać do tego wagi.

- Tak, tak, Guido. Kiedy będzie pogrzeb? Przez chwilę nie wiedział, o czyj pogrzeb chodzi - Mascariego, Crespa czy Marii Nardi? - ale domyślił się, że pyta o pogrzeb policjantki.

- Chyba w piątek rano.

- Wszyscy pójdziecie?

- Ilu będzie mogło. Pracowała w policji dość krótko, ale cieszyła się sympatią.

- Kto to był? - zapytała, wiedząc, że nie musi precyzować pytania.

- Nie wiem. Samochód zniknął, zanim uprzytomniliśmy sobie, co się dzieje. Wracaliśmy z Mestre, gdzie umówiłem się na spotkanie z jednym z transwestytów, więc sprawca wiedział, gdzie będę. Mógł po prostu jechać za nami. Stamtąd prowadzi tylko jedna droga do Wenecji.

- A ten transwestyta? Rozmawiałeś z nim?

- Spóźniłem się. Został zamordowany.

- Przez tę samą osobę? - spytała w telegraficznym stylu, jaki wypracowali sobie przez dwadzieścia lat.

- Tak. To raczej pewne.

- A ten pierwszy? Na polu?

- To wszystko jedna sprawa.

Usłyszał, że zamienia parę słów z kimś w pokoju, i po chwili jej głos znowu zabrzmiał w słuchawce.

- Chiara jest tutaj. Chce z tobą porozmawiać.

- Ciao, Papa. Co u ciebie? Tęsknisz za mną?

- W porządku, aniele. Strasznie za tobą tęsknię. Za wami wszystkimi.

- Ale za mną najbardziej?

- Równy za wszystkimi.

- To niemożliwe. Nie można ci brakować Raffiego, ponieważ i tak nigdy nie ma go w domu. A mama tylko siedzi i całymi dniami czyta książki, więc komu mogłoby brakować jej? Z tego wynika, że najbardziej za mną musisz tęsknić.. Mam rację?

- Chyba tak, aniele.

- Widzisz, byłam tego pewna. Wystarczyło tylko trochę pomyśleć, prawda?

- Tak. Cieszę, że zwróciłaś mi na to uwagę.

Z oddali usłyszał w słuchawce jakieś hałasy i po chwili znowu odezwała się Chiara.

- Tato, mama mi każe oddać słuchawkę. Powiedz jej, żeby poszła ze mną na spacer, dobrze? Nie robi nic innego, tylko siedzi cały dzień na tarasie i czyta. Co to za wakacje?

Jej miejsce zajęła Paola.

- Jeśli chcesz, Guido, żebyśmy przyjechała, tylko powiedz, a zaraz się spakujemy.

Usłyszał jęk niezadowolenia Chiary.

- To nie jest konieczne, Paolo - rzekł. - Naprawdę. Postaram się przyjechać do was na ten weekend.

Paola już wiele razy słyszała takie obietnice, więc nie pytała o konkrety.

- Mógłbyś mi powiedzieć o tym coś więcej, Guido?

- Nie teraz, Paolo. Kiedy się spotkamy.

- Tutaj?

- Mam nadzieję. Jeśli nie, to zadzwonię do ciebie. Tak czy inaczej zadzwonię, niezależnie od tego, czy przyjadę, czy nie. Dobrze?

- Dobrze, Guido. Na miłość boską, uważaj na siebie.

- Będę ostrożny. Ty też uważaj.

- Na co mam uważać? Tutaj, w tym raju?

- Uważaj, żebyś nie skończyła książki, tak jak to się stało w Cortinie. - Oboje roześmiali się na wspomnienie. Paola zabrała wówczas ze sobą *Złotą wazę*, ale przeczytała ją w tydzień, a potem nie miała już nic do czytania i w rezultacie przez następny tydzień nie miała co robić, jak tylko chodzić po górach, pływać, wylegiwać się na słońcu i gawędzić z mężem. Każda chwila była dla niej udręką.

- Och, nie martw się - odparła. - Już mam ochotę ją skończyć i natychmiast zacząć od początku.

Brunettiemu przemknęła przez głowę myśl, czy powodem, dla którego nie otrzymał awansu na zastępcę komendanta, nie było przypadkiem to, że Paola ma opinię wariatki. Doszedł jednak do wniosku, że prawdopodobnie było inaczej.

Pożegnali się po jeszcze kilku prośbach o zachowanie ostrożności.

Rozdział 22

Brunetti zadzwonił do pani Elettry, ale nikt nie podniósł słuchawki. Następnie wykręcił wewnętrzny numer Vianella i poprosił go do siebie. Sierżant wszedł po kilku minutach z takim samym wyrazem twarzy jak rankiem dwa dni temu, gdy rozstawał się z Brunettim przed wejściem do gmachu komendy.

- *Buon di*, panie komisarzu - powiedział, zajmując jak zwykle krzesło przed biurkiem Brunettiego.

- Dzień dobry, Vianello. - Nie chcąc wracać do wydarzeń tamtego dnia, Brunetti od razu spytał: - Ilu ludzi mamy dzisiaj do dyspozycji?

Vianello zastanowił się i odparł:

- Czterech, jeśli liczyć Riverrego i Alvisego.

Brunetti nie chciał rozmawiać również na temat tych dwóch. Podał Vianellowi wykaz załączony do dokumentów dotyczących Lega.

- To jest lista ludzi, którzy wynajmują mieszkania od Lega della Moralita. Chciałbym, żebyś wybrał z tego adresy weneckie i podzielił je między cztery osoby.

- W jakim celu, panie komisarzu? - Vianello zerknął na wykaz nazwisk i adresów.

- Chcę wiedzieć, komu płacą czynsz i w jaki sposób - wyjaśnił Brunetti.

Vianello obrzucił go pełnym ciekawości spojrzeniem, na co Brunetti zrelacjonował mu rozmowę z Canalem o płaceniu czynszu gotówką i o jego znajomych, którzy postępują tak samo.

- Chcę wiedzieć - ciągnął - ile osób z tej listy tak płaci czynsz i w jakiej wysokości. Jeszcze ważniejsze jest dla mnie to, czy ktoś z nich zna osobę albo osoby, którym wręczają pieniądze.

Vianello pojął w czym rzecz. Przekartkował wykaz nazwisk i spytał:

- Ile ich jest razem? Ponad setka, jak sędzę.

- Sto sześćdziesiąt dwa.

Vianello gwizdnął.

- I mówi pan, że ten Canale płaci półtora miliona miesięcznie?

- Tak.

Brunetti patrzył, jak Vianello dokonuje tych samych obliczeń, których i on dokonywał, gdy po raz pierwszy zobaczył tę listę.

- Nawet jeśli dotyczy to tylko jednej trzeciej tych ludzi, to uzbiera się ponad pół miliarda rocznie, prawda? - Sierżant potrząsnął głową. Brunetti nie był pewny, czy jego reakcja jest wyrazem zdumienia, czy podziwu wobec zasięgu przedsięwzięcia.

- Znasz którąś z osób na tej liście? - spytał.

- Sądząc po nazwisku, wydaje mi się, że jest wśród nich właściciel baru znajdującego się na rogu ulicy, gdzie mieszka moja matka. Imię i nazwisko się zgadza, ale nie wiem, czy adres jest ten sam.

- Jeśli tak, to czy mógłbyś z nim luźno porozmawiać?

- To znaczy pójść na to spotkanie po cywilnemu? - upewnił się sierżant i uśmiechnął, bardziej przypominając dawnego Vianella.

- Albo wysłać tam Nadię - zażartował Brunetti i jednocześnie pomyślał, że nie jest to taki zły pomysł. Jeśli ludzie, którzy w pewnej mierze nielegalnie zajmują mieszkania, zorientują się, że rozmawiają z policjantem w cywilu, niewątpliwie wywrze to wpływ na ich odpowiedzi. Był przekonany, że księgi stowarzyszenia niczego nie wykażą, że znajdą się dowody, iż czynsze płacono co miesiąc na właściwy rachunek bankowy i że są na to odpowiednie pokwitowania. O Włoszech można myśleć różnie, ale bez wątplenia jest to kraj, gdzie zawsze zachowuje się udokumentowane dowody, i to w obfitości - natomiast obraz rzeczywistości, który z nich wynika, jest częstokroć nieprawdziwy.

Vianello szybko doszedł do takiego samego wniosku.

- Wydaje mi się, że można to zrobić w sposób bardziej nieformalny.

- Na przykład wypytać sąsiadów?

- Tak, panie komisarzu. Ludzie nie będą mieli ochoty ujawniać, że są wmieszani w coś takiego. Mogą obawiać się, że stracą mieszkania. W takiej sytuacji każdy by skłamał.

Brunetti nie miał wątpliwości, że Vianello też by skłamał, aby zachować swoje mieszkanie. Po głębszym zastanowieniu uprzytomnił sobie, że sam też by tak postąpił, jak każdy weneccjanin.

- W takim razie lepiej porozmawiać z okolicznymi mieszkańcami. Wyślij kilka policjantek.

Uśmiech na twarzy Vianella świadczył o jego niekłamanym zadowoleniu.

- Weź ze sobą i to - powiedział Brunetti, wręczając mu drugą listę załączoną do dokumentów dotyczących Lega. - Tę będzie łatwiej sprawdzić. To wykaz ludzi, którzy otrzymują comiesięczne zapomogi. Spróbuj się dowiedzieć, ilu z nich mieszka pod wskazanym adresem i czy rzeczywiście można ich uznać za godnych wsparcia biedaków.

- Gdybym lubił się zakładać - odparł Vianello, który był znany z takich upodobań - postawiłbym dziesięć tysięcy lirów na to, że większość nie mieszka pod wymienionym tu adresem. - Przekartkował listę i dodał: - I założyłbym się o następne dziesięć tysięcy, że wielu z nich to nie są godni wsparcia biedacy.

- Nie idę o taki zakład.

- Tak przypuszczałem. Co wiadomo o Santomaurze?

- Według informacji zebranych przez panią Elettrę, jest czysty.

- Nikt nie jest czysty - odpalił Vianello.

- W takim razie ostrożny.

- To już bardziej prawdopodobne.

- Dowiedzieliśmy się jeszcze jednego. Gallo rozmawiał z producentem butów Mascariego. Wie, które sklepy w Wenecji zajmowały się ich sprzedażą.

Chciałbym, żeby ktoś spytał sprzedawców, czy pamiętają, komu je sprzedali. Rozmiar czterdzieści jeden... może zapamiętali klienta, który kupował takie duże buty.

- A suknia? - zapytał Vianello.

Przed dwoma dniami Brunetti otrzymał na ten temat raport, który potwierdził jego obawy.

- To zwykła tania sukienka, którą można kupić na każdym bazarze. Czerwona, z jakiegoś syntetycznego materiału. Mogła kosztować nie więcej niż czterdzieści tysięcy lirów. Zerwano z niej metkę, ale Gallo wciąż stara się wytropić producenta.

- Jakie są na to szanse?

Brunetti wzruszył ramionami.

- Z butami powiodło się nam lepiej - powiedział. - Przynajmniej znamy producenta i wiemy, gdzie je sprzedawano.

Vianello kiwnął głową.

- Coś jeszcze, panie komisarzu?

- Tak. Zadzwoń do policji skarbowej i powiedz im, że będziemy potrzebować któregoś z ich najlepszych ludzi albo nawet kilku, jeśli będą do dyspozycji. Przejrzą dokumenty, które otrzymamy z Banku Werony i od Lega.

- Nie do wiary, a więc udało się panu nakłonić Pateę, żeby wystąpił o nakaz sądowy? I bank udostępni nam swoją dokumentację?

- Tak - odparł Brunetti, nie pozwalając sobie na uśmiech zadowolenia ani na przechwałki.

- Ta sprawa musiała sprawić mu więcej przykrości, niż przypuszczałem. Nakaz sądowy, kto by pomyślał. - Vianello pokręcił głową, nie mogąc oprzeć się zdumieniu.

- Czy mógłbyś poprosić panią Elettę, żeby przyszła do mnie?

- Oczywiście - odparł Vianello wstając. Uniósł rękę z dwoma wykazami. - Podzielę te nazwiska na grupy i zagonię ludzi do roboty. - Podeszedł do drzwi,

ale przed wyjściem zadał ostatnie pytanie, które Brunetti zadawał sobie cały ranek. - Jak oni mogli pójść na takie ryzyko? Wystarczy jedna osoba, jeden przeciek i wszystko się sypie.

- Nie mam pojęcia. Nie znajduję sensownego wytłumaczenia.

Ale przyszło mu na myśl, że to może być kolejny przypadek jakiegoś grupowego szaleństwa, obłądu powodowanego ryzykiem, które przekracza granice rozsądku. W ostatnich latach krajem wstrząsnęły afery łapówkowe, zakończone aresztowaniami i wyrokami sądowymi, w które wplątani byli ludzie wszystkich szczebli hierarchii społecznej, począwszy od przemysłowców i budowniczych, a skończywszy na ministrach. Dziesiątki i setki miliardów lirów wypłacono w formie łapówek. W rezultacie Włosi doszli do przekonania, że korupcja jest normalnym zjawiskiem w instytucjach rządowych. I dlatego działania Lega della Moralita oraz kierujących nią ludzi mogły być uznane za całkowicie normalne w kraju ogarniętym obłędem przekupstwa.

Gdy Brunetti porzucił te rozważania, Vianella już nie było. W drzwiach stanęła pani Elettra.

- Pan mnie wzywał, panie komisarzu?

Brunetti przytaknął i ręką wskazał jej krzesło.

- Vianello właśnie zszedł na dół z wykazami, które od pani dostałem. Wygląda na to, że wiele osób z pierwszej listy płaci dużo wyższe czynsze, niż deklaruje to Lega. Wobec tego ciekawi mnie, czy ludzie wymienieni na drugiej liście rzeczywiście otrzymują pieniądze zgodnie z tym, co twierdzi Lega.

Pani Elettra słuchała go, pochyliwszy głowę nad swoim zeszytem, i pośpiesznie robiła notatki.

- Chciałbym panią prosić... jeśli nie jest pani zajęta innymi sprawami... Nad czym przez ten tydzień pracuje pani w naszym archiwum? - Słucham? - spytała, lekko unosząc się z krzesła. Notes spadł jej z kolan i pochyliła się, żeby go podnieść. - Przepraszam pana, komisarzu. - Ponownie rozłożyła notes. - W archiwum? Chciałam zobaczyć, czy znajdę coś na temat mecenasa Santomauro

albo pana Mascarięgo.

- I udało się pani?

- Niestety nie. Żaden z nich nie miał najmniejszych kłopotów z policją.

- Nikt w całym gmachu nie ma pojęcia, jaki jest system katalogowania informacji w archiwum, ale chciałbym panią prosić, żeby spróbowała pani dowiedzieć się czegoś o ludziach wymienionych w tych wykazach.

- Obu, panie komisarzu?

Ponieważ sama je sporządziła, wiedziała, że zawierają ponad dwieście nazwisk.

- Może pani zacznie od drugiej listy, ludzi wspomaganych finansowo. Są na niej nazwiska i adresy, więc może pani sprawdzić w miejskim ratuszu, którzy z nich są zameldowani.

Zgodnie z przepisami, będącymi przeżytkiem przeszłości, wszyscy obywatele musieli być oficjalnie zameldowani w mieście, w którym mieszkali, i musieli informować władze o każdorazowej zmianie adresu, co ułatwiało śledzenie ruchów i badanie przeszłości każdego człowieka, którym zainteresowały się czynniki oficjalne.

- Chciałbym, żeby sprawdziła pani ludzi na tej liście, dowiedziała się, czy byli notowani w kartotekach policyjnych tutaj lub w innych miastach, a nawet w innych krajach, choć nie mam pojęcia, jakie informacje uda się pani uzyskać.

Pani Elettra wszystko zapisywała i kiwała głową, dając do zrozumienia, że polecenia komisarza są dziecinnie proste.

- Gdy Vianello dowie się, które osoby płacą czynsz pod stołem - ciągnął - chciałbym, żeby pani wzięła od niego listę tych osób i również je sprawdziła.

- Gdy skończył mówić, pani Elettra uniosła na chwilę wzrok. - Czy zdoła pani to zrobić? Nie wiem, co się stało ze starymi aktami po tym, jak wprowadziliśmy komputery.

- Większość z nich wciąż leży na dole - odparła. - Panuje tam bałagan, ale wciąż można znaleźć wiele informacji.

- Będzie pani mogła to zrobić? - upewnił się. Choć pani Elettra pracowała tu niecałe dwa tygodnie, Brunetti miał poczucie, jakby była u nich od lat.

- Oczywiście. Ostatnio zauważyłam, że dysponuję sporą ilością wolnego czasu - odparła, zostawiając mu furtkę.

Kierowany nagłym impulsem, spytał:

- Co się dzieje?

- Dziś wieczorem mają pójść razem na kolację. W Mediolanie. Poleciał kierowcy, żeby zawiózł go tam po południu.

- Co z tego wyniknie, jak pani sądzi? - Zadał to pytanie, choć wiedział, że powinien był się powstrzymać.

- Kiedy aresztują Burrascę, ona wykupi bilet na pierwszy samolot. Ale on zaproponuje, że odwiezie ją do mieszkania Burraski po kolacji. Wydaje mi się, że sprawiłoby mu to ogromną satysfakcję: podwozi żonę, a tam stoją już samochody policji skarbowej. Gdy ona je zobaczy, prawdopodobnie wróci z nim dziś wieczorem.

- Dlaczego on chce, żeby wróciła do niego? - spytał na koniec.

Pani Elettra uniosła wzrok i spojrzała na niego, zdziwiona jego tępotą.

- On ją kocha, panie komisarzu. Sądzę, że zdołał się pan o tym przekonać.

Rozdział 23

W upalne dni Brunetti zwykle tracił apetyt, ale tego wieczoru, po raz pierwszy od kolacji z Padovanim, naprawdę poczuł głód. W drodze do domu zatrzymał się przy moście Rialto, zaskoczony, że po godzinie ósmej niektóre stragany z owocami i warzywami są wciąż otwarte. Kupił kilogram pięknych pomidorów, tak dojrzałych, że sprzedawca przestrzegł, aby niósł je ostrożnie i niczym nie przygniótł. Na drugim straganie kupił kilogram ciemnofioletowych fig i otrzymał takie samo ostrzeżenie. Na szczęście oprócz ostrzeżenia dostał od każdego ze sprzedawców plastikową torbę, więc zdołał donieść zakupy w dobrym stanie.

Otworzył wszystkie okna w mieszkaniu, przebrał się w luźne bawełniane spodnie i podkoszulek, po czym wszedł do kuchni. Pokroił cebulę, włożył pomidory do wrzątku, aby łatwiej zdjąć z nich skórkę, i wyszedł na taras, żeby zerwać kilka listków świeżej bazylii. Mechanicznie wykonując poszczególne czynności i nie koncentrując się na tym, co robi, przyrządził prosty sos, a następnie wstawił wodę na makaron. Kiedy osolona woda zaczęła wrzeć, wrzucił pół paczki *penne rigate* i zamieszał makaron.

Robiąc to wszystko, cały czas myślał o ludziach uwikłanych w wydarzenia ostatnich dziesięciu dni, ale nie starał się uporządkować plątaniny twarzy i nazwisk. Kiedy makaron był gotowy, odcedził go na durszlaku, włożył do miski i polał sosem. Dużą łyżką wymieszał wszystko i wyszedł na taras, gdzie wcześniej już zaniósł widelec, kieliszek i butelkę caberneta. Taras znajdował się tak wysoko, że trzeba było wejść na dzwonnice kościoła San Polo, aby z dostatecznie bliskiej odległości widzieć, co się na nim dzieje. Brunetti zjadł całą porcję makaronu, zgarnął resztki sosu kawałkiem chleba, a potem zaniósł misę

do kuchni i zabrał stamtąd świeżo umyte figi.

Nim zaczął je jeść, wszedł z powrotem do mieszkania po *Roczniki* Tacyty. Znalazł miejsce, gdzie skończył ostatnim razem, i zagłębił się w opowieści o niezliczonych potwornościach, jakie miały miejsce za panowania cesarza Tyberiusza, który wzbudzał w Tacycie wyjątkowe obrzydzenie. W dawnych czasach Rzymianie mordowali, dopuszczali się zdrady i szargali honor człowieka tak samo jak my, pomyślał. Czytał dalej, tylko utwierdzając się w tym przekonaniu, aż komary zaczęły dokuczać mu tak bardzo, że musiał wejść do mieszkania. Usadowił się na kanapie i oddał lekturze. Spis zbrodni i nikczemności popełnionych prawie dwa tysiące lat temu wymazał z jego pamięci te, które popełniono wokół niego. Położył się dobrze po północy, spał głęboko i nic mu się nie śniło. Obudził się odświeżony, tak jakby zyskał wiarę w to, że zagorzała i bezkompromisowa moralność Tacyty pomoże mu wytrwać do końca dnia.

Kiedy przyszedł tego ranka do pracy, ze zdziwieniem stwierdził, że Patta znalazł czas, aby przed wyjazdem poprzedniego dnia do Mediolanu poprosić sędziego śledczego o wydanie nakazu sądowego, który umożliwi im wgląd w dokumenty zarówno Lega della Moralita, jak i Banku Werony. Co więcej, jeszcze tego ranka nakaz sądowy doręczono obu instytucjom, których upoważnieni pracownicy zobowiązali się spełnić żądania sędziego śledczego. Obaj uprzedzili, że przygotowanie koniecznych dokumentów zabierze trochę czasu, i obaj nie potrafili sprecyzować, jak długo będzie to trwało.

Zbliżała się jedenasta, a Patta wciąż się nie pojawił. Prawie wszyscy w komendzie kupili tego ranka gazetę, ale nie znaleźli wzmianki o aresztowaniu Burraski. Nikogo to nie zdziwiło, lecz podsyciło ciekawość. Mnożyły się spekulacje co do rezultatów podróży zastępcy komendanta do Mediolanu. Brunetti unikał rozmów na ten temat. Połączył się z Guardia di Finanza i spytał, czy spełniona zostanie jego prośba o oddelegowanie kilku pracowników do sprawdzenia dokumentów Lega i banku. Ku swemu zaskoczeniu dowiedział się,

że sędzia śledczy, Luca Benedetti, już dzwonił w tej sprawie i polecił policji skarbowej zbadać te dokumenty, gdy tylko zostaną dostarczone.

Tuż przed obiadem przyszedł Vianello. Brunetti spodziewał się usłyszeć, że nie dostarczono dokumentów albo, co bardziej prawdopodobne, że obie instytucje nagle natknęły się na jakąś biurokratyczną przeszkodę, która spowoduje niemożliwą do sprecyzowania zwłokę w udostępnieniu żądanej dokumentacji.

- *Buon giorno*, panie komisarzu. - Vianello pozostał w drzwiach.

Brunetti uniósł wzrok znad leżących na biurku papierów.

- Tak, słucham.

- Dwie osoby chciałyby z panem porozmawiać.

- Kto to taki?

- Profesor Luigi Ratti i jego żona - oznajmił policjant i ograniczył dalsze informacje do krótkiego stwierdzenia: - z Mediolanu.

- Kim są pan profesor i jego żona, jeśli można wiedzieć?

- Wynajmują mieszkanie oddane do dyspozycji Lega. Mieszkają tam trochę ponad dwa lata.

- Mów dalej, Vianello - zainteresował się komisarz.

- Adres pana profesora był na liście mieszkań, które przypadło mi w udziale sprawdzić, więc dziś rano poszedłem tam. Kiedy spytałem pana profesora, jak doszło do tego, że otrzymał to mieszkanie, odparł, że decyzje Lega są poufne. Dowiedziałem się, że tytułem czynszu co miesiąc wpłaca dwieście dwadzieścia tysięcy lirów na rachunek Lega w Banku Werony. Kiedy poprosiłem, by pokazał mi kwity, odrzekł, że ich nie przechowuje.

- Ach tak? - wtrącił Brunetti z rosnącym zainteresowaniem.

Ponieważ nigdy nie można mieć pewności, czy jakaś instytucja rządowa nie stwierdzi zaległości w uiszczaniu opłat czy podatków albo nie dostrzeże braku jakiegoś dokumentu, każdy Włoch gromadzi wszystkie oficjalne druki, a zwłaszcza dowody dokonanych opłat. Brunetti i Paola mieli dwie szuflady

wypełnione rachunkami z zakładów użyteczności publicznej za ostatnie dziesięć lat i co najmniej trzy pudła wypchane różnymi dokumentami i przechowywane na strychu. Jeśli ktoś twierdzi, że wyrzucił pokwitowanie opłacenia czynszu, to jest albo szaleńcem, albo kłamcą.

- Gdzie mieszka pan profesor? - spytał Brunetti.

- W Zattere - odparł Vianello, wymieniając nazwę najbardziej atrakcyjnej dzielnicy w mieście. - Z jego okien widać Guideckę. Wszedłem tylko do korytarza, ale sądzę, że ma z sześć pokoi.

- I płaci raptem dwieście dwadzieścia tysięcy lirów? - zdziwił się Brunetti, pamiętając, że przed miesiącem tyle zapłacił Raffi za parę timberlandów.

- Zgadza się, panie komisarzu.

- W takim razie poproś tu pana profesora i jego żonę. Tak na marginesie, czego on jest profesorem?

- Chyba niczego, panie komisarzu.

- Rozumiem - powiedział Brunetti i zakręcił nasadkę pióra.

Vianello otworzył drzwi, a następnie cofnął się o krok, żeby przepuścić profesorostwo Rattich.

Profesor Ratti miał z pięćdziesiąt kilka lat, ale starał się to ukryć, wspomagany w swych wysiłkach zabiegami fryzjera, który obcinał mu włosy tak krótko przy skórze, że szpakowaty pan mógł uchodzić za blondyna. Gołębioszary garnitur od Gianniego Versace odmładzał go, podobnie jak rozpięta pod szyją jedwabna koszula w kolorze burgunda. Na gołych nogach miał buty z plecionej skóry, tego samego koloru co koszula, kupione niewątpliwie w Bottega Veneta. Zapewne ktoś zwrócił mu uwagę, że ma obwisły podbródek, więc zawiązał sobie pod szyją biały fular i w nienaturalny sposób zadzierał brodę, jakby niedbały optyk źle ustawił soczewki jego dwuogniskowych okularów.

Jeśli uznać, że profesor rzucał wyzwanie zbliżającej się starości, to jego żona najwyraźniej wdała się w otwartą walkę. Jej włosy były niesamowicie

podobne w kolorze do koszuli małżonka, a skóra twarzy tak napięta jak u tryskających energią nastolatek lub po ingerencji zdolnego chirurga. Szczupła jak tyczka, miała na sobie biały płócienny kostium, a pod rozpiętym zakietem szmaragdowozieloną bluzkę z jedwabiu. Widząc tę parę, Brunetti zadał sobie pytanie, jakim cudem mimo upału wyglądają świeżo i sprawiają wrażenie, że jest im chłodno. Chłód bił zwłaszcza z ich oczu.

- Pan chciał porozmawiać ze mną, profesorze? - spytał Brunetti. Wstał z krzesła, ale nie wyciągnął ręki na powitanie.

Profesor przytaknął i gestem ręki poprosił żonę, by usiadła na stojącym przed biurkiem krześle, a sam, nie proszony, przysunął sobie drugie krzesło spod ściany. Gdy oboje już się usadowili, powiedział:

- Przyszedłem tu, aby oznajmić panu, iż z oburzeniem przyjąłem najście policji na mój dom. Ponadto chcę zaprotestować przeciwko insynuacjom funkcjonariusza.

Jak wielu mediolańczyków, Ratti opuszczał w wymowie głoskę „r”, co Brunettiemu zawsze kojarzyło się z dykcją aktorek operujących głębokimi oddechami.

- Co to były za insynuacje, profesorze? - spytał Brunetti, siadając za biurkiem i dając znak Vianellowi, aby pozostał w drzwiach.

- Że są jakieś nieścisłości dotyczące lokalu, na który mam umowę najmu.

Brunetti spojrzał na Vianella, który wznosił oczy do sufitu, wyrażając swoje nastawienie do mediolańskiej wymowy, połączonej teraz z napuszczonym słownictwem.

- Na jakiej podstawie sądzi pan, że to są insynuacje, profesorze? - ciągnął Brunetti.

- Jak inaczej mam rozumieć wdarcie się policji do mojego mieszkania oraz żądanie, bym okazał pokwitowania za zapłacony czynsz?

Gdy profesor wyjaśniał powody swego niezadowolenia, jego żona wodziła wzrokiem po pokoju.

- „Wdarcie się”, profesorze? „Żądanie”? - powtórzył swobodnym tonem Brunetti i zwrócił się do Vianella: - Sierzancie, w jaki sposób weszliście do... lokalu, na który pan profesor ma umowę najmu?

- Wpuściła mnie pokojówka.

- I co jej powiedzieliście, sierzancie?

- Że chciałbym rozmawiać z profesorem Rattim.

- Rozumiem - odparł Brunetti i ponownie skierował uwagę na profesora. -

W jaki sposób przedstawiono to „żądanie”, profesorze?

- Pański sierżant chciał, żebym okazał pokwitowania za zapłacony czynsz. Komu by się chciało przechowywać takie rzeczy?

- Pan nie ma zwyczaju przechowywać pokwitowań, profesorze?

Ratti machnął ręką, a jego żona spojrzała na Brunettiego z udawanym zdumieniem, dając do zrozumienia, że przechowywanie kwitów na tak małą kwotę jest ogromną stratą czasu.

- Co by pan zrobił, gdyby właściciel mieszkania miał pretensje, że nie zapłacił pan czynszu? Jaki dowód by pan przedstawił? - zapytał Brunetti.

Gest, jaki teraz zrobił Ratti, miał oznaczać, że taka możliwość w ogóle nie wchodzi w rachubę, natomiast spojrzenie jego żony mówiło, że nikomu nie przyszłoby nawet na myśl kwestionować prawdomówności męża.

- Czy może mi pan powiedzieć, jak opłaca pan czynsz za mieszkanie, profesorze?

- Nie rozumiem, dlaczego ta sprawa miałaby interesować policję - wypalił Ratti wojowniczym tonem. - Nie jestem przyzwyczajony, by tak mnie traktowano.

- To znaczy jak, profesorze? - szczerze zainteresował się Brunetti.

- Jak podejrzanego.

- Czy policja kiedyś potraktowała pana jak podejrzanego? Czy miał pan okazję poznać to uczucie?

Ratti lekko uniół się z krzesła i spojrzał na żonę.

- Nie ma powodu, bym miał dłużej to znosić - odparł. - Jeden z moich znajomych jest radcą miejskim.

Pani Ratti wykonała nieznaczny gest ręką i jej mąż powoli opadł na krzesło.

- Czy może mi pan powiedzieć, jak opłaca pan czynsz za mieszkanie, profesorze? - powtórzył Brunetti.

Profesor spojrzał mu prosto w oczy, mówiąc:

- Wpłacam należną sumę do Banku Werony.

- Przy San Bartolomeo?

- Tak.

- Jaka to jest suma?

- Nieznaczna - odparł Ratti z lekceważeniem.

- Dwieście dwadzieścia tysięcy lirów?

- Tak.

Brunetti kiwnął głową.

- A jaka jest powierzchnia mieszkania? - zapytał.

W tym momencie wtrąciła się pani Ratti, dając do zrozumienia, że takie idiotyzmy przekraczają granice jej wytrzymałości.

- Nie mamy pojęcia. Zaspokaja nasze potrzeby - stwierdziła.

Brunetti przysunął do siebie listę mieszkań powierzonych Lega, przewrócił pierwsze dwie kartki i przejechał palcem w dół, zatrzymując się przy nazwisku Ratti.

- Trzysta dwadzieścia metrów kwadratowych. Sześć pokoi. Sądzę, że takie mieszkanie może zaspokoić rozmaite potrzeby.

- Co to ma znaczyć? - zachnęła się pani Ratti.

- Dokładnie to, co powiedziałem, i nic więcej, proszę pani - odparł Brunetti ze spokojem. - Sześć pokoi to dostateczna przestrzeń dla dwóch osób, bo państwo mieszkają tam sami, prawda?

- Z pokojówką - uściśliła pani Ratti.

- A więc dla trzech osób - poprawił się Brunetti. - Też się doskonale zmieszczą. - Nie zmieniając wyrazu twarzy, przeniósł wzrok z pani Ratti na jej męża. - Jak to się stało, że Lega wynajęła panu mieszkanie, profesorze?

- Bardzo prosto - oświadczył Ratti lekko zawadiackim, jak się wydawało Brunettiemu, tonem. - Złożyłem podanie w zwykłym trybie i otrzymałem mieszkanie.

- Do kogo adresował pan to podanie?

- Do Lega della Moralita, to oczywiste.

- A skąd pan wiedział, że Lega ma mieszkania do wynajęcia?

- Wszyscy w mieście o tym wiedzą. Nieprawdaż, panie komisarzu?

- Może jeszcze nie teraz, ale wkrótce będą wiedzieli.

Państwo Ratti nie zareagowali na tę uwagę, ale pani profesorowa rzuciła mężowi szybkie spojrzenie i zaraz przeniosła wzrok na komisarza.

- Czy pan pamięta, kto powiadomił pana, że są mieszkania do wynajęcia?

Oboje natychmiast odpowiedzieli przecząco. Brunetti pozwolił sobie na błądy uśmiech i zauważył:

- Co do tego najwyraźniej nie mają państwo wątpliwości. - Zrobił jakąś nic nie znaczącą notatkę przy ich nazwisku na wykazie. - A czy przeprowadzono z państwem rozmowę poprzedzającą ostateczną decyzję o przyznaniu mieszkania?

- Nie - odparł Ratti. - Wypełniliśmy i wysłaliśmy formularze. A potem dostaliśmy wiadomość, że wybór padł na nas.

- Wiadomość nadeszła listownie czy przez telefon?

- To było tak dawno temu, że już nie pamiętam - rzekł profesor. Spojrzał na żonę, a ona potrząsnęła przecząco głową.

- Państwo mieszkają tam od dwóch lat?

- Tak.

- I nie zachowali państwo ani jednego kwitu za opłacony czynsz?

Tym razem przecząca odpowiedź padła od pani Ratti.

- Proszę mi powiedzieć, profesorze, ile czasu w roku spędzają państwo w tym mieszkaniu.

- Przyjeżdżamy tu na karnawał - odparł Ratti po chwili zastanowienia.

- To oczywiste - uzupełniła zdanie męża pani profesorowa.

- Jesteśmy tu we wrześniu i czasami podczas świąt Bożego Narodzenia - ciągnął profesor.

- No i, oczywiście, spędzamy tu czasem weekend - wtrąciła pani Ratti.

- Oczywiście - przytaknął Brunetti. - A pokojówka?

- Przyjeżdża razem z nami z Mediolanu.

- Oczywiście. - Brunetti kiwnął głową i znowu coś zapisał na leżącej przed nim liście. - Chciałbym pana zapytać, profesorze, czy znane są panu dążenia Lega, jej cele.

- Wiem, że zmierza do poprawy stanu moralności publicznej - oświadczył profesor, tonem wyrażając przekonanie, że takie działania zawsze są potrzebne.

- O tak - zgodził się Brunetti. - Ale ja miałem na myśli cel wynajmowania tych mieszkań.

Ratti rzucił żonie szybkie spojrzenie i odrzekł:

- Sądzę, że stowarzyszenie chce wynajmować mieszkania ludziom tego godnym.

- W takim razie, profesorze - ciągnął Brunetti - czy nie wydaje się panu dziwne, że Lega, będąca stowarzyszeniem działającym w Wenecji, wynajęła jedno z oddanych jej do dyspozycji mieszkań osobie z Mediolanu, która korzysta z niego zaledwie przez kilka miesięcy w roku? - Ratti milczał, więc Brunetti przycisnął go jeszcze bardziej. - Z pewnością wie pan, jak trudno jest znaleźć mieszkanie w tym mieście.

Na tę uwagę zareagowała pani Ratti.

- Sądziliśmy, że chcą oddać takie mieszkanie w ręce ludzi, którzy potrafią je docenić i właściwie się o nie zatroszczyć.

- Czy chce pani przez to powiedzieć, że państwo potrafią lepiej

zatroszczyć się o tak duże mieszkanie niż, na przykład, rodzina stolarza z Cannaregio?

- To chyba zrozumiałe samo przez się.

- A kto, jeśli wolno spytać, pokrywa koszty napraw w tym mieszkaniu? - spytał Brunetti.

- Jak na razie nie było potrzeby dokonywać żadnych napraw - odparła pani Ratti z uśmiechem.

- Ale w umowie, o ile państwo ją zawarli, jest zapewne klauzula, która jasno określa, kto ponosi koszty napraw.

- Oni są za to odpowiedzialni - oznajmił Ratti.

- Kto? Lega?

- Tak.

- A więc najemca nie jest odpowiedzialny za utrzymanie mieszkania w dobrym stanie?

- Nie.

- A państwo przebywają w nim przez... - Brunetti urwał i zerknął na leżące przed nim papiery, tak jakby znajdowały się w nich konkretne dane - ...przez dwa miesiące w roku. - Ratti milczał, więc Brunetti zapytał:

- Zgadza się, profesorze?

W odpowiedzi padło krótkie i niechętne „tak”.

Celowo imitując gest księdza, który uczył go katechizmu w gimnazjum, Brunetti pieczołowicie złożył ręce, kładąc je tuż pod leżącymi na biurku papierami, i powiedział:

- Wydaje mi się, że nadeszła chwila, kiedy będzie pan musiał dokonać wyboru, profesorze.

- Nie rozumiem.

- Już wyjaśniam. Pierwsza możliwość jest następująca: powtórzmy tę rozmowę, nagrywając moje pytania i pana odpowiedzi na taśmę magnetofonową, lub wezwę sekretarkę, która będzie je stenografowała. Tak czy

owak będę prosił pana, jak również pana małżonkę, ponieważ państwa wypowiedzi są zgodne, o podpisanie tego zeznania. - Tu zrobił dłuższą pauzę, aby dobrze pojęli sens jego słów. - Albo też, co moim zdaniem jest o wiele mądrzejsze, zacznij pan mówić prawdę.

Państwo Ratti zrobili zdziwione miny, a pani profesorowa nawet udała oburzenie.

- W obu wypadkach - dodał ze spokojem - dojdzie co najmniej do tego, że stracą państwo mieszkanie, choć pewno upłynie trochę czasu, nim to nastąpi. Ale niewątpliwie tak się stanie. Drobną sprawą, lecz bezsporną. - Zaintrygowało go to, że żadne z nich nie domaga się, by wyjaśnił, o co mu chodzi. - Wiadomo, że wiele mieszkań jest wynajmowanych nielegalnie i że ktoś blisko związany z Lega od lat pobiera za nie czynsz niezgodnie z prawem. - Gdy profesor Ratti zaczął oponować, Brunetti uniósł na chwilę ręce i zaraz szybko znowu je złożył. - Gdyby była to jedynie sprawa oszustwa, korzystniej byłoby dla państwa dalej utrzymywać, że o niczym nie wiedzą. - Brunetti przerwał, przysięgając sobie, że wydusi z nich prawdę.

- A jaka to sprawa? - spytał Ratti, po raz pierwszy od przekroczenia progu tego pokoju wyrażając się w bardziej stonowany sposób.

- Sprawa morderstwa. A właściwie trzech, w tym morderstwa policjanta. Rozumieją więc państwo, że dołożymy wszelkich starań, aby doprowadzić tę sprawę do końca. Jeden z naszych ludzi został zabity. Zamierzamy znaleźć sprawców tej zbrodni i ich ukarać. - Przerwał na chwilę, aby te słowa do nich trafiły. - Jeśli będą państwo z uporem podtrzymywać dotychczasowe zeznania, uwikłają się w sprawę morderstwa.

- Nic nie wiemy o żadnym morderstwie - ostro powiedziała pani Ratti.

- Teraz już państwo wiedzą. Osoba, która uknuła plan wynajmu mieszkań, jest również sprawcą tych trzech morderstw. Jeśli państwo nie zgodzą się udzielić nam pomocy w ustaleniu, kto odpowiada za wynajmowanie państwu mieszkania i pobieranie co miesiąc czynszu, będą państwo posądzeni o

utrudnianie prowadzenia śledztwa w sprawie morderstwa. Chyba nie muszę przypominać, że grozi za to o wiele surowsza kara niż za udzielanie wymijających informacji w sprawie oszustwa. A już od siebie chciałbym dodać, że zrobię wszystko, aby państwo ponieśli tę karę, jeśli w dalszym ciągu będą odmawiać nam pomocy.

Ratti wstał z krzesła.

- Chciałbym porozmawiać z żoną. Na osobności.

- Nie zgadzam się - odparł Brunetti, po raz pierwszy podnosząc głos.

- Mam do tego prawo - oburzył się profesor.

- Ma pan prawo porozumieć się ze swoim adwokatem, panie Ratti. Nie mam nic przeciwko temu. Ale w sprawie, o której rozmawiamy, muszą państwo zdecydować teraz, w mojej obecności.

Brunetti znacznie przekroczył swoje uprawnienia i liczył jedynie na to, że jego rozmówcy nie orientują się w sytuacji.

Państwo Ratti spoglądali na siebie tak długo, że stracił wszelką nadzieję. W końcu pani profesorowa kiwnęła głową i oboje z powrotem usiedli.

- No dobrze - powiedział Ratti - ale chcę zaznaczyć, że nic nie wiemy o tym morderstwie.

- Morderstwach - skorygował jego wypowiedź Brunetti i zauważył, że ta poprawka zrobiła silne wrażenie na profesorze.

- Trzy lata temu - rozpoczął swoją opowieść Ratti - jeden z naszych znajomych z Mediolanu powiedział nam, że zna kogoś, kto może pomóc nam wynająć mieszkanie w Wenecji. Przez pół roku staraliśmy się coś znaleźć, ale okazało się to bardzo trudne, zwłaszcza że zależało nam na dobrej lokalizacji. - Brunetti obawiał się, iż przyjdzie mu wysłuchiwać długich uzalezań, ale profesor prawdopodobnie wyczuł jego zniecierpliwienie i powiedział: - Nasz znajomy podał nam numer telefonu w Wenecji, pod który mieliśmy zadzwonić. Zrobiliśmy to, wyjaśniliśmy, w jakiej sprawie telefonujemy, a nasz rozmówca spytał, jakiego mieszkania szukamy i ile jesteśmy skłonni zapłacić. - Ratti

przerwał.

A może zamilkł na dobre? - zaniepokoił się Brunetti.

- No i...? - wtrącił ponagląjącym tonem, jakiego używał w szkole ksiądz, gdy uczniowie zwracali się do niego z pytaniami lub wątpliwościami dotyczącymi katechizmu.

- Powiedziałem mu, czego szukamy, a on zapewnił nas, że skontaktuje się z nami za kilka dni. I rzeczywiście zadzwonił, mówiąc, że jeśli przyjedziemy w najbliższy weekend do Wenecji, pokaże nam trzy lokale. Przyjechaliśmy tu i obejrzeliliśmy mieszkania.

- Czy pokazał je państwu ten sam człowiek, do którego państwo zadzwonili?

- Tego nie wiem. Ale na pewno był to człowiek, który do nas oddzwonił.

- Jak się nazywa?

- Płacimy mu czynsz, ale nie znam jego nazwiska.

- Jak to się odbywa?

- Dzwoni do nas w ostatni tydzień miesiąca i umawia się na spotkanie. Zwykle ma ono miejsce w jakimś barze, choć czasami, w lecie, spotykamy się na świeżym powietrzu.

- Gdzie? W Wenecji czy w Mediolanie?

Tu wtrąciła się pani Ratti:

- Wygląda na to, że on wie, gdzie akurat przebywamy. Gdy jesteśmy w Wenecji, dzwoni tu, a jeśli mieszkamy w Mediolanie, dzwoni do Mediolanu.

- I co potem?

- Spotykam się z nim i daję pieniądze - odpowiedział pan Ratti.

- Jaka to suma?

- Dwa i pół miliona lirów.

- Miesięcznie?

- Tak. Czasami płacę mu za kilka miesięcy z góry.

- Wie pan, kim jest ten człowiek? - dopytywał się Brunetti.

- Nie znam jego nazwiska, ale parokrotnie widziałem go na ulicy.

Brunetti doszedł do wniosku, że zdąży jeszcze poprosić o podanie rysopisu, i porzucił ten temat.

- Przejdźmy do Lega - zaproponował. - Jaka jest ich rola w tym wszystkim?

- Kiedy poinformowaliśmy tego człowieka, że jesteśmy zainteresowani jednym z mieszkań, podał nam cenę. Zaczęliśmy się targować i w końcu opuścił do dwóch i pół miliona - powiedział Ratti z nie skrywanym samozadowoleniem.

- A Lega? - powtórzył Brunetti.

- Ten człowiek powiedział, że Lega przyśle nam formularze, które mamy wypełnić i zwrócić im, a potem będziemy mogli wprowadzić się do mieszkania w ciągu dwóch tygodni.

- Powiedział nam również, żebyśmy nikomu nie mówili, jak znaleźliśmy to mieszkanie - wtrąciła pani Ratti.

- Czy ktoś o to pytał?

- Kilku znajomych z Mediolanu - odparła. - Powiedzieliśmy im, że skorzystaliśmy z pośrednictwa agencji wynajmu mieszkań.

- A co powiedzieli państwo znajomemu, od którego na początku otrzymali państwo numer telefonu?

- To samo - odrzekł Ratti. - Że skorzystaliśmy z agencji.

- Czy wiedzą państwo, skąd ów znajomy znał ten numer?

- Mówił, że ktoś podał mu go na przyjęciu.

- Czy pamiętają państwo, kiedy odbyła się ta pierwsza rozmowa telefoniczna? Jaki to był miesiąc i który rok?

To pytanie natychmiast rozbudziło podejrzliwość Rattiego.

- Dlaczego pan pyta? - rzekł.

- Chciałbym mieć jasny obraz, kiedy to wszystko się zaczęło - skłamał Brunetti. Tak naprawdę przyszło mu na myśl, że można sporządzić wykaz wszystkich rozmów telefonicznych, które w tym okresie przeprowadzili państwo

Ratti, i odszukać połączenia z Wenecją.

Z pewnym sceptycyzmem, wyczuwalnym w wyrazie twarzy i w głosie, Ratti odparł:

- To było w marcu, dwa lata temu. Gdzieś pod koniec miesiąca.

Przeprowadziliśmy się tu na początku maja.

- Aha. I od tego czasu nie mieli państwo żadnych kontaktów z Lega?

- Nie.

- Przejdźmy do sprawy pokwitowań - powiedział Brunetti.

Ratti zaczął się niespokojnie wiercić na krześle.

- Co miesiąc dostajemy pokwitowanie z banku - odparł.

- Na jaką kwotę?

- Dwieście dwadzieścia tysięcy lirów.

- Więc dlaczego państwo nie pokazali ich sierżantowi Vianello?

- Nie chcieliśmy być w nic wmieszani - wtrąciła pani Ratti.

- Z powodu sprawy Mascariego? - zapytał niespodziewanie Brunetti.

- Co pan ma na myśli? - rzekł profesor z rosnącym niepokojem.

- Nie był pan zaskoczony wiadomością, że dyrektor banku, z którego dostaje pan pokwitowanie za opłacenie czynszu, został zabity?

- Dlaczego miałbym być zaskoczony? - oburzył się Ratti. - Czytałem o tym, jak zmarł, i sądziłem, że zabił go któryś z jego... jak to się mówi?... Klientów?

Brunetti był niemal pewny, że w dzisiejszych czasach wszyscy znają to słowo, ale nie rozwiązał językowych wątpliwości profesora.

- Czy ostatnio ktoś kontaktował się z panem w sprawie mieszkania?

- Nie.

- Jeśli mężczyzna, któremu płacą państwo czynsz, zadzwoni albo może nawet odwiedzi państwa, spodziewam się, że zostaną o tym natychmiast powiadomiony.

- Tak, oczywiście, panie komisarzu - odparł Ratti, znowu występując w

roli przykładowego obywatela.

Nagle Brunetti uprzytomnił sobie, że pozerstwo i markowe stroje tych ludzi przyprawiają go o mdłości.

- Sierżant Vianello zaprowadzi państwa na dół - powiedział. - Proszę podać mu dokładny rysopis człowieka, któremu płacą państwo czynsz. - Następnie zwrócił się do Vianella: - Jeśli będziesz miał wrażenie, że jest to ktoś nam znany, pokaż zdjęcia.

Vianello kiwnął głową i otworzył drzwi. Państwo Ratti wstali, ale żadne z nich nie zdobyło się na to, by na pożegnanie podać rękę Brunettiemu. Profesor ujął ramię małżonki, poprowadził ją kilka kroków do drzwi, a następnie stanął z boku i przepuścił pierwszą. Vianello rzucił spojrzenie Brunettiemu, pozwolił sobie na nikły uśmiech i wyszedł za nimi.

Rozdział 24

Tego dnia Brunetti krótko rozmawiał z Paolą. Spytała go, czy wydarzyło się coś nowego, po czym ponowiła propozycję, że przyjedzie na kilka dni do Wenecji, a dzieci zostawi w hotelu. Przekonał ją jednak, że w taki upał nie ma sensu wracać do miasta.

Resztę wieczoru spędził w towarzystwie cesarza Nerona, o którym Tacyt napisał, że był „naturalnymi i nienaturalnymi chuciami zhańbiony”. Poszedł spać dopiero wtedy, gdy skończył czytać opis pożaru Rzymu, który zdaniem Tacyty nastąpił w wyniku ceremonii zaślubin Nerona z mężczyzną, kiedy to cesarz zaszokował nawet swój rozpustny dwór, bo „kazał narzucić na siebie welon ślubny”* [Tłum. S. Hammer.]. Wszędzie ci transwestyci, pomyślał Brunetti.

Następnego dnia w porannym „Corriere” podano wiadomość o aresztowaniu Burraski, słowem nie wspominając o pani Patcie. Brunetti nie zdążył przeczytać gazety przed pogrzebem Marii Nardi. Kościół dei Gesuiti był zatłoczony; w ceremonii uczestniczyła rodzina, przyjaciele i większość pracowników weneckiej policji. Przybył również funkcjonariusz Scarpa z Mestre, który wytłumaczył nieobecność sierżanta Galla, zmuszonego pozostać jeszcze przez co najmniej trzy dni w Mediolanie, aby uczestniczyć w toczącym się tam procesie. Pojawił się nawet zastępca komendanta Patta, ubrany w granatowy garnitur i sprawiający wrażenie dość przygnębionego. Brunetti nie mógł pozbyć się myśli, że śmierć kobiety podczas wykonywania obowiązków służbowych jest większym nieszczęściem niż śmierć mężczyzny, choć zdawał sobie sprawę, że jest to wyraz jego sentymentalności i politycznej niepoprawności. Kiedy sześciu umundurowanych policjantów wynosiło po mszy

trumnę, stanął na stopniach kościoła. Zobaczywszy wychodzącego chwiejnym krokiem, zapłakanego i załamane go nieszczęściem męża Marii Nardi, odwrócił wzrok. Patrzył na lagunę, gdy Vianello dotknął jego ramienia.

- Panie komisarzu?

Brunetti ocknął się.

- Chyba zidentyfikowali tamtego człowieka.

- Kiedy to się stało? Dlaczego nic mi nie mówiłeś?

- Dowiedziałem się o tym dopiero dziś rano. Wczoraj po południu obejrzeliby zdjęcia, ale powiedzieli, że nie mają pewności. Wydaje mi się, że już wtedy rozpoznali go, ale chcieli najpierw porozmawiać ze swoim adwokatem. Przyszli dziś rano, o dziewiątej, i rozpoznali Pietro Malfattiego.

Brunetti cicho gwizdnął. Malfatti latami wymykał się im z rąk; był notowany za przestępstwa z użyciem siły, w tym za gwałt i próbę zabójstwa, ale oskarżenia zawsze jakoś się rozplywały, zanim postawiono go przed sądem, gdyż świadkowie odwoływali zeznania albo twierdzili, że podczas pierwszej próby identyfikacji popełnili pomyłkę. Dwa razy trafił do więzienia - raz za to, że żył z zarobków prostytutki, a drugi raz za próbę wymuszenia haraczu od właściciela baru. Bar spłonął podczas jego dwuletniego pobytu za kratkami.

- Czy byli zdecydowani w swej opinii?

- Sprawiali wrażenie, że są całkiem pewni.

- Mamy jego adres?

- Ostatnim razem ustaliliśmy, że ma mieszkanie w Mestre, ale od ponad roku już tam nie mieszka.

- Znajomi? Kobiety?

- Sprawdzamy.

- A krewni?

- Nie pomyślałem o tym. Jakaś wzmianka na ten temat powinna być w jego aktach.

- Sprawdź rodzinę. Jeśli Malfatti ma kogoś bliskiego, matkę albo brata,

postaw kogoś na straży w jakimś mieszkaniu w sąsiedztwie. Albo nie - poprawił się, przypominając sobie te nieliczne, znane mu fakty z historii Malfattiego - postaw tam dwóch ludzi.

- Tak jest, panie komisarzu. Coś jeszcze?

- A dokumenty z banku i z Lega?

- Powinny być dzisiaj do odebrania.

- Chcę je mieć. Nawet jeśli będziesz musiał sam pójść i wy dostać te papiery. Chcę mieć całą dokumentację dotyczącą opłat za te mieszkania. Dopilnuj, żeby przesłuchano wszystkich pracowników banku i sprawdzono, czy Mascari coś im mówił na temat Lega. Kiedykolwiek. Jeśli będzie trzeba, poproś sędziego, żeby poszedł z tobą i wyciągnął od nich tę dokumentację.

- Tak jest, panie komisarzu.

- Kiedy będziesz w banku, dowiedz się, kto był odpowiedzialny za nadzorowanie rachunków Lega.

- Może Ravanello?

- To prawdopodobne.

- Zobaczymy, co się da zrobić. A Santomauro, panie komisarzu?

- Dzisiaj z nim porozmawiam.

- Czy to... - Vianello powstrzymał się od podważenia słuszności tego kroku i spytał krótko: - Czy zgodzi się tak bez zapowiedzenia?

- Wydaje mi się, sierzancie, że mecenas Santomauro będzie bardzo ciekaw tej rozmowy.

I rzeczywiście tak było. Kancelaria adwokata mieściła się przy Campo San Luca, na drugim piętrze budynku znajdującego się w odległości dwudziestu metrów od trzech różnych banków. Bardzo stosowna lokalizacja, pomyślał Brunetti, gdy sekretarka mecenasu wprowadziła go do gabinetu.

Santomauro siedział przy biurku, za którym znajdowało się duże okno wychodzące na plac. Było jednak szczelnie zamknięte, a w pokoju panował dość nieprzyjemny chłód, zwłaszcza w porównaniu z tym, co było widać na dworze -

ludzie przechodzili przez plac lekko ubrani, pokazując gołe ramiona, nogi, plecy i ręce - a tu człowiek odczuwał chłód, nawet gdy miał na sobie marynarkę i krawat.

Kiedy Brunetti został wprowadzony, prawnik uniósł wzrok, ale nie zechciał ani uśmiechnąć się, ani wstać. Miał na sobie tradycyjny szary garnitur, ciemny krawat i lśniąco białą koszulę. Jego szeroko rozstawione niebieskie oczy spoglądały na świat z pozorną otwartością. Twarz była blada, jak w środku zimy - ludzie, którzy działają na polu prawa, nie wiedzą co to wakacje, pomyślał Brunetti.

- Proszę usiąść, komisarzu - powiedział Santomauro. - Co pana do mnie sprowadza?

Wyciągnął rękę i przesunął zdjęcie w srebrnej ramie lekko na prawo, tak aby lepiej widzieć Brunettiego i aby Brunetti lepiej widział fotografię. Przedstawiała kobietę w wieku Santomaura i dwóch podobnych do niego młodzieńców.

- Wiele powodów, panie mecenasie - odparł Brunetti. - Zacznę od Lega della Moralita.

- W tej sprawie będzie pan musiał zwrócić się do mojej sekretarki. Moja rola w działalności tego stowarzyszenia jest czysto formalna.

- Jak mam to rozumieć, mecenasie?

- Lega musi mieć jakiegoś nominalnego przedstawiciela, który występuje jako prezes. Jestem pewien, iż zdołał pan już dowiedzieć się, że my, członkowie zarządu, nie mamy wpływu na bieżące działania podejmowane przez stowarzyszenie. Konkretną pracę wykonuje dyrektor banku, który prowadzi naszą księgowość.

- W takim razie jaka dokładnie jest pana rola?

- Już panu mówiłem: jestem figurantem - odparł z nieznacznym uśmiechem Santomauro. - Mam pewną... hm... pozycję społeczną i dlatego poproszono mnie, abym został prezesem. Jest to czysto tytularne stanowisko.

- Kto pana poprosił?
- Władze banku, który zajmuje się rachunkami Lega.
- Skoro interesami Lega zajmuje się dyrektor banku, to jakie są pana obowiązki, mecenasie?
 - Występuję w imieniu stowarzyszenia, gdy prasa zwraca się do nas z zapytaniem albo gdy trzeba wyrazić nasze stanowisko w jakiejś sprawie.
- Rozumiem. A poza tym?
 - Dwa razy w roku spotykam się z przedstawicielem banku, który prowadzi nasze rachunki, i omawiam z nim sytuację finansową stowarzyszenia.
 - Jak wygląda ta sytuacja, jeśli wolno spytać?
Santomauro położył dłonie na biurku.
 - Jak pan wie, jesteśmy organizacją niedochodową, więc wystarczy, abyśmy utrzymywali się na powierzchni, by tak rzec, w sensie finansowym.
 - Co należy przez to rozumieć? W sensie finansowym, oczywiście.
Santomauro zdobył się na jeszcze większy spokój i cierpliwość wobec rozmówcy.
 - Staramy się zebrać tyle pieniędzy, abyśmy mogli dalej udzielać zapomóg ludziom, których uznano za uprawnionych do ich otrzymywania.
 - A kto, jeśli wolno spytać, decyduje, komu przysługują te uprawnienia?
 - Oczywiście przedstawiciel banku.
 - Kto podejmuje decyzje o przyznawaniu mieszkań będących w dyspozycji Lega?
 - Ta sama osoba - odparł Santomauro, pozwalając sobie na uśmiech, i dodał: - Przyjęło się, że zarząd tylko zatwierdza jego propozycje.
 - A pan, jako prezes, czy ma pan głos w tej sprawie, jakąś możliwość podejmowania decyzji?
 - Gdybym chciał z niej skorzystać, to pewno bym mógł. Ale, jak już wspomniałem, panie komisarzu, nasze stanowiska są czysto honorowe.
 - Co to znaczy, mecenasie?

Zanim padła odpowiedź, Santomauro dotknął czubkiem palca blatu biurka i zdjął z niego drobinę kurzu. Przesunął rękę w bok i strząsnął z niej pyłek.

- Jak mówiłem, moje stanowisko jest wyłącznie tytularne. Znając tak wielu mieszkańców tego miasta, nie uważam za stosowne decydować, którzy z nich odniosą korzyści z filantropijnej działalności Lega. Jestem przekonany, że członkowie zarządu, jeśli wolno mi wyrażać się w ich imieniu, podzielają moje odczucia.

- Ach tak... - Brunetti nie krył swych wątpliwości.

- Trudno panu w to uwierzyć, komisarzu?

- Gdybym powiedział panu, mecenasie, w co trudno mi uwierzyć, nie byłoby to zbyt roztropne z mojej strony - odparł Brunetti i zaraz spytał: - Czy prowadzi pan również sprawy majątkowe pana Crespo?

Od lat Brunetti nie widział mężczyzny, który siedzi z zasznurowanymi ustami, ale właśnie tak wyglądał Santomauro, nim udzielił mu odpowiedzi.

- Byłem adwokatem pana Crespo, więc to oczywiste, że prowadzę również jego sprawy majątkowe.

- Czy to duży majątek?

- To poufna informacja, panie komisarzu, o czym pan, dyplomowany prawnik, powinien wiedzieć.

- O tak. Przypuszczam również, że charakter kontaktów, jakie miał pan z panem Crespo, stanowi równie poufną informację.

- Widzę, że jednak pamięta pan przepisy, komisarzu.

- Chciałbym spytać, czy dokumenty Lega, cała księgowość, zostały przekazane policji.

- Powiedział to pan w taki sposób, komisarzu, jakby pan nie był pracownikiem policji.

- Gdzie są te dokumenty, panie Santomauro?

- Oczywiście w rękach pana kolegów, komisarzu. Dziś rano poprosiłem sekretarkę, żeby zrobiła kopie.

- Nam potrzebne są oryginały.

- To jasne, że przekazaliśmy wam oryginały - odparł Santomauro, obdarzając Brunettiego uśmiechem. - Pozwoliłem sobie zrobić kopie na własny użytek, gdyby przypadkiem coś się zawieruszyło, gdy będą w waszej pieczy.

- Pan jest bardzo przezorny, mecenasie - rzekł Brunetti, nie siląc się na uśmiech. - Nie będę pana więcej absorbował. Zdaję sobie sprawę, jak cenny jest czas człowieka, który ma taką pozycję społeczną jak pan. Ale miałbym jeszcze jedno pytanie. Czy może mi pan powiedzieć, który z pracowników banku prowadzi rachunki Lega? Chciałbym z nim porozmawiać.

Na twarzy Santomaura wykwitł szeroki uśmiech.

- Niestety to niemożliwe, komisarzu. Widzi pan, rachunki Lega od początku prowadził nieżyjący już Leonardo Mascari.

Rozdział 25

Brunetti podziwiał kunszt, z jakim Santomauro obciążył winą Mascariego. Cała sprawa opierała się teraz na bardzo wątych przesłankach - dokumentacja bankowa była tak spreparowana, aby wyglądało na to, że prowadził ją Mascari, poza tym pracownicy banku nie wiedzieli albo nie byli w stanie przypomnieć sobie, czy jeszcze ktoś zajmował się rachunkami Lega, w rezultacie niczego nie można było dowiedzieć się o mordercach Mascariego i Crespa.

W komendzie poinformowano go, że zarówno Bank Werony, jak i Lega udostępniły swoją dokumentację policjantom, którzy przyszli ją odebrać. Trzech pracowników Guardia di Finanza już zaczęło przeglądać papiery, szukając informacji o tym, kto nadzorował prowadzenie rachunków, na podstawie których wypisywano potem czeki na działalność charytatywną Lega.

Wiedział, że nie ma po co schodzić na dół i stać nad pracującymi ludźmi, ale trudno mu było się powstrzymać, żeby przynajmniej nie przejść koło pokoju, gdzie zostali umieszczeni. Nie chcąc ulec tej pokusie, poszedł zjeść obiad, celowo wybierając restaurację w Ghetto, choć oznaczało to, że czeka go długi spacer tam i z powrotem w porze największego upału. Kiedy po trzeciej wrócił do biura, czuł, że marynarkę ma przesiąkniętą potem, a buty kleją mu się do stóp.

Kilka minut później do jego pokoju wszedł Vianello. Bez wstępów powiedział:

- Sprawdziłem listę ludzi, którzy otrzymują czeki od Lega.

Brunetti wyczuł jego nastrój.

- I co znalazłeś? - spytał.

- Matka Malfattiego ponownie wyszła za mąż i przyjęła nazwisko męża.

- No i...?

- Dostaje czeki wypisane na to nazwisko i na poprzednie. Ponadto jej obecny mąż też dostaje czeki, podobnie jak dwóch jego kuzynów, ale wygląda na to, że czeki dla kuzynów są wypisywane na dwa różne nazwiska.

- Ile zatem dostaje cała rodzina Malfattich?

- Czeki opiewają średnio na pięćset tysięcy miesięcznie, co w sumie daje blisko trzy miliony na miesiąc. - Mimowolnie Vianello wyskoczył z pytaniem: - Czy im w ogóle nie przychodzi na myśl, że mogą zostać przyłapani?

Brunetti uważał, że odpowiedź jest oczywista, i zainteresował się inną sprawą.

- Co z butami? - spytał.

- Nic nie wiemy. Rozmawiał pan z Gallem?

- Wciąż jest w Mediolanie. Sądzę, że Scarpa na pewno zadzwoniłby do mnie, gdyby czegoś się dowiedział. Co robią ludzie z policji skarbowej?

Vianello wzruszył ramionami.

- Siedzą tu od samego rana - odparł.

- Wiedzą, czego szukać? - zapytał Brunetti, nie mogąc opanować zniecierpliwienia.

- Przypuszczam, że szukają jakiegoś śladu świadczącego o tym, kto zajmował się tym wszystkim.

- Mógłbyś zejść na dół i spytać, czy coś znaleźli? Jeśli jest w to zamieszany Ravanello, chciałbym zabrać się za niego jak najszybciej.

- Tak jest, panie komisarzu - odparł sierżant i wyszedł z pokoju.

Czekając na jego powrót, Brunetti podwinął rękawy koszuli, bardziej po to, żeby czymś zająć ręce, niż z nadzieją, że będzie mu chłodniej.

Vianello wrócił z odpowiedzią wypisaną na twarzy.

- Rozmawiałem z kapitanem - oznajmił. - Na razie mogą powiedzieć tylko tyle, że wszystko nadzorował Mascari.

- Co to ma znaczyć? - warknął Brunetti.

- Tyle się dowiedziałem - rzekł Vianello wolno, ze spokojem. Po dłuższym milczeniu dodał: - ...panie komisarzu. - Przez chwilę żaden się nie odzywał. - Może pan sam w trakcie rozmowy z nim zorientowałby się, co to ma znaczyć.

Brunetti spojrział w bok, opuścił rękawy koszuli i zaproponował:

- Chodźmy tam razem, Vianello.

To miało wystarczyć za przeprosiny i Vianello chyba je przyjął. Zważywszy na upał, raczej nie powinien spodziewać się niczego więcej.

W pokoju na dole pracowało trzech funkcjonariuszy policji skarbowej. Ze względu na panującą tam duchotę wszyscy zdjęli wełniane kurtki mundurowe, ale mieli krawaty. Siedzieli przy długim biurku zasłanym aktami i dokumentami, między którymi leżały dwa małe kieszonkowe kalkulatory i laptop.

Kiedy wszedł Brunetti, mężczyzna siedzący przy komputerze uniósł wzrok, zerknął zza okularów i zaraz opuścił głowę, żeby wystukać kolejne dane na klawiaturze. Spojrział na ekran, potem na leżący obok dokument, znowu coś wystukał i jeszcze raz spojrział na ekran. Wziął kartkę papieru ze stosu znajdującego się po prawej stronie komputera, odłożył ją tyłem do góry po lewej stronie i zaczął czytać następne dane z leżącej na wierzchu kartki.

- Który z panów kieruje pracą? - spytał Brunetti.

Niski mężczyzna o rudych włosach uniósł głowę znad kalkulatora i powiedział:

- Ja. Komisarz Brunetti?

- Tak - odparł Brunetti. Podeszedł bliżej i wyciągnął rękę na powitanie.

- Kapitan de Luca - odparł funkcjonariusz i mniej oficjalnym tonem dodał: - Beniamino. - Zamachał ręką, wskazując papiery. - Chciałby pan wiedzieć, który z pracowników banku dokonywał tych operacji?

- Tak.

- W chwili obecnej wszystko wskazuje na to, że pracownik o nazwisku Mascari. Jego kody są wpisane na każdej transakcji, a na wielu dokumentach, które tu mamy, jest sygnatura przypominająca jego inicjały.

- Czy to może być fałszerstwo?

- Co pan ma na myśli, komisarzy?

- Czy ktoś mógł dokonać zmian w tych dokumentach, aby wyglądało na to, że sporządził je Mascari?

De Luca długo się nad tym zastanawiał i w końcu powiedział:

- Sądzę, że to możliwe. Ten człowiek miał dzień lub dwa na przerobienie dokumentów. Przypuszczam, że to dość czasu. - Jeszcze chwilę trwał w zamyśleniu, jakby rozwiązywał wzór algebraiczny. - Tak. Osoba, która знаła kody, mogła to zrobić.

- Czy w banku te kody dostępu są w jakimś stopniu utrzymywane w tajemnicy?

- Wydaje mi się, że w ogóle nie są utrzymywane w tajemnicy. Urzędnicy ciągle sprawdzają sobie nawzajem rachunki i do tego muszą znać kody. Moim zdaniem przerobienie tych dokumentów byłoby bardzo proste.

- A parafy na pokwitowaniach?

- Łatwiej je podrobić niż podpis - stwierdził de Luca.

- Czy jest sposób, aby udowodnić, że coś takiego miało miejsce?

Kapitan znowu długo rozważał to pytanie.

- Nie ma szans, aby udowodnić, że ktoś wprowadził zmiany w zapisie komputerowym - oświadczył.

- Może da się wykazać, że parafy są podrobione, ale na tego rodzaju dokumentach ludzie zazwyczaj coś nagryzmolą i często trudno odróżnić autentyczną sygnaturę od podrobionej. Czasem człowiek sam nie wie, czy dana sygnatura była postawiona jego ręką.

- Czy można dowieść słuszności oskarżenia o sfalszowanie tych dokumentów?

- Panie komisarzu, nie zdoła pan tego dowieść.

- Więc wszystko nadzorował Mascari?

Tym razem de Luca się zawahał.

- Tego bym nie powiedział z absolutną pewnością. Na to wygląda, ale całkowicie możliwe, że ktoś przerobił te dokumenty, aby obciążyć Mascariego.

- A co pan może powiedzieć o pozostałych sprawach, o procedurze doboru najemców mieszkań?

- O, to jasne, że przydzielano mieszkania ludziom nie dlatego, że znaleźli się w trudnej sytuacji. Natomiast ci, którzy otrzymywali zapomogi, w wielu wypadkach nie byli biedakami.

- Skąd pan to wie?

- Jeśli chodzi o pierwszych, mamy tu wszystkie podania podzielone na dwie grupy: przyjęte i odrzucone. - De Luca przerwał na chwilę. - Trochę przesadziłem. Część mieszkań, dużą część, przekazano ludziom rzeczywiście znajdującym się w trudnej sytuacji, ale jedną czwartą podań złożyli ludzie, którzy nawet nie są weneccjanami.

- Tych podań, które zostały przyjęte? - spytał Brunetti.

- Tak. Wasi ludzie jeszcze nie zdążyli sprawdzić całego wykazu najemców.

Brunetti spojrzał na Vianella, a ten wyjaśnił:

- Przejrzeli jakąś połowę wykazu i widać z tego, że wiele mieszkań wynajęto samotnym młodym ludziom, którzy pracują na noc.

Brunetti kiwnął głową i powiedział:

- Kiedy dostaniesz pełny raport na temat obu tych list, chcę go zobaczyć.

- To jeszcze zajmie przynajmniej dwa dni, panie komisarzu.

- Niestety, wygląda na to, że już nie musimy się spieszyć. - odparł Brunetti. Podziękował kapitanowi de Luce za pomoc i wrócił do swojego pokoju.

Doskonale to zaplanowano, pomyślał, lepiej nikt by nie wykombinował.

Ravanello owocnie spędził weekend i teraz z dokumentów wynika, że rachunki Lega nadzorował Mascari. Czy można bardziej przekonująco wyjaśnić, co się stało z tymi niezliczonymi milionami skradzionymi Lega, niż zrzucając wszystko na Mascariego i jego transwestytów? Kto wie, co on wyrabiał podczas swych służbowych podróży bankowych, jakie orgie urządzał, jaką fortunę roztrwonił ten człowiek, aż tak oszczędny, że nie prowadził rozmów międzymiastowych z żoną? Brunetti był pewny, że Malfatti jest daleko poza Wenecją i szybko się tu nie pojawi. Nie miał wątpliwości, że to Malfatti pobierał opłaty za czynsz i żądał procentu od sumy, na którą opiewały czeki wysyłane w formie zapomóg, jako warunku, że te zapomogi w ogóle zostaną przyznane. A Ravanello? Zaprezentuje się w roli bliskiego przyjaciela, który nie wyjawiał drożnego sekretu Mascariego powodowany błędnie rozumianą lojalnością, i który nigdy by nie przypuszczał, że jego przyjaciel jest w stanie popełnić ogromne oszustwo finansowe, aby zaspokoić swoje nienaturalne żądze. Z kolei Santomauro? Bez wątplenia gdy wyjdzie na jaw, że przez swą łatwowierność stał się narzędziem w rękach zaprzyjaźnionego bankowca, Mascariego, początkowo będzie przedmiotem bezlitosnych kpin, ale prędzej czy później opinia publiczna na pewno uzna go za bezinteresownego obywatela, którego zaufanie zawiódł dwulicowy Mascari powodowany swymi nienaturalnymi żądzami. Doskonały plan, bez najmniejszej skazy, którą Brunetti mógłby wychwycić i wykorzystać do odsłonięcia prawdy.

Rozdział 26

Tego wieczoru wysoce moralne zamysły Tacyta ani srogi los Mesaliny i Agrypiny, wyważony na szali sprawiedliwości, nie były ukojeniem dla duszy Brunettiego. Przeczytał ponury opis ich śmierci, na którą w pełni zasłużyły, i nie mógł oprzeć się przeświadczeniu, że zło, które szerzyły te niegodziwe kobiety, przetrwało długo po ich zgonie. Dawno już minęła druga, gdy wreszcie odłożył książkę. Przez resztę nocy spał niespokojnie, nękany wspomnieniem Mascariego, prawego człowieka, którego życie skończyło się przedwcześnie, i jego śmierci, jeszcze bardziej przygnębiającej niż śmierć Mesaliny i Agrypiny. Również i w tym wypadku zło przetrwa po jego zgonie.

Tego ranka w powietrzu zawisła taka duchota, jakby ktoś rzucił klątwę na mieszkańców, każąc im żyć w paraliżującej spiekocie i ciężkim powietrzu, nie poruszonym najlżejszym powiewem wiatru, który pozostawił miasto jego losowi i igrał w innych rejonach. Idąc do pracy przez bazar na moście Rialto, Brunetti zauważył, że sklepiki są w większości zamknięte - równy zazwyczaj rząd straganów zionął tu i ówdzie pustką, jak szczyrby w uzębieniu pijaka. Sprzedaż warzyw w czasie Ferragosto była bezcelowa, skoro wszyscy mieszkańcy uciekali z miasta, a turyści nie chcieli niczego innego prócz *panino* i *agua minerale*.

Brunetti przybył na komendę dość wcześnie, nie chcąc iść przez miasto po dziewiątej, kiedy upał narastał, a na ulicach było coraz więcej turystów. Wolał o nich nie myśleć. Nie dzisiaj.

Nic nie dawało mu zadowolenia - ani myśli, że nielegalne interesy Lega będą powstrzymane, ani nadzieja, że de Luca wraz ze swoimi ludźmi znajdzie, być może, jakiś cień dowodu, który zaprowadzi ich do Santomaura i Ravanella.

Nie liczył też na to, że dowie się, skąd pochodziły suknie i buty, które miał na sobie Mascari - zbyt dużo czasu minęło już od ich kupna.

Te ponure rozmyślania przerwał Vianello, który bez pukania wpadł do pokoju, wołając:

- Znaleźliśmy Malfattiego!

- Gdzie? - Brunetti nagle poczuł przypływ energii i wstał zza biurka.

- U jego dziewczyny. Nazywa się Luciana Vespa i mieszka przy San Barnaba.

- Jak to się stało?

- Zadzwoił do nas jej kuzyn. Jest na liście i przez ostatni rok dostawał czeki od Lega.

- Poszedłeś z nim na układ? - spytał Brunetti, nie przejmując się, że takie postępowanie jest sprzeczne z prawem.

- Nie. Nawet nie śmiał tego zasugerować. Powiedział, że chce nam pomóc. - Vianello prychnął, dając do zrozumienia, na ile zawierzył jego słowom.

- Co ci powiedział?

- Że Malfatti mieszka tam od trzech dni.

- Czy mamy ją w aktach?

Vianello pokręcił głową.

- Tylko żonę. Postawiliśmy naszego człowieka w sąsiednim mieszkaniu, ale Malfatti nie pojawił się u niej przez dwa dni.

Rozmawiali schodząc po schodach i kierując się do biura, gdzie pracowali mundurowi.

- Wezwałeś motorówkę?

- Czeka na zewnątrz. Ilu ludzi chce pan zabrać?

Brunetti nigdy dotąd nie uczestniczył w żadnym z wielu aresztowań Malfattiego, ale czytał raporty.

- Trzech - powiedział. - Uzbrojonych. W kamizelkach.

Dziesięć minut później Brunetti, Vianello i trzech funkcjonariusze - ci ostatni już zlanii potem pod grubymi kamizelkami kuloodpornymi, które włożyli na mundury - weszli na niebiesko-białą policyjną motorówkę stojącą z włączonym motorem przed komendą. Trzej funkcjonariusze wmaszerowali jeden za drugim do kabiny, a Brunetti został z Vianellem na pokładzie, aby poczuć powiew wiatru spowodowany ruchem łodzi. Pilot wyprowadził ich na Bacino di San Marco, a potem skręcili w prawo i popłynęli w kierunku wlotu do Canale Grande. Po obu stronach ukazywały się po kolei pałace będące dumą miasta, a oni stali niemal stykając się głowami i rozmawiali, usiłując usłyszeć się w szumie wiatru i warkocie silnika. Postanowili, że Brunetti wejdzie do mieszkania i spróbuje porozumieć się z Malfattim. Nic nie wiedzieli o przebywającej tam kobiecie i musieli przede wszystkim zadbać o jej bezpieczeństwo.

Mając to na względzie, Brunetti zaczął żałować, że zabrał ze sobą funkcjonariuszy. Gdy przechodnie zobaczą czterech policjantów, w tym trzech stojących pod drzwiami mieszkania i silnie uzbrojonych, zbierze się tłum gapiów, który przyciągnie uwagę wszystkich ludzi w budynku.

Motorówka przybiła do nabrzeża przy Ca' Rezzonico, gdzie znajdował się przystanek tramwaju wodnego, i jeden za drugim wyszło z niej pięciu mężczyzn, którzy wzbudzili zdziwienie i zainteresowanie pasażerów czekających na łódź numer 1. Rzędem weszli w wąską uliczkę, która prowadziła na Campo San Barnaba, i znaleźli się na placu. Choć słońce jeszcze nie stało w zenicie, z płyt chodnika bił żar.

Budynek, do którego szli, mieścił się w przeciwnym, prawym rogu placu, a tuż przed wejściem stała jedna z dwóch wielkich łodzi, przycumowanych do nabrzeża kanału biegnącego wzdłuż boku placu, z których sprzedawano owoce i warzywa. Z prawej strony od wejścia znajdowała się restauracja, jeszcze nie otwarta, a za nią księgarnia.

- Niech wszyscy wejdą do księgarni - zarządził Brunetti, zauważywszy

wytrzeszczone oczy i słysząc komentarze ludzi zdumionych widokiem policjantów uzbrojonych w karabiny maszynowe. - Ty, Vianello, czekaj na zewnątrz.

Funkcjonariusze przemaszerowali przez drzwi z pewnym skrępowaniem, jakby się obawiali, że nie zmieszczą się w środku. Właściciel wystawił na zewnątrz głowę, zobaczył Vianella i Brunettiego, po czym bez słowa dał nura w głąb sklepu.

Kartka z nazwiskiem Vespa była przyklejona po prawej stronie rzędu dzwonek. Nie zważając na to, Brunetti przycisnął guzik znajdujący się powyżej kartki. Po chwili w domofonie odezwał się kobiecy głos:

- *Si?*

- Poczta, proszę pani. Mam list polecony. Musi pani pokwitować odbiór.

Usłyszawszy trzask otwierających się drzwi, Brunetti zwrócił się do Vianella:

- Spróbuję czegoś się o nim dowiedzieć. Zostań tutaj i nie pozwól naszym ludziom wyjść na ulicę.

Widząc trzy staruszki, które stanęły obok nich z wózkami na zakupy, jeszcze bardziej żałował, że zabrał ze sobą pozostałych funkcjonariuszy.

Otworzył drzwi i wszedł do korytarza, gdzie uderzył go ciężki, dudniący dźwięk muzyki rockowej dochodzącej z górnych pięter. Jeśli znajdujące się na zewnątrz dzwonki odpowiadały usytuowaniu mieszkań, to piętro wyżej mieszkała pani Vespa, a nad nią kobieta, która wpuściła go do budynku. Brunetti szybko poszedł schodami na górę, mijając drzwi do mieszkania Vespy, przez które słychać było głośną muzykę.

Na szczycie następnej kondygnacji schodów, przy drzwiach mieszkania stała młoda kobieta z niemowlęciem na ręku. Na widok Brunettiego zrobiła krok w tył i wyciągnęła rękę, by wziąć za klamkę.

- Chwileczkę, proszę pani. - Brunetti stanął w miejscu, żeby jej nie przestraszyć. - Jestem z policji.

Jej spojrzenie, biegnące poza niego, w dół po schodach, tam skąd dochodziła dudniąca muzyka, mówiło, że pojawienie się policjanta wcale jej nie dziwi.

- To o niego chodzi, prawda? - spytała, wskazując brodą kierunek, skąd dobiegały ciężkie basy.

- Mówi pani o przyjacielu pani Vespy?

- Tak. O nim - potwierdziła, wymawiając poszczególne słowa z taką złością i tak dobitnie, że Brunetti zaczął się zastanawiać, czego jeszcze dopuścił się Malfatti od czasu, gdy zamieszkał w tym domu.

- Jak długo tu jest? - spytał.

- Nie wiem - odparła kobieta, robiąc następny krok w stronę mieszkania. - Muzyka leci przez cały dzień, od wczesnego ranka. Nie mogę iść na dół ze skargą.

- Dlaczego?

Przycisnęła do piersi niemowlę, jakby chciała przypomnieć stojącemu przed nią mężczyźnie, że jest matką.

- Ostatnim razem nagadał mi strasznych rzeczy - powiedziała.

- Może zwróci się pani do pani Vespy?

Wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, jak mało ważna jest pani Vespa.

- Czy ona tam z nim jest?

- Nie wiem, kto z nim jest, i nic mnie to nie obchodzi. Chcę tylko, żeby wyłączono tę muzykę i żeby moje dziecko mogło wreszcie zasnąć.

Jakby na sygnał, niemowlę, które głęboko spało w jej ramionach, otworzyło oczy, zaśliniło się i natychmiast znowu zasnęło.

Dudniąca muzyka i skargi kobiety nasunęły Brunettiemu pewien pomysł.

- Niech pani wejdzie do środka - polecił jej. - Trzasnę drzwiami i zejść na dół, żeby z nim porozmawiać. Proszę nie wychodzić. Niech pani siedzi w którymś pokoju w głębi, dopóki jeden z moich ludzi nie pozwoli pani wyjść.

Kobieta kiwnęła głową i weszła do domu. Brunetti chwycił za klamkę. Zatrzasnął drzwi z taką siłą, że na klatce rozległ się huk podobny do wystrzału.

Odwrócił się i zbiegł po schodach, waląc jak najgłośniej butami. Donośny tupot na chwilę przebił się przez muzykę.

- *Basta con quella musica!* - ryknął z wściekłością, jak człowiek, który stracił wszelką cierpliwość. - Dość tej muzyki! - krzyknął jeszcze raz.

Gdy znalazł się piętro niżej, walnął pięścią w drzwi i wrzasnął na cały głos:

- Wyłącz tę cholerną muzykę! Moje dziecko nie może zasnąć. Cisza, bo wezwę policję! - Po każdym zdaniu walił i kopał w drzwi.

Wrzeszczał i walił w drzwi przez całą minutę. Wreszcie muzyka trochę przycichła, ale wciąż było ją dobrze słyhać. Jeszcze silniejszym głosem, jak człowiek, który już nie panuje nad sobą, krzyknął:

- Wyłącz tę cholerną muzykę, bo wejdę do środka i sam ją wyłączę!

Usłyszał szybkie kroki i zebrał się w sobie. Drzwi raptownie otworzyły się i całą framugę wypełnił krępy mężczyzna z krótkim metalowym drągiem w ręce. Brunetti miał tylko chwilę, ale to wystarczyło, żeby rozpoznał Malfattiego, znanego mu z policyjnych zdjęć.

Malfatti zrobił krok do przodu i znalazł się za progiem.

- Kim, do diabła...

Tyle tylko zdążył powiedzieć. Brunetti runął na niego i chwycił jedną ręką za prawe przedramię, a drugą za koszulę. Obrócił się, rzucił nim przez biodro. Zaskoczony Malfatti poleciał w przód i nie mógł utrzymać równowagi. Przez chwilę kiwał się na szczycie schodów, usiłując przenieść w tył ciężar ciała, lecz stracił równowagę i zwałił się po schodach. Padając upuścił żelazny drąg, zasłonił głowę rękami i stoczył się jak piłka. Brunetti zbiegł za nim, na cały głos wołając Vianella. W połowie schodów poślizgnął się na metalowym drągu i wpadł bokiem na ścianę. Gdy uniósł wzrok, zobaczył, że Vianello otwiera ciężkie drzwi wejściowe. W tym czasie Malfatti poderwał się na równe

nogi i stanął tuż za nimi. Brunetti nie zdążył krzyknąć ostrzeżenia. Malfatti kopnął w drzwi, które uderzyły Vianella w twarz, wytrąciły mu z ręki broń i odrzuciły go na chodnik wąskiej uliczki. Otworzył drzwi jednym szarpnięciem i zniknął, wybiegając na zalaną słońcem ulicę.

Brunetti zbiegł na dół, wyciągając pistolet. Malfattiego już nie było; Vianello leżał przy niskim murze wzdłuż kanału, z nosa ciekła mu krew na białą służbową koszulę. Gdy Brunetti pochylał się nad nim, z księgarni wypadło trzech policjantów z gotowymi do strzału karabinami maszynowymi, ale nie mieli do kogo celować.

Rozdział 27

Vianello nie miał złamanego nosa, ale był rozdygotany. Z pomocą Brunettiego stanął na nogi i przez chwilę zataczał się, wycierając ręką krew.

Otoczyła ich gromada ludzi; starszki chciały wiedzieć, co się dzieje; sprzedawcy owoców już opowiadali klientom, co widzieli. Brunetti odwrócił się od Vianella i niemal wpadł na metalowy wózek wypełniony po brzegi pomidorami. Kopnął w niego ze złością i zwrócił się do dwóch mężczyzn, którzy pracowali na najbliższej stojącej łodzi. Obaj mieli świetny widok na budynek i na pewno wszystko widzieli.

- Którędy pobiegł?

Obaj wskazali plac, ale potem jeden skinął na prawo, w stronę mostu Accademia, a drugi na lewo, w stronę mostu Rialto.

Brunetti przywołał jednego z funkcjonariuszy, aby pomógł mu podprowadzić Vianella do motorówki. Sierżant ze złością odepchnął ich ręce, twierdząc, że sam da sobie radę. Z pokładu Brunetti połączył się przez radio z komendą i podał rysopis Malfattiego, prosząc, aby rozesłano zdjęcie poszukiwanego do wszystkich policjantów w mieście, a jego rysopis podano przez radio wszystkim funkcjonariuszom na patrolach.

Kiedy znaleźli się na pokładzie, pilot wycofał łódź do Canale Grande, a potem obrócił ją i popłynął w stronę komendy. Vianello zszedł do kabiny i usiadł z odchyloną do tyłu głową, aby zatrzymać krwawienie. Brunetti poszedł za nim.

- Chcesz jechać do szpitala? - spytał.

- To tylko nos, do cholery. Za minutę przejdzie. - Vianello otarł nos chusteczką. - Co się działo?

- Walnąłem pięścią w drzwi jego mieszkania, skarżąc się, że puszcza za głośno muzykę. Gdy wyszedł, zrzuciłem go ze schodów. - Vianello wyglądał na zaskoczonego. - Nic innego nie przyszło mi do głowy - ciągnął Brunetti. - Nie przypuszczałem, że tak szybko dojdzie do siebie.

- I co teraz? Jak pan myśli, co on zrobi?

- Przypuszczam, że spróbuje skontaktować się z Ravanellem i Santomaurem.

- Chce pan ich ostrzec?

- Nie, ale chcę wiedzieć, gdzie są, i znać ich ruchy. Chcę, żeby byli pod obserwacją.

Motorówka wpłynęła do kanału przy komendzie. Brunetti i Vianello wyszli pierwsi na brzeg. Strażnicy we frontowych drzwiach gmachu wytrzeszczyli oczy, widząc zakrwawioną koszulę sierżanta, ale nic nie powiedzieli. Kiedy pozostali funkcjonariusze zeszli z łodzi, strażnicy zebrali się wokół nich i zaczęli zadawać pytania.

Na drugim półpiętrze Vianello skręcił w korytarz, gdzie na końcu znajdowała się łazienka, a Brunetti udał się do swojego pokoju. Zadzwoił do Banku Werony, podał fałszywe nazwisko i poprosił do telefonu pana Ravello. Mężczyzna, który podniósł słuchawkę, spytał go, w jakiej dzwoni sprawie. Brunetti wyjaśnił, że chce podać bankierowi koszty zakupu nowego komputera. W odpowiedzi usłyszał, że pan Ravello nie przyszedł tego ranka do pracy, ale można go zastać w domu. Na życzenie Brunettiego podał numer domowy, który komisarz natychmiast wykręcił i stwierdził, że linia jest zajęta.

Znalazł numer telefonu do kancelarii Santomaura, zadzwonił, podał to samo fałszywe nazwisko i poprosił o połączenie z mecenasem Santomauro. Sekretarka powiedziała, że pan mecenas rozmawia z klientem i nie może mu przeszkadzać. Brunetti odparł, że zatelefonuje jeszcze raz, i odłożył słuchawkę.

Ponownie wybrał numer Ravanella, ale linia wciąż była zajęta. Z dolnej szuflady wyjął książkę telefoniczną i odszukał nazwisko Ravanella, ciekaw,

gdzie mieszka. Adres wskazywał na okolice Campo San Stefano, opodal kancelarii Santomaura. Brunetti zaczął się zastanawiać, jak Malfatti tam dotrze. Oczywistym rozwiązaniem było *traghetto*, miejska gondola, która kursowała między Ca' Rezzonico i Campo San Samuele po drugiej stronie Canale Grande. Stamtąd w ciągu kilku minut można było dojść do Campo San Stefano.

Jeszcze raz wybrał ten sam numer i stwierdził, że wciąż jest zajęty. Poprosił telefonistkę, aby sprawdziła linię, i po niecałej minucie czekania dowiedział się, że linia nie jest zajęta, nie ma na niej rozmowy z innym numerem. Z tego wynikało, że albo aparat jest uszkodzony, albo słuchawka została odłożona. Zanim Brunetti się rozłączył, już rozważał najszybszy sposób dotarcia na miejsce - najlepiej będzie skorzystać z motorówki. Zszedł na dół i udał się do pokoju Vianella. Sierżant, ubrany w czystą koszulę, uniósł głowę, gdy otworzyły się drzwi.

- Słuchawka telefonu Ravanella jest odłożona - rzekł Brunetti.

Vianello poderwał się z krzesła, zanim Brunetti zdążył powiedzieć coś więcej.

Zbiegli po schodach, a potem na dwór, w duszący upał. Pilot zlewał węzem pokład motorówki, ale widząc dwóch biegnących mężczyzn, rzucił wąż na chodnik i wskoczył za koło sterowe.

- Campo San Stefano! - krzyknął do niego Brunetti. - Włącz syrenę.

Na dwutonowym sygnale motorówka opuściła dok i ponownie wypłynęła na Basino di San Marco. Inne łodzie i tramwaje wodne zwolniły, żeby miała miejsce śmignąć między nimi, a tylko eleganckie czarne gondole na nią nie zważały - zgodnie z prawem wszystkie łodzie muszą mieć wzgląd na wolno poruszające się gondole.

Policjanci nie zamienili ze sobą słowa. Brunetti wszedł do kabiny i sprawdził na planie miasta, gdzie znajduje się ulica, przy której mieszka Ravello. Miał rację: mieszkanie znajdowało się naprzeciw wejścia do kościoła, od którego plac wziął nazwę.

Gdy łódź przepływała niedaleko mostu Accademia, Brunetti wyszedł na pokład i kazał pilotowi wyłączyć syrenę. Nie miał pojęcia, czego się spodziewać przy San Stefano, ale wolał nikogo nie ostrzegać o swym przybyciu. Pilot wyłączył syrenę i wprowadził łódź do Rio del Orso, a następnie przybił do pomostu po lewej stronie. Policjanci wspięli się na nabrzeże i szybkim krokiem doszli do placu. Zapadłe w letarg pary siedziały przy stolikach przed kawiarnią, pochylone nad pastelowymi napojami. Ludzie spacerujący po placu wyglądali tak, jakby dźwigali upał na ramionach.

Dom Ravanella stał pomiędzy restauracją a sklepem, gdzie sprzedawano wzorzysty papier wenecki. Dzwonek do mieszkania Ravanella znajdował się na górze w prawym rzędzie. Brunetti nacisnął dzwonek poniżej, a gdy nikt nie odpowiedział, przycisnął trzeci od góry.

- Kto tam? - usłyszeli pytanie przez domofon.

- Policja - oznajmił Brunetti i drzwi natychmiast się otworzyły.

Gdy weszli do domu, z góry ktoś zawołał wysokim, jęśliwym głosem:

- Jakim cudem dotarliście tu tak szybko?

Brunetti zaczął wchodzić na górę; Vianello trzymał się tuż za nim. Na pierwszym piętrze stała siwowłosa kobieta, niewiele wyższa niż poręcz, o którą się opierała.

- Jakim cudem tak szybko? - powtórzyła.

Nie zwracając uwagi na jej pytanie, Brunetti zapytał:

- Co się stało?

Odsunęła się od poręczy i wskazała palcem w górę.

- To tam. Usłyszałam krzyki z mieszkania pana Ravanello. A potem widziałam, jak ktoś zbiega po schodach. Bałam się pójść na górę.

Przebiegli obok niej, pokonując po dwa stopnie naraz i wyjmując pistolety. Przez otwarte drzwi mieszkania na górze padał snop światła na szeroki podest. Brunetti przykucnął i przeskoczył na drugą stronę drzwi, ale zrobił to zbyt szybko, by jednocześnie zajrzeć do środka. Spojrzał na Vianella i kiwnął

głową. Nisko pochyleni, razem wpadli do mieszkania. Za progiem każdy z nich natychmiast skoczył pod przeciwległą ścianę, aby stanowili dwa odległe od siebie cele.

Ale Ravello nie zamierzał do nich strzelać. Leżał przewieszony przez niskie krzesło, przewrócone podczas bójki mającej zapewne miejsce w tym pokoju. Upadł na bok, twarzą do drzwi, i patrzył niewidzącymi oczami na ludzi, którzy tak niespodziewanie i bez zaproszenia wtargnęli do jego domu.

Brunetti ani przez chwilę nie wątpił, że Ravello jest martwy, choć ślady krwi były nieliczne. Ravello został prawdopodobnie dwukrotnie dźgnięty nożem. Świadczyły o tym dwie wyraźne czerwone plamy na marynarce i krople krwi na podłodze pod ramieniem, ale nie było jej dużo.

- *Oh Dio* - usłyszał za plecami ciężkie sapnięcie staruszki.

Odwrócił się i zobaczył, że stoi przy drzwiach, z zaciśniętą pięścią przy ustach, wpatrzona w Ravello.

Brunetti zrobił dwa kroki w prawo i znalazł się na linii jej wzroku. Podniosła głowę i spojrzała na niego oziębłe. Czy to możliwe, że jest zła, bo zasłoniłem jej ciało zmarłego? - pomyślał.

- Jak on wyglądał, proszę pani? - zapytał.

Przeniosła wzrok na lewo, ale i tak nie udało się jej nic zobaczyć.

- Jak on wyglądał, proszę pani?

Usłyszał, że za jego plecami kręci się Vianello, wchodzi do drugiego pokoju, dzwoni na komendę i cichym, spokojnym głosem zdaje raport z tego, co się wydarzyło, a potem prosi, aby przysłano tu ekipę.

Poszedł prosto do kobiety, a ona, tak jak się spodziewał, wycofała się przed nim na korytarz.

- Proszę mi dokładnie opowiedzieć, co pani widziała.

- Mężczyznę, niezbyt wysokiego. Zbiegał po schodach. Miał białą koszulę. Z krótkimi rękawami.

- Poznałaby go pani?

- Tak.

Ja też, powiedział w duchu Brunetti. Vianello wyszedł z mieszkania, zostawiając otwarte drzwi, i stanął za nimi.

- Wkrótce przyjadą - oznajmił.

- Zostań tu - polecił mi Brunetti i skierował się w stronę schodów.

- Santomauro? - spytał sierżant.

Brunetti zrobił potwierdzający gest ręką i zbiegł na dół. Przed domem skręcił w lewo i szybkim krokiem poszedł w kierunku Campo San Antonio, potem dalej do Campo San Luca i kancelarii prawnika.

Miał wrażenie, że niczym przez potężne fale przeciska się przez tłum ludzi, którzy późnym rankiem gapili się bezmyślnie na wystawy sklepowe, stawali, by zamienić z kimś kilka słów, albo zatrzymywali się przed sklepem z klimatyzacją, żeby przez chwilę poczuć odświeżający, chłodny powiew. Pobiegnął wąską Calle della Mandorla, pomagając sobie łokciami i krzykiem, nie zważając na gniewne spojrzenia i uszczypliwe uwagi przechodniów.

Na otwartej przestrzeni Campo Manin puścił się pędem, mimo że przy każdym kroku zalewał się potem. Obiegł bank i wpadł na Campo San Luca, gdzie o tej porze ludzie spotykali się na drinka przed obiadem.

Wejście do domu, gdzie mieściła się kancelaria Santomauro, było otwarte na oścież. Wpadł do środka i ruszył schodami na górę, przeskakując po dwa stopnie. Drzwi do kancelarii były zamknięte, a pod nimi widać było w mrocznym korytarzu smugę światła. Wyjął pistolet, pchnął drzwi i natychmiast odskoczył pod ścianę, stosując ten sam manewr, jakiego użył wchodząc do mieszkania Ravanella.

Sekretarka wydała z siebie okrzyk przerażenia. Jak postać z komiksu przyłożyła obie ręce do ust i głośno krzyknęła, po czym odsunęła się w tył i spadła z krzesła.

Kilka sekund później Santomauro wybiegł z gabinetu. Jednym spojrzeniem objął sytuację - skuloną za biurkiem sekretarkę, która co chwila

uderzała się ramieniem o blat, na próżno usiłując wczolgać się pod spód, i Brunettiego, który wyprostował się i schował broń.

- Wszystko w porządku, Louiso - powiedział Santomauro, kucając przy sekretarce. - Wszystko w porządku. Nic się nie stało.

Kobieta nie mogła wydusić z siebie sensownego słowa. Zapłakana, wyciągnęła do niego ręce. Santomauro objął ją ramieniem. Zanosila się szlochom i z trudem łapała oddech. Prawnik gładził ją po plecach i cicho coś mówił. Powoli uspokajała się i po chwili odsunęła od niego.

- *Scusi, Awocato*. - Tak brzmiały jej pierwsze słowa. Ich oficjalny ton przywrócił pełny spokój w kancelarii.

Santomauro w milczeniu pomógł sekretarce wstać i wyprowadził ją do gabinetu. Gdy zamknął za nią drzwi, zwrócił się do Brunettiego zimnym tonem, w którym czuło się morderczą nutę:

- Słucham pana.

- Ravello został zabity - oznajmił Brunetti. - Wydaje mi się, że pan będzie następny. Przyszedłem tu, żeby temu zapobiec.

Santomauro nie dał po sobie poznać, czy zaskoczyła go ta wiadomość.

- Dlaczego? - spytał. Widząc, że Brunetti nie zamierza odpowiedzieć, powtórzył: - Dlaczego miałbym być następny?

Brunetti milczał.

- Zadałem panu pytanie, komisarzu. Dlaczego miałbym być następny? Dlaczego miałoby mi cokolwiek grozić? - Brunetti dalej zachowywał milczenie, więc Santomauro ciągnął: - Czy sądzi pan, że jestem wmieszany w to wszystko? Czy dlatego pan tu przyszedł, bawiąc się w kowboja i budząc przerażenie mojej sekretarki?

- Mam powody sądzić, że on tu przyjdzie - powiedział w końcu Brunetti.

- Kto? - spytał prawnik stanowczym tonem.

- Tego nie wolno mi wyjawić.

Santomauro podniósł krzesło sekretarki, postawił je za biurkiem i

przenosząc wzrok na Brunettiego, powiedział:

- Proszę stąd wyjść. Proszę opuścić to biuro. Zamierzam złożyć formalną skargę do ministra spraw wewnętrznych. Kopię wyślę również do pana przełożonego. Nie życzę sobie, by traktowano mnie jak przestępcę. Nie zgadzam się, by stosował pan swoje gestapowskie metody działania wobec mojej sekretarki.

W swym życiu i karierze Brunetti widział dość wielu rozzłoszczonych ludzi, aby mieć pewność, że Santomauro nie udaje. Bez słowa wyszedł z kancelarii na Campo San Luca. Wokół niego przechodnie spieszyli się do domu na obiad.

Rozdział 28

Decyzja Brunettiego, by wrócić na komendę, świadczyła o przewadze woli nad słabością ciała. Do mieszkania miał bliżej niż do pracy i niczego nie pragnął bardziej jak pójść do domu, wziąć prysznic i pomyśleć o innych sprawach niż nieuniknione konsekwencje tego, co się właśnie wydarzyło. Nie wzywany, wpadł do biura jednego z najbardziej wpływowych ludzi w mieście, sterroryzował jego sekretarkę i próbując wyjaśnić powody swego zachowania, jasno dał do zrozumienia, że uważa, iż Santomauro jest winny współudziału w działaniach Malfattiego i fałszowania rachunków Lega. Życzliwość, jaką przez ostatnie tygodnie okazywał mu Patta, choćby nieszczерze, zniknie w mgnieniu oka, gdy wpłynie na niego skarga od tak potężnego człowieka jak Santomauro.

Wraz ze śmiercią Ravanella nie ma już nadziei na wniesienie oskarżenia przeciwko mecenasowi Santomauro, albowiem jedyną osobą, która mogła zaświadczyć o jego udziale w przestępstwie, był Malfatti; a że Malfatti zabił Ravanella, jego zeznania obciążające Santomaurą mogą być uznane za niewiarygodne. Brunetti uprzytomnił sobie, że w końcu cała sprawa sprowadzi się do wyboru, czy dać wiarę Malfattiemu, czy mecenasowi Santomauro - nie trzeba mieć szczególnej inteligencji czy zdolności przewidywania, żeby wiedzieć, czyje zeznania przeważą.

Na komendzie panowało spore poruszenie. Trzej umundurowani policjanci zbili się w gromadkę w korytarzu, a tłum ludzi rozmawiających w różnych językach stał w długiej kolejce do Ufficio Stranieri. Jeden ze strażników powiedział do Brunettiego:

- Doprowadzili go, panie komisarzu.

- Kogo? - spytał ostrożnie Brunettim, w obawie, by nie popaść w

nadmierny optymizm.

- Malfattiego.

- Jak do tego doszło?

- Ujęli go ludzie czekający w domu matki. Pojawił się tam z pół godziny temu. Złapali go, zanim zdążyła wpuścić syna do środka.

- Były jakieś trudności?

- Jeden z ludzi, którzy brali udział w akcji, powiedział, że na ich widok Malfatti próbował uciec, ale gdy tylko zorientował się, że jest ich czterech, poddał się nie stawiając oporu.

- Czterech?

- Tak, panie komisarzu. Vianello zadzwonił tu i kazał posłać więcej ludzi. Akurat dotarli na miejsce, gdy pojawił się Malfatti. Nawet nie zdążyli wejść do środka. Zajechali i zastali go pod drzwiami.

- Gdzie on jest?

- Vianello kazał zamknąć go w celi.

- Pójdę tam.

Malfatti natychmiast rozpoznał człowieka, którzy zrzucił go ze schodów, ale nie okazał szczególnej wrogości.

Brunetti przysunął sobie krzesło i usiadł przodem do Malfattiego, który leżał na pryczy, opierając się plecami o ścianę. Był niskim, krępyim mężczyzną o gęstych brązowych włosach i zupełnie nijakiej twarzy. Przypominał raczej księgowego niż mordercę.

- Co wybierasz? - spytał Brunetti.

- A co mam do wyboru? - odparł Malfatti rzeczowym tonem.

- Łatwą drogę albo trudną - powiedział z niewzruszoną miną Brunetti takim tonem, jakiego używają gliniarze w serialach telewizyjnych.

- Jak wygląda trudna droga?

- Zacznie się, gdy stwierdzisz, że nic o niczym nie wiesz.

- O czym mianowicie?

Brunetti zacisnął usta i spojrzał przez chwilę w okno, a potem przeniósł wzrok na Malfattiego.

- A jak wygląda ta łatwa? - spytał Malfatti po długim milczeniu.

- Powiesz mi, co się wydarzyło. - Zanim Malfatti zdążył się wtrącić, Brunetti ciągnął: - Nie interesują mnie czyny. W tej chwili są mało ważne, a i tak wszystko wyjdzie na jaw. Chodzi mi o morderstwa, o wszystkie cztery.

Malfatti lekko zmienił pozycję. Brunetti przypuszczał, że usłyszy jego sprzeciw co do liczby morderstw, ale tak się nie stało.

- On jest szanowanym człowiekiem - mówił dalej, nie zamierzając wyjaśniać, kogo ma na myśli. - Cała sprawa sprowadzi się do tego, komu sąd zawierzy, jemu czy tobie. Chyba że zdołasz powiązać go ze sobą i z morderstwami. - Przerwał na chwilę, ale Malfatti nic nie powiedział. - Lista twoich przestępstw jest długa - kontynuował Brunetti. - Próba morderstwa, a teraz morderstwo. - Malfatti chciał coś powiedzieć, ale Brunetti ciągnął swobodnym tonem: - Bez trudu można dowieść, że zabiłeś Ravanella. - W odpowiedzi na zdziwione spojrzenie wyjaśnił: - Widziała cię staruszka z piętra niżej.

Malfatti spojrzał w bok.

- Poza tym sędziowie nie znoszą ludzi, którzy zabijają policjantów, zwłaszcza policjantki - mówił dalej Brunetti. - Więc wszystko wskazuje na to, że zostaniesz skazany. Sędziowie na pewno spytają mnie o zdanie... - Brunetti przerwał, by zabrzmiało to efektowniej. - Gdy do tego dojdzie, zaproponuję Porto Azzurro.

Wszyscy przestępcy słyszeli o tym więzieniu, najgorszym we Włoszech, z którego nikt jeszcze nie uciekł. Nawet twardy Malfatti nie potrafił ukryć przerażenia. Po chwili Brunetti dodał:

- Podobno nikt nie wie, czy większe są tam koty, czy szczury - i znowu przerwał.

- A jeśli zacznę gadać? - spytał w końcu Malfatti.

- Wtedy zasugeruję sędziom, żeby wzięli to pod uwagę.

- I nic więcej?

- Nic więcej. - Brunetti też nie znosił ludzi, którzy zabijają policjantów.

Malfatti szybko podjął decyzję.

- *Va bene*, ale musi być w protokole, że dobrowolnie udzieliłem informacji. Chcę, żeby napisano, że gdy tylko mnie aresztowaliście, byłem gotów powiedzieć wam wszystko.

Brunetti wstał.

- Zawołam protokolanta.

Podszedł do drzwi i dał znak. Młody człowiek, siedzący dotąd przy biurku na końcu korytarza, wszedł po chwili do celi niosąc magnetofon i bloczek. Gdy byli gotowi, Brunetti powiedział:

- Proszę podać nazwisko, datę urodzenia i obecny adres.

- Pietro Malfatti, dwudziesty ósmy września 1962 roku. Castello 2316.

Malfatti składał zeznania przez godzinę i na wszystkie pytania odpowiadał równie obojętnym tonem jak na pierwsze, natomiast jego opowieść budziła coraz większe przerażenie.

Projektodawcą całego przedsięwzięcia był albo Ravello, albo Santomauro - Malfatti nigdy nie zawracał tym sobie głowy. Jakiś człowiek z Via Cappuccina podał im jego nazwisko. Skontaktowali się z nim i pytali, czy chce co miesiąc zbierać dla nich pieniądze, za co dostanie część zysku. Nie wahał się, interesowało go jedynie to, ile zarobi. Zgodzili się na dwanaście procent, choć prawie godzinę twardo się targował, zanim przystali na tak wysoką sumę.

Chcąc zwiększyć własne zyski, Malfatti zaproponował im, żeby część usankcjonowanych dochodów Lega wypłacała w formie czeków ludziom, których nazwiska sam im poda. Brunetti przerwał groteskowe przechwałki Malfattiego, który z dumą opowiadał o tym pomysłe, i spytał:

- Kiedy dowiedział się o tym Mascari?

- Trzy tygodnie temu. Poszedł do Ravello i powiedział, że coś się nie

zgadza w rachunkach. Podejrzewał Santomaura i nie miał pojęcia, że Ravello o wszystkim wie. Co za głupek. - Malfatti splunął z pogardą. - Gdyby tylko chciał, mógłby wyciągnąć od nich jedną trzecią albo i więcej. - Zatrzymywał wzrok raz na Brunettim, raz na protokolancie, jakby chciał, żeby podzielili jego lekceważącą opinię.

- Co było potem? - spytał Brunetti, nie ujawniając własnej odrazy.

- Jakiś tydzień zanim to się stało, Santomauro przyszedł razem z Ravellem do mnie do domu. Chcieli, żebym się go pozbył, ale ja wiedziałem co to za typy i powiedziałem, że bez ich pomocy nie przyłożę do tego ręki. Nie jestem idiotą. - Znowu obrzucił spojrzeniem obu mężczyzn, czekając na wyrazy uznania z ich strony. - Wiadomo, jak to jest z takimi ludźmi. Człowiek wykona zleconą robotę, a potem nigdy się od nich nie uwolni. Można się zabezpieczyć tylko w jeden sposób: trzeba spowodować, by i oni mieli brudne ręce.

- Tak im powiedziałeś? - spytał Brunetti.

- W pewnym sensie. Powiedziałem, że zrobię to, jeśli oni pomogą zorganizować to wszystko.

- Jak to zrobili?

- Na ich polecenie Crespo zadzwonił do niego, mówiąc, że słyszał, iż poszukuje informacji o mieszkaniach wynajmowanych przez Lega i że sam w takim mieszka. Mascari miał wykaz najemców i mógł to sprawdzić. Kiedy Mascari powiedział mu, że wieczorem wyjeżdża na Sycylię - o tym wiedzieliśmy wcześniej - Crespo dodał, że ma dla niego jeszcze inne informacje i zaproponował spotkanie u siebie, w drodze na lotnisko.

- Mascari się zgodził?

- Tak.

- Crespo tam był?

- Skądże. Ten drań był taki wrażliwy. - Malfatti prychnął z pogardą. - Nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Wyniósł się z domu, pewno ruszył wcześniej na ulicę. A my czekaliśmy na Mascariego. Przyszedł koło siódmej.

- Jak to się odbyło?

- Wpuściłem go do mieszkania. Sądził, że jestem Crespem - nie miał powodu myśleć inaczej. Poprosiłem go, żeby usiadł, i zaproponowałem drinka, ale powiedział, że spiesz się na samolot. Ponownie zaproponowałem mu drinka, a kiedy odmówił, powiedziałem, że sam mam ochotę czegoś się napić. Podeszedłem do stolika z alkoholem, który stał za nim, i wtedy to zrobiłem.

- Co zrobiłeś?

- Uderzyłem go.

- Czym?

- Metalowym drągiem. Tym samym, który miałem dzisiaj ze sobą. Świetnie się nadaje.

- Ile razy go uderzyłeś?

- Tylko raz. Nie chciałem pobrudzić krwią mebli Crespa. I nie chciałem go zabić. Wołałem, żeby oni to zrobili.

- I tak się stało?

- Nie wiem. To znaczy, nie wiem, który z nich to zrobił. Byli w łazience. Zawołałem ich i zanieśliśmy go do łazienki. Wtedy jeszcze żył. Słyszałem, jak jęczał.

- Dlaczego do łazienki?

Malfatti obrzucił Brunettiego takim spojrzeniem, jakby zaczął podejrzewać, że przecenił jego inteligencję.

- Z powodu krwi. - Nastąpiło długie milczenie, a kiedy Brunetti nie przerwał ciszy, Malfatti mówił dalej: - Położyliśmy go na posadzce, potem wróciłem do pokoju po metalowy drąg. Wszystko zaplanowaliśmy z najdrobniejszymi szczegółami. Santomauro wciąż powtarzał, że musimy zmasakrować mu twarz, by nikt go nie rozpoznał, bo muszą mieć dość czasu na zmienienie dokumentacji w banku. Tyle razy przypominał, że musimy zmasakrować mu twarz, aż w końcu dałem mu ten drąg i powiedziałem, żeby sam to zrobił. Potem wróciłem do salonu i zapaliłem papierosa. Kiedy znowu

wszedłem do łazienki, było już po wszystkim.

- Mascari nie żył? - spytał Brunetti.

Malfatti wzruszył ramionami.

- Zabili go razem, Ravanello i Santomauro?

- Ja już zrobiłem swoje.

- Co się stało potem?

- Rozebraliśmy go i ogoliliśmy nogi. Chryste, ile z tym było roboty!

- Wyobrażam sobie. A potem?

- Zrobiliśmy mu makijaż. - Malfatti przerwał i zastanowił się chwilę. -

Nie, to nie było tak. Umalowali go, zanim zmiażdżyli mu twarz. Któryś z nich powiedział, że tak będzie łatwiej. Potem znowu go ubraliśmy i wyprowadziliśmy z domu, jak pijanego. Ale mogliśmy się nie fatygować, bo nikt nas nie widział. Razem z Ravanellem wsadziłem go do samochodu Santomaura i wywieźliśmy go na pole. Wiedziałem, co się tam wyprawia, i pomyślałem, że tam najlepiej będzie go zostawić.

- A kiedy przebraliście go w damskie ubranie?

- Już na miejscu, w Marghera. Wyciągnęliśmy go z tylnego siedzenia i rozebraliśmy do naga. Potem ubraliśmy go w te stroje, suknię i całą resztę, przenieśliśmy na drugą stronę pola i zostawiliśmy tam. Wepchnąłem trupa pod kępę traw, żeby nie znaleziono go zbyt szybko. - Malfatti urwał, szperając w pamięci. - But spadł mu z nogi. Ravanello wsadził mi go do kieszeni. Rzuciłem ten but koło ciała. Buty były chyba pomysłem Ravanella.

- Co zrobiliście z jego ubraniem?

- W drodze powrotnej zatrzymałem się przy domu Crespa i wrzuciłem je do śmietnika. Żadne ryzyko - ubranie nie było zakrwawione. Wszystko przewidzieliśmy. Włożyliśmy mu na głowę plastikową torbę.

Protokolant zakasłał, ale odwrócił głowę w bok, żeby dźwięk nie nagrał się na taśmę.

- A potem? - spytał Brunetti.

- Poszliśmy do mieszkania Crespa. Santomauro wszystko posprzątał. Od tego dnia nie rozmawiałem z nimi do czasu, gdy pan przyjechał do Mestre.

- Kto wpadł na ten pomysł?

- Nie ja. Ravello zadzwonił do mnie i powiedział, w czym rzecz. Chyba im się wydawało, że śledztwo utknie, gdy pozbędziemy się pana. - Po tych słowach Malfatti głęboko westchnął. - Próbowałem im wytłumaczyć, że to się tak nie odbywa, ale nie chcieli słuchać. Domagali się, żebym im pomógł.

- I zgodziłeś się?

Malfatti kiwnął głową.

- Musisz głośno odpowiedzieć. Taśma nie rejestruje gestów - chłodno wyjaśnił Brunetti.

- Tak, zgodziłem się.

- Dlaczego zmieniłeś zdanie i zgodziłeś się to zrobić?

- Dobrze zapłacili.

W obecności protokolanta Brunetti wolał nie pytać, ile jest warte jego życie. Okaze się to w swoim czasie.

- To ty prowadziłeś samochód i usiłowałeś zepchnąć nas z drogi?

- Tak. - Malfatti milczał przez dłuższy czas, a potem dodał: - Wie pan, chyba bym tego nie zrobił, gdybym wiedział, że razem z panem jedzie kobieta. Zabicie kobiety przynosi pecha. Nigdy wcześniej kobiety nie zabiłem. Ta była pierwsza. - Podniósł wzrok na Brunettiego. - Sam pan widzi, że przyniosło mi to pecha.

- Bardziej tej kobiecie niż tobie - stwierdził Brunetti i zanim Malfatti zdążył coś powiedzieć, spytał: - Jak było z Crespem? Ty go zabiłeś?

- Nie, nie miałem z tym nic wspólnego. Siedziałem w samochodzie z Ravellem. Zostawiliśmy Santomaura u Crespa. Gdy wróciliśmy tam, było już po wszystkim.

- Co powiedział wam Santomauro?

- Nic. Nie opowiadał o tym. Powiedział tylko, że to się stało, i kazał mi

zniknąć, najlepiej wyjechać z Wenecji. Miałem taki zamiar, ale teraz nie będę miał chyba możliwości.

- A jak było z Ravellem?

- Poszedłem do niego dziś rano, po tym jak pan był u mnie. Powiedziałem mu, że muszę mieć pieniądze na wyjazd z miasta. A wtedy on spanikował. Zaczął krzyczeć, że wszystko popsułem. I wyciągnął nóż.

Brunetti widział ten nóż. Bankierzy zazwyczaj nie noszą przy sobie noża sprężynowego, pomyślał, ale zachował tę uwagę dla siebie.

- Rzucił się na mnie z nożem. Jak obłąkany. Zaczęliśmy się mocować. On upadł i nadział się na nóż.

Na pewno się nadział, skomentował to w myślach Brunetti. Dwa razy, akurat w pierś.

- Co było potem? - spytał.

- Poszedłem do matki. Tam dopadli mnie wasi ludzie.

Malfatti przestał mówić. W pokoju słychać było jedynie cichy szum magnetofonu.

- Co się stało z pieniędzmi? - spytał Brunetti.

- Co proszę? - Malfatti był zaskoczony nagłą zmianą toku rozmowy.

- Pytam o pieniądze zebrane z czynszów.

- Swoje wydałem. Każdego miesiąca wszystko wydawałem. Ale to było niewiele w porównaniu z tym, co zgarniali oni.

- Ile dostałeś?

- Jakieś dziewięć do dziesięciu milionów.

- Może wiesz, co oni zrobili z pieniędzmi, które im przypadły?

Malfatti zastanawiał się przez chwilę, udając, że nigdy nie rozważał tej kwestii.

- Santomauro wydał chyba dużą część na swoich chłopców. A Ravello? Nie wiem. Wyglądał mi na człowieka, który inwestuje pieniądze. - Malfatti powiedział to takim tonem, jakby inwestycje były czymś nieprzyzwoitym.

- Masz jeszcze coś do powiedzenia na ten temat albo na temat twoich powiązań z tymi panami?

- Tylko to, że zabicie Mascariego było ich pomysłem, a nie moim. Zgodziłem się na to, ale wszystko oni wymyślili. Niewiele ryzykowałem, gdyby ktoś wykrył tę historię z czynszami, więc nie miałem powodu go zabijać.

No tak, pomyślał Brunetti. Gdybyś miał coś do stracenia, zabiłbyś Mascariego bez wahania.

- To wszystko - rzekł Malfatti.

Brunetti wstał i dał protokolantowi znak do wyjścia.

- Maszynistka przepisze to teraz na maszynie, a potem ty to podpiszesz.

- Nie ma pośpiechu - odparł Malfatti ze śmiechem. - Nigdzie się nie wybieram.

Rozdział 29

Godzinę później Brunetti zaniósł Malfattiemu trzy egzemplarze przepisanych na maszynie zeznań. Malfatti każdy podpisał, nawet nie trudząc się, by je przeczytać.

- Nie chcesz wiedzieć, co podpisujesz? - spytał Brunetti.

- To bez znaczenia - odparł Malfatti, nie ruszając się z pryczy. Piórem, który dał mu Brunetti, wskazał kartkę papieru. - Nie ma powodu przypuszczać, że ktokolwiek w to uwierzy.

Brunettiemu przyszła do głowy ta sama myśl, więc nie zamierzał się spierać.

- Co teraz? - spytał Malfatti.

- W ciągu najbliższych kilku dni odbędzie się przesłuchanie, po którym sędzia zdecyduje, czy będziesz mógł wyjść z aresztu za kaucją.

- Spyta pana o zdanie?

- Bardzo możliwe.

- I co pan powie?

- Będę przeciwny.

Malfatti obrócił pióro w rękę i podał je Brunettiemu.

- Zawiadomicie moją matkę? - spytał.

- Poproszę, żeby ktoś do niej zadzwonił.

Malfatti przyjął to wzruszeniem ramion, zsunął się na poduszkę i zamknął oczy.

Brunetti opuścił celę i pokonawszy dwie kondygnacje schodów, wszedł do pokoju pani Elettry. Tego dnia przyszła do pracy w czerwieni, jaką rzadko widuje się poza obszarem Watykanu. W odczuciu Brunettiego kolor był zbyt

krzykliwy i nie pasował do jego nastroju. Uśmiech sekretarki nieco poprawił mu humor.

- Jest u siebie? - spytał Brunetti.

- Przyszedł jakąś godzinę temu, ale rozmawia teraz przez telefon i powiedział, żebym pod żadnym pozorem mu nie przeszkadzała.

Taka sytuacja odpowiadała Brunettiemu - wołał nie być obecny przy tym, gdy Patta będzie czytał zeznania Malfattiego. Położył kopie zeznań na biurku.

- Czy mogłaby pani przekazać mu to, gdy tylko skończy rozmawiać?

- Malfatti? - spytała, spoglądając na papiery z wyraźną ciekawością.

- Tak.

- Gdzie można będzie pana zastać?

Po tym pytaniu Brunetti nagle uprzytomnił sobie, że stracił poczucie rzeczywistości, nawet nie wiedział, która godzina. Spojrzał na zegarek, zobaczył, że jest piąta, ale nic mu to nie mówiło. Nie odczuwał głodu, był tylko spragniony i okropnie zmęczony. Zaczął się zastanawiać, jak Patta przyjmie tę wiadomość, i poczuł jeszcze większe pragnienie.

- Pójdę się czegoś napić, a potem będę w swoim pokoju.

Odwrócił się i wyszedł. Nie obchodziło go, czy sekretarka przeczyta zeznania; stwierdził, że właściwie nie obchodzi go nic - odczuwał jedynie pragnienie, upał i lekką chropowatość na spoconej skórze, na której przez cały dzień tworzyły się ziarenka soli. Polizał wierzch dłoni, niemal z zadowoleniem smakując jej cierpkość.

Wezwany, wszedł do gabinetu szefa godzinę później i zobaczył za biurkiem dawnego Pate: komendant wyglądał tak, jakby przez noc odmłodził o pięć lat i przytył pięć kilogramów.

- Siadaj, Brunetti. - Patta wziął do ręki zeznania Malfattiego i stuknął wszystkimi sześcioma stronami o blat biurka, równo je składając. - Właśnie skończyłem czytać. - Spojrzał na Brunettiego i położył kartki na biurku. - Uważam, że mówi prawdę.

Brunetti całą uwagę skupił na tym, by nie okazać żadnych emocji. Żona Patty miała jakieś powiązania z Lega. Santomauro był osobą mającą pewien wpływ na politykę miasta, w którym Patta zamierzał znaleźć się u władzy. Brunetti uprzytomnił sobie, że sprawiedliwość i prawo nie będą odgrywały żadnej roli w czekającej go rozmowie. Zachował więc milczenie.

- Ale wątpię, czy jeszcze ktoś będzie tego samego zdania - dodał Patta, chcąc, żeby po tym stwierdzeniu Brunettiemu zaczęło rozjaśniać się w głowie. Kiedy doszedł do przekonania, że nie doczeka się ani jednego słowa, ciągnął: - Po południu odebrałem kilka telefonów.

Pytanie, czy jednym z dzwoniących okazał się Santomauro, było zbyt prymitywnym strzałem, więc Brunetti wolał go nie zadawać.

- Dzwonił do mnie nie tylko mecenas Santomauro, ale również przeprowadziłem długie rozmowy z dwoma radcami miejskimi, którzy są przyjaciółmi i politycznymi współpracownikami pana mecenasa. - Patta odsunął się w tył razem z krzesłem i założył nogę na nogę. Brunetti dostrzegł czubek wyglansowanego buta i wąski pasek cienkiej, niebieskiej skarpety. - Jak powiedziałem, nikt nie uwierzy temu człowiekowi.

- Nawet jeśli założymy, że mówi prawdę? - odezwał się wreszcie Brunetti.

- Zwłaszcza jeśli założymy, że mówi prawdę. Nikt w tym mieście nie uwierzy, że Santornauro jest zdolny popełnić czyny, o które oskarża go ten człowiek.

- Pan daje temu wiarę, panie komendancie.

- Chyba nie można uznać mnie za obiektywnego świadka, gdy rzecz dotyczy się pana Santomauro - odparł Patta, po raz pierwszy demonstrując przed Brunettim taką znajomość siebie samego równie niewymuszenie, jak przed chwilą składał leżące na biurku papiery.

- Co powiedział panu Santomauro? - spytał Brunetti, choć zdążył się tego domyślić.

- Jestem pewien, że odgadłeś już, co mógł powiedzieć - odrzekł Patta, ponownie zaskakując Brunettiego. - Powiedział, że Malfatti usiłuje tylko zrzucić z siebie część winy i przyjąć jak najmniejszą odpowiedzialność za całą sprawę. Że dokładne badania dokumentów bankowych niewątpliwie wykażą, iż wszystko jest robotą Ravanella. Że nie ma żadnych dowodów na to, iż on, Santomauro, był w cokolwiek wmieszany, w oszustwo z czynszami czy śmierć Mascariego.

- A wspomniał o pozostałych zabójstwach?

- Crespa?

- Crespa i Marii Nardi.

- Nie, ani słowem. Poza tym nie mamy nic, co świadczyłoby o jego powiązaniu ze śmiercią Ravanella.

- Jest kobieta, która widziała, jak Malfatti zbiegał po schodach w domu, gdzie mieszkał Ravanello.

- Ach tak. - Patta postawił stopy na podłodze i położył rękę na zeznaniach Malfattiego. - To nic nie da - powiedział w końcu, zgodnie z przewidywaniami Brunettiego. - Może spróbować wykorzystać to podczas procesu, ale wątpię, by sędziowie mu uwierzyli. Więcej skorzysta, jeśli przedstawi się w roli ślepego narzędzia Ravanella.

Patta zapewne ma rację, pomyślał Brunetti. Żaden sędzia nie uwierzy, że za tym wszystkim stoi Malfatti. A już w ogóle niewyobrażalne jest to, by znalazł się sędzia, który uwierzy, że Santomauro ma w tym jakiś udział.

- Czy to oznacza, że nie zamierza pan nic zrobić?

- Nie zamierzam, o ile ty czegoś nie wymyślisz.

Brunetti na próżno starał się usłyszeć ironię w głosie szefa.

- Nic nie przychodzi mi na myśl - odrzekł.

- Nie jesteśmy w stanie go ruszyć - stwierdził Patta. - Znam tego człowieka. Jest nazbyt przezorny, aby pokazać się na oczy którejkolwiek z osób zaangażowanych w tę sprawę.

- Nawet chłopcom na Via Cappuccina?

Patta zacisnął z niesmakiem usta.

- Jego związek z tymi typkami jest kwestią uboczną - stwierdził. - Żaden sędzia nie uzna tego za dowód. Nawet jeśli zachowanie pana mecenasa budzi obrzydzenie, jest jego prywatną sprawą.

Brunetti zaczął rozważać różne możliwości. Załóżmy, że iluś tam prostytuujących się mężczyzn, którzy wynajmują mieszkania od Lega, byłoby skłonnych zeznać, że Santomauro korzystał z ich usług. Albo założmy, że odszukałby człowieka, który znajdował się w mieszkaniu Crespa, gdy przyszedł pokazać mu portret Mascariego. Załóżmy, że znalazłyby się dowody na to, że Santomauro przeprowadził wstępną rozmowę z którymś z najemców płacących czynsz do ręki.

Patta przerwał te rozmyślenia i powiedział:

- Nie ma żadnego dowodu, Brunetti. Wszystko opiera się na zeznaniach jawnego mordercy. - Stuknął w leżące na biurku papiery. - Mówi o tych zabójstwach w taki sposób, jakby chodziło o kupienie paczki papierosów. Nikt mu nie uwierzy, gdy oskarży Santomaura. Nikt.

Brunetti nagle poczuł ogromne zmęczenie. Oczy zaczęły mu łzawić i musiał zebrać się w sobie, aby ich nie zamknąć. Udając, że wpadła odrobina kurzu do oka, spuścił na chwilę powieki i potarł palcami. Kiedy znowu uniósł wzrok, spostrzegł, że szef dziwnie mu się przygląda.

- Wydaje mi się, Brunetti, że powinieneś iść do domu. W tej sprawie nie da się już nic zrobić - powiedział Patta.

Brunetti podniósł się z krzesła, kiwnął szefowi głową i wyszedł z gabinetu. Minął swój pokój i poszedł prosto do domu. Wyłączył telefon, długo stał pod gorącym prysznicem, zjadł kilogram brzoskwiń i położył się do łóżka.

Rozdział 30

Po dwunastu godzinach Brunetti obudził się z głębokiego snu rześki i pełen energii. Leżał na mokrym prześcieradle, więc widocznie w nocy strasznie się pocił, ale go to nie budziło. Poszedł do kuchni i gdy robił kawę, zauważył, że trzy brzoskwinie zostawione w misce poprzedniego wieczoru pokryły się miękkim, zielonym meshkiem. Wrzucił je do stojącego pod zlewem kosza na śmieci, umył ręce i postawił kawę na kuchence.

Za każdym razem gdy przyszedł mu do głowy Santomauro lub zeznania Malfattiego, odsuwał od siebie tę myśl i zaczynał rozmyślać o zbliżającym się weekendzie, obiecując sobie, że pojedzie w góry do Paoli. Zastanawiał się, dlaczego wczoraj nie zadzwoniła, i na myśl o tym zrobiło mu się żal samego siebie: on omdlewa tu w smrodliwym upale, a ona hasa po górach. Po chwili przypomniało mu się, że wyłączył telefon, i ogarnął go wstyd. Tęsknił za nią. I za dziećmi. Pojedzie do nich, gdy tylko będzie mógł.

Podniesiony na duchu tym postanowieniem, poszedł na komendę, gdzie przeczytał wszystkie doniesienia prasowe o aresztowaniu Malfattiego, w których bez wyjątku podano, że głównym źródłem informacji jest zastępca komendanta policji Giuseppe Patta. Na przemian cytowano jego stwierdzenia, że „nadzorował akcję ujęcia Malfattiego” i „wydobył z niego zeznania”. Dziennikarze obarczyli winą za aferę w Banku Werony jego ostatniego dyrektora, Ravanella, i jednoznacznie dali do zrozumienia czytelnikom, że był on odpowiedzialny za śmierć swojego poprzednika, a potem sam stał się ofiarą nikczemnego współnika, Malfattiego. Nazwisko Santomaura zostało wymienione jedynie w „Corriere della Sera”, gdzie przytoczono jego wypowiedź - stwierdził, że jest wstrząśnięty i przygnębiony napaścią na

organizację, której ma zaszczyt służyć, realizując jej wzniosłe cele i szlachetne ideały.

Brunetti zadzwonił do Paoli i spytał, czy czytała gazety, choć dobrze wiedział, że odpowiedź będzie przecząca. Gdy zainteresowała się, co w nich napisano, odparł krótko, że śledztwo zostało zakończone i że opowie o wszystkim, gdy przyjedzie do niej. Tak jak przypuszczał, chciała dowiedzieć się szczegółów sprawy, na co odrzekł, że woli odłożyć to do ich spotkania. Gdy na tym stanęło, Brunettiego ogarnęła na chwilę złość, że nie była bardziej dociekliwa. Przecież ta sprawa niemal kosztowała go życie.

Przez resztę poranka był zajęty pisaniem pięciostronicowego raportu, w którym wyraził swoje przekonanie, że zeznania Malfattiego są zgodne z prawdą. Następnie przedstawił własny, wyczerpujący i dokładnie przeprowadzony wywód na temat tego, co się wydarzyło od znalezienia ciała Mascariego do aresztowania Malfattiego. Po obiedzie dwukrotnie przeczytał swój raport i musiał przyznać, że w całości opiera się tylko na podejrzeniach; nie było w nim cienia konkretnego dowodu wskazującego na powiązania Santomaura z popełnionymi zbrodniami. Raczej nikt nie da wiary, że Santomauro, człowiek, który spogląda na świat z wyżyn szczytnych ideałów Lega della Moralita, może mieć związek z czymś tak niskim jak chciwość, lubieżne żądze czy stosowanie przemocy. Mimo to przepisał swój raport na zwykłej maszynie Olivetti, która stała na małym stoliku w rogu pokoju. Gdy spojrzął na przepisane strony i poprawki wprowadzone na białym korektorze, zaczął się zastanawiać, czy nie powinien zgłosić zapotrzebowania na zakup komputera do swojego biura. Ten pomysł tak go wciągnął, że już planował, gdzie postawi komputer i czy dostanie do niego drukarkę, czy też będzie musiał zanosić pisma do sekretariatu, aby tam je wydrukowano - taka ewentualność nie przypadła mu do gustu.

Te rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł Vianello, a za nim niski, mocno opalony mężczyzna w pogniecionym garniturze z bawełny.

- Panie komisarzu - powiedział sierżant oficjalnym tonem, jak zawsze gdy zwracał się do Brunettiego w obecności cywili. - Chciałbym panu przedstawić pana Luciana Gravigo.

Brunetti wyciągnął rękę na powitanie.

- Miło mi pana poznać. Czym mogę służyć? - spytał.

Poprowadził gościa do biurka i wskazał mu krzesło. Gravi z ciekawością rozejrzał się po pokoju i usiadł, a Vianello stanął obok, odczekał chwilę, a gdy Gravi nie odezwał się pierwszy, powiedział:

- Pan Gravi, panie komisarzu, jest właścicielem sklepu z butami w Chioggia. - Gestem ręki zachęcił go do mówienia.

Słowa „sklep z butami” wyraźnie zainteresowały Brunettiego.

- Właśnie wróciłem z urlopu - zaczął Gravi, mówiąc najpierw do Vianella, a gdy sierżant wskazał Brunettiego, odwrócił się do komisarza. - Przez dwa tygodnie przebywałem w Puglia. Prowadzenie sklepu podczas Ferragosto jest bezcelowe. Buty nikogo wtedy nie interesują. Jest za gorąco. Więc co roku zamykamy sklep na trzy tygodnie i jedziemy z żoną na wakacje.

- I właśnie wrócił pan z urlopu?

- Tak naprawdę wróciłem dwa dni temu, ale dopiero wczoraj poszedłem do sklepu. I wtedy znalazłem tę pocztówkę.

- Jaką pocztówkę, panie Gravi?

- Od dziewczyny, którą zatrudniam. Razem ze swoim narzeczoną wyjechała do Norwegii. On chyba u was pracuje. Nazywa się Giorgio Miotti.

Brunetti kiwnął głową, potwierdzając, że zna Miottiego.

- No więc, jak mówiłem, pojechali do Norwegii. Ona napisała do mnie, informując, że policja interesuje się parą czerwonych butów. - Tu znowu spojrzął na Vianella. - Nie mam pojęcia, o czym oni tam ze sobą rozmawiali, skoro przypomnieli sobie o tej sprawie, ale ona napisała na dole pocztówki, że Giorgio powiedział jej, że szukacie osoby, która kupiła damskie pantofle, z czerwonego ałasu, w dużym rozmiarze.

Brunetti uprzytomnił sobie, że wstrzymuje oddech.

- Pan sprzedał te buty?

- Tak. Gdzieś z miesiąc temu sprzedałem taką parę. Mężczyźnie. - Przerwał, dając czas policjantom na wyrażenie zdziwienia, że takie pantofle kupił mężczyzna.

- Mężczyźnie? - powtórzył Brunetti obojętnym tonem.

- Tak. Powiedział, że potrzebne mu są na karnawał. Ale karnawał będzie w przyszłym roku. Wydało mi się to trochę dziwne, ale chciałem sprzedać te buty, bo na obcasie jednego z nich atłas lekko się wytarł. Na lewym, o ile pamiętam. Były przecenione i ten mężczyzna je kupił. Kosztowały pięćdziesiąt pięć tysięcy lirów, a przed zniżką sto dwadzieścia. Kupił je za bezcen.

- Niewątpliwie tak, panie Gravi - przytaknął Brunetti. - Rozpoznałby pan te pantofle, gdyby teraz je zobaczył?

- Tak sądzę. Na podeszwie jednego buta zapisałem zniżkową cenę. Może jest jeszcze ślad.

Brunetti odwrócił się do Vianella i powiedział:

- Sierzancie, czy moglibyście pójść do laboratorium i przynieść tu buty? Chciałbym, żeby pan Gravi je obejrzał.

Vianello wyszedł. Podczas jego nieobecności Brunetti usłyszał opowieść o wakacjach i czystych wodach Adriatyku, o ile pojechało się dość daleko na południe. Słuchał, uśmiechając się tam, gdzie należało, i powstrzymując się przed tym, by poprosić o rysopis nabywcy butów, zanim Gravi je zidentyfikuje.

Po kilku, minutach Vianello był już z powrotem, niosąc pantofle w przezroczystej torbie, w jaką opakuje się dowody rzeczowe. Podał torbę Graviemu. Ten nie próbował jej otwierać, tylko poruszał butami, odwracając najpierw jeden, a potem drugi i przypatrując się podeszwom. Spojrzał na nie z bliska, uśmiechnął się i podsunął torbę Brunettiemu.

- Widzi pan - powiedział. - Jest tutaj. Cena obniżona. Napisałem ją ołówkiem, aby klient mógł łatwo zetrzeć, gdyby chciał. Ale wciąż jest

widoczna. O, tutaj. - Wskazał palcem słabe ślady po ołówku na podeszwie.

Wreszcie Brunetti pozwolił sobie na zadanie pytania:

- Czy mógłby pan opisać mężczyznę, który kupił te buty?

Gravi zastanawiał się tylko chwilę i odparł głosem wyrażającym szacunek dla władzy:

- Panie komisarzu, czy mógłby pan powiedzieć, dlaczego interesuje was ten mężczyzna?

- Sądzimy, że może pan udzielić nam ważnych informacji związanych z prowadzonym śledztwem - odparł Brunetti, niczego mu nie wyjaśniając.

- Rozumiem - odparł Gravi. Jak większość Włochów był przyzwyczajony do tego, że nie rozumie, co mówią do niego ludzie sprawujący władzę. - Powiedziałbym, że młodszy od pana, ale niewiele. Ciemne włosy. Bez wąsów. - Gravi chyba zdał sobie sprawę, jak ogólnikowy jest jego opis. - Wyglądał tak jak wszyscy. Człowiek w garniturze. Nie był specjalnie wysoki ani specjalnie niski.

- Czy zechciałby spojrzeć na kilka zdjęć? - zaproponował Brunetti. - Może na nich rozpozna pan tego mężczyznę?

Gravi uśmiechnął się szeroko, ucieszony, że wszystko wygląda tak jak w telewizji.

- Naturalnie - odparł.

Brunetti kiwnął głową na Vianella, który zszedł na dół i szybko przyniósł dwie teczki ze zdjęciami policyjnymi, wśród których, jak wiedział Brunetti, znajdowało się zdjęcie Malfattiego.

Gravi wziął od Vianella pierwszą teczkę i rozłożył na biurku Brunettiego. Oglądał jedno zdjęcie po drugim, a potem odkładał je spodem do góry na oddzielny stos. Obaj policjanci widzieli, jak wziął zdjęcie Malfattiego i położył je spodem do góry na stosie, a potem przejrzał wszystkie pozostałe. Podniósł głowę i powiedział:

- Tu nie ma jego zdjęcia. Żaden z tych nie jest nawet mgliście do niego

podobny.

- Może mógłby pan opisać go bardziej dokładnie?

- Już panu mówiłem, komisarzu, to był mężczyzna w garniturze. Ci wszyscy - wskazał stos leżących przed nim zdjęć - wyglądają jak kryminaliści. - Vianello ukradkiem rzucił spojrzenie Brunettiemu. Wśród zdjęć znajdowały się fotografie policjantów, z których jednym był funkcjonariusz Alwise. - Mówiłem panom, że on miał na sobie garnitur - powtórzył Gra vi. - Wyglądał tak jak my. Pan rozumie, jak człowiek, który chodzi codziennie do pracy. Do biura. Wyrażał się jak osoba wykształcona, a nie jak kryminalista.

Niedyplomatyczna naiwność tego stwierdzenia sprawiła, że Brunetti zaczął na moment wątpić, czy pan Gravi rzeczywiście jest Włochem. Kiwnął głową na Vianella, który podał Graviemu drugą teczkę.

Policjanci patrzyli, jak ogląda mniejszy już plik zdjęć. Z fotografią Ravanella w ręku spojrzał na Brunettiego.

- To ten bankier, który został wczoraj zabity, prawda?

- Czy on kupił te buty, panie Gravi?

- Nie, skądże. Gdyby tak było, od razu bym panom powiedział. - Jeszcze raz spojrzał na fotografię, wykonaną w studio i zamieszczoną w broszurze zawierającej podobizny wszystkich pracowników banku. - To nie on, ale jest w tym samym typie.

- W tym samym typie, panie Gravi?

- No wie pan, garnitur, krawat, wyglansowane buty. Czysta biała koszula, dobrze przystrzyżone włosy. Bankier w każdym calu.

Na chwilę Brunetti przeniósł się w czasy, gdy miał siedem lat i klęczał u boku matki przed głównym ołtarzem w ich parafialnym kościele Santa Maria Formosa. Matka uniosła wzrok w stronę ołtarza, przeżegnała się i drżącym głosem wyrażającym prośbę i ufność powiedziała: „Mario, Matko Boża, na miłość Twego Syna, który oddał życie za nas, niegodnych grzeszników, spełnij tę jedną moją prośbę, a nie poproszę Cię o szczególną łaskę nigdy więcej, do

końca moich dni”. Tę obietnicę słyszał nieskończenie wiele razy w swej młodości, albowiem, jak wszyscy weneccjanie, pani Brunetti zawsze pokładała wiarę w dobroczynne działanie osób wysoko postawionych. Nie po raz pierwszy w życiu Brunetti żałował, że nie jest człowiekiem wierzącym, ale to nie przeszkadzało mu modlić się, żeby Gravi rozpoznał mężczyznę, który kupił buty, jeśli go zobaczy.

Spojrzał na Gravię i powiedział:

- Niestety nie mamy zdjęcia drugiego mężczyzny, który mógł kupić u pana te buty, ale jeśli zechce pan nam pomóc, pójdziemy razem do jego biura i tam go pan zobaczy.

- Czy to ma znaczyć, że wezmę udział w śledztwie? - Gravi ucieszył się jak dziecko.

- Tak, jeśli tylko pan zechce.

- Oczywiście, panie komisarzu. Będę szczęśliwy mogąc panom udzielić pomocy.

Brunetti wstał, a Gravi poderwał się na nogi. Gdy szli do centrum miasta, Brunetti wyjaśnił mu, co ma zrobić. Gravi nie zadawał pytań, nie okazywał żadnych wątpliwości, chciał ściśle wykonać polecenia - jak dobry obywatel, który pomaga policji w śledztwie w sprawie poważnego przestępstwa.

Kiedy doszli do Campo San Luca, Brunetti wskazał drzwi prowadzące do kancelarii Santomaura i zaproponował, aby pan Gravi napił się czegoś w Rosa Salva, podczas gdy on pójdzie teraz na górę, a pan Gravi dołączy do niego po pięciu minutach.

Brunetti poszedł znanymi już sobie schodami, zapukał do drzwi kancelarii i zaraz usłyszał: Avanti. Kiedy sekretarka uniosła głowę znad komputera i zobaczyła, kto wszedł, w panice schowała się za biurkiem.

- Przepraszam panią - powiedział, podnosząc obie ręce w prostodusznym, jak sądził z nadzieją, geście. - Chciałbym porozmawiać z mecenasem Santomauro. W służbowej sprawie.

Sprawiała takie wrażenie, jakby go nie słyszała. Patrzyła na niego z otwartymi ustami, które układały się w coraz większą literę „o” i wyrażały albo zdziwienie, albo strach - tego Brunetti nie potrafił odgadnąć. Bardzo wolno wyciągnęła rękę i nacisnęła przycisk na blacie, nie wychodząc zza bezpiecznej zasłony biurka. Stała tam, z palcem na przycisku, i w milczeniu wpatrywała się w Brunettiego.

Po kilku sekundach wszedł Santomauro. Dostrzegł sekretarkę, milczącą i nieruchomą jak żona Lota, a potem stojącego przy drzwiach komisarza.

Natychmiast wybuchnął z wściekłością:

- Co pan tu robi?! Dzwoniłem do zastępcy komendanta i powiedziałem, aby kazał panu trzymać się ode mnie z daleka. Proszę stąd wyjść! Niech się pan stąd wynosi!

Sekretarka odeszła od biurka i stanęła pod ścianą.

- Niech się pan stąd wynosi! - powtórzył Santomauro, niemal krzyżąc. - Nie zamierzam narażać się na tego rodzaju szykany. Karzę pana... - przerwał, gdy za plecami Brunettiego pojawił się w sekretariacie drugi mężczyzna, niski człowiek w tandetnym bawełnianym garniturze.

- Wy dwaj, wracajcie na komendę, tam skąd przyszliście! - krzyknął Santomauro.

- Czy pan poznaje tego mężczyznę, panie Gravi? - spytał Brunetti.

- Tak.

Gdy padło to słowo, Santomauro przestał się miotać, choć nie poznał sprzedawcy.

- Czy może pan powiedzieć, skąd pan go zna?

- Kupił u mnie te buty.

Brunetti odwrócił się od Graviero i spojrzał na stojącego po przeciwnej stronie pokoju Santomaura, który dopiero teraz domyślił się, kim jest ten niski człowiek w tandetnym garniturze.

- Co to były za buty?

- Czerwone damskie pantofle. Rozmiar czterdzieści jeden.

Rozdział 31

Santomauro załamał się. Brunetti był świadkiem takich stanów wystarczająco często, by wiedzieć, co się naprawdę dzieje. Gravi pojawił się całkiem niespodziewanie, i to w sytuacji gdy mecenasowi zdawało się, że uniknął niebezpieczeństwa, gdy policja nie poczyniła żadnych kroków po obciążających go zeznaniach Malfattiego. Santomauro nie miał czasu, aby wymyślić jakąś historyjkę wyjaśniającą zakup butów.

Najpierw wrzasnął na Graviergo i kazał mu opuścić kancelarię, ale gdy niski pan z uporem twierdził, że wszędzie by go poznał i jest przekonany, że to właśnie on kupił u niego buty, Santomauro upadł bokiem na biurko sekretarki, obejmując się rękami za pierś, jakby tym gestem mógł obronić się przed niemym spojrzeniem Brunettiego i zaintrygowanymi minami dwóch niczego nie pojmujących osób w pokoju.

- To ten mężczyzna, panie komisarzu. Jestem tego pewny.

- No i co, mecenasie Santomauro? - odezwał się Brunetti, ręką dając znak Graviemu, by milczał.

- To był Ravello - odparł Santomauro piskliwym głosem, bliski łez. - Wszystko on zaplanował. Mieszkania i czynsze. Wyjawiał mi swój plan, ale nie chciałem przystać na to, więc zaczął mi grozić. Wiedział o chłopcach. Powiedział, że poinformuje żonę i dzieci. A potem Mascari wykrył tę sprawę z czynszami.

- Jak to zrobił?

- Nie wiem. Znalazł coś w dokumentacji bankowej. Ravello mi powiedział. To on zaproponował, żeby się pozbyć Mascarięgo.

Cała ta historia była niezrozumiała dla dwóch pozostałych osób w pokoju, ale oboje nie powiedzieli ani słowa, oniemiaли na widok przerażonego Santomauro.

- Nie chciałem brać w tym udziału, ale Ravello twierdził, że nie mamy wyboru, że musimy to zrobić. - Mówił coraz ciszej, w końcu umilkł.

- Co musicie zrobić?

Santomauro utkwiał wzrok w Brunettim, a potem potrząsnął głową, jakby chciał oprzytomnieć po mocnym ciosie. Znowu pokręcił głową, ale tym razem oznaczało to wyraźną odmowę. Również te gesty były dobrze znane Brunettiemu.

- Panie Santomauro, jest pan aresztowany pod zarzutem morderstwa Leonarda Mascariego.

Usłyszawszy to nazwisko, zarówno Gravi, jak i sekretarka spojrzeli na Santomauro z wytrzeszczonymi oczami, jakby widzieli go po raz pierwszy w życiu. Brunetti sięgnął po słuchawkę telefonu, zadzwonił na komendę i poprosił o przysłanie trzech funkcjonariuszy na Campo San Luca, aby zabrali podejrzanego i doprowadzili go na przesłuchanie.

Razem z Vianellem Brunetti przesłuchiwał Santomauro przez dwie godziny. Cała historia stopniowo wyszła na jaw. Prawdopodobnie Santomauro nie mijał się z prawdą, gdy ujawniał szczegóły planu lukratywnego wynajmu mieszkań oddanych do dyspozycji Lega. Natomiast prawdopodobnie mijał się z prawdą, gdy wskazywał na pomysłodawcę tego przedsięwzięcia. Dalej utrzymywał, że wszystko było robotą Ravanella, że bankier zwrócił się do niego, mając cały plan opracowany w najdrobniejszych szczegółach, że właśnie Ravello wciągnął w to Malfattiego. W rzeczy samej cała koncepcja powstała w umyśle Ravanella: pierwotny plan, decyzja pozbycia się dyrektora banku i zepchnięcie do laguny samochodu, którym jechał Brunetti. To wszystko wyszło od trawionego chciwością Ravanella.

A Santomauro? Zrobił z siebie człowieka słabego charakteru,

wciągniętego w sieć niecznych intryg przez bankiera, który mógł mu popsuć reputację, rozbić rodzinę i zniszczyć całe życie. Twierdził z uporem, że nie miał nic wspólnego z zamordowaniem Mascariego i nie wiedział, co miało się zdarzyć w mieszkaniu Crespa w tę fatalną noc. Gdy funkcjonariusze przypomnieli mu, że kupił damskie pantofle, początkowo twierdził, że zamierzał je włożyć podczas karnawału, ale gdy poinformowali go, że właśnie te buty znaleziono przy Mascarim, powiedział, iż kupił je na polecenie Ravanella i nie miał pojęcia, do czego mają być użyte.

Potwierdził, że przyjmował część pieniędzy pochodzących z wynajmowania mieszkań Lega, ale nie robił tego z chęci zysku, tylko by chronić swe dobre imię. Rzeczywiście, był w mieszkaniu Crespa tego wieczoru, gdy zabito Mascariego, ale to Malfatti wykonał całą brudną robotę; on i Ravanello jedynie pomogli w usunięciu ciała. Cały plan? Był dziełem Ravanella. I Malfattiego. Co się zaś tyczy morderstwa Crespa, nic o tym nie wiedział. Twierdził, że sprawcami byli zapewne jacyś niebezpieczni klienci Crespa, których on przyprowadził do swojego mieszkania.

Cały czas przedstawiał siebie jako człowieka podobnego do wielu innych, który zszedł na złą drogę targany namiętnościami, a potem nie potrafił przezwyciężyć strachu. Czy to możliwe, by taki człowiek nie budził sympatii i współczucia?

I tak przez dwie godziny Santomauro utrzymywał, że nie ponosi winy za udział w tych zbrodniach, twierdząc, że jedyną pobudką jego działania była troska o najbliższych i pragnienie, by oszczędzić im wstydu, gdy po ujawnieniu jego podwójnego życia wybuchnie skandal. Brunetti słuchał tej opowieści, widząc, że Santomauro coraz mocniej wierzy w prawdziwość swoich słów. Gdy zdał sobie z tego sprawę, przerwał przesłuchanie, ze wstrętem myśląc o charakterze i postawie tego człowieka.

Jeszcze przed wieczorem przybył adwokat Santomaura, a następnego ranka ustalono wysokość kaucji i wypuszczono prawnika na wolność, natomiast

Malfatti, jawny morderca, pozostał w areszcie. Tego samego dnia Santomauro zrzekł się funkcji prezesa Lega della Moralita, pozostali członkowie zarządu podjęli uchwałę, aby przeprowadzono gruntowne śledztwo w sprawie błędnych decyzji i niewłaściwego postępowania w okresie, gdy kierował organizacją. A więc, pomyślał Brunetti, w pewnych kręgach homoseksualizm nazywany jest niewłaściwym postępowaniem, a morderstwo błędną decyzją.

Po południu Brunetti poszedł na Via Garibaldi i zadzwonił do mieszkania pani Mascari. Przez domofon podał jej swoje nazwisko i stopień.

W mieszkaniu nic się nie zmieniło. Okiennice nie przepuszczały słońca, ale miało się poczucie, że zatrzymują skwar w pomieszczeniu. Pani Mascari zachowywała się jeszcze bardziej powściągliwie niż podczas ostatniej wizyty Brunettiego.

- Jestem wdzięczny, że zechciała mnie pani przyjąć - zaczął, kiedy już usiedli. - Przyszedłem tu, aby powiedzieć, że pani mąż został oczyszczony z wszelkich podejrzeń. Nie popełnił żadnego przestępstwa. Był niewinną ofiarą niecnej zbrodni.

- Wiedziałam o tym, panie komisarzu. Od samego początku byłam o tym przekonana.

- Bardzo mi przykro, że mógł paść na niego choć cień podejrzenia.

- To nie pana wina, komisarzu. Ja nie miałam żadnych podejrzeń.

- Naprawdę bardzo tego żałuję. Znamy już sprawców jego śmierci.

- Tak, wiem. Czytałam o tym w gazetach. - Po chwili dodała: - Nie sądzę, aby to miało jakieś znaczenie.

- Poniosą karę. Tyle mogę pani obiecać.

- Obawiam się, że to już nic nie pomoże. Ani mnie, ani Leonardowi. - Gdy Brunetti zaczął zaprzeczać, przerwała mu: - Panie komisarzu, gazety mogą rozpisywać się o tym, co się naprawdę wydarzyło, ale ludzie zawsze będą pamiętać, co napisano o Leonardzie, gdy znaleziono jego ciało: że miał na sobie suknię i był uważany za transwestytę, który uprawia prostytucję.

- Ale przecież prawda wyjdzie na jaw.

- Kiedy człowieka obrzuci się błotem, panie komisarzu, ślad zawsze pozostanie. Ludzie lubią źle myśleć o innych; im gorzej o nich myślą, tym bardziej są zadowoleni. Upłynie wiele lat, a ludzie, słysząc nazwisko Leonarda, przypomną sobie tę suknię i będą snuć na jego temat różne nieprzyzwoite myśli, jakie tylko przyjdą im do głowy.

W głębi duszy przyznał jej słusność.

- Tak mi przykro - powiedział.

Pani Mascari delikatnie dotknęła jego dłoni.

- Nie trzeba przeproszać za to, jaka jest natura ludzka, panie komisarzu. Ale z wdzięcznością przyjmuję pana słowa współczucia. - Cofnęła rękę. - Czy chciałby pan o czymś jeszcze porozmawiać?

Brunetti potrafił poznać, kiedy daje się mu znak, by wyszedł. Pożegnał się z panią Mascari i zostawił ją samą w zaciemnionym mieszkaniu.

Tej nocy nad miastem przeszła potężna burza, która pozrywała dachówki, pozrzucała na ziemię doniczki z geranium i powyrywała z korzeniami drzewa w publicznym parku. Nawałnica trwała przez bite trzy godziny, wypełniając rynsztoki i zmiatając worki ze śmieciami do kanałów. Gdy deszcz przestał padać, nagle zrobiło się zimno. Chłód przenikał do sypialni, gdzie śpiący ludzie zaczęli tulić się do siebie, szukając ciepła. Brunetti spał sam i koło czwartej musiał wstać z łóżka, by wyciągnąć z szafy koc. Obudził się przed dziewiątą i stwierdził, że pójdzie na komendę dopiero po obiedzie, po czym znowu zapadł w sen. Wstał dobrze po dziesiątej. Zrobił sobie kawę i długi czas spędził pod prysznicem, po raz pierwszy od miesiący ciesząc się z gorącej kąpieli. Gdy już ubrany stał na tarasie, mając jeszcze mokre włosy i trzymając w ręku drugi kubek z kawą, usłyszał jakieś hałasy dochodzące z tyłu, z głębi mieszkania. Odwrócił się i zobaczył Paolę. A potem Chiarę i Raffiego.

- *Ciao, Papa!* - zawołała Chiara z dziką radością i rzuciła mu się na szyję.

- Co się stało? - spytał, przyciskając córkę do piersi, ale widząc tylko jej matkę.

Chiara szeroko się uśmiechnęła.

- Zobacz moją twarz, tato.

Spojrzał na nią i pomyślał, że nigdy nie widział śliczniejszej buzi. Zauważył, że się opaliła.

- Och, tato, nic nie widzisz?

- A co mam widzieć, kochanie?

- Zachorowałam na odrę i wyrzucili nas z hotelu!

Choć w mieście wciąż czuło się wczesnojesienny chłód, tej nocy Brunetti nie potrzebował okrywać się kocem.